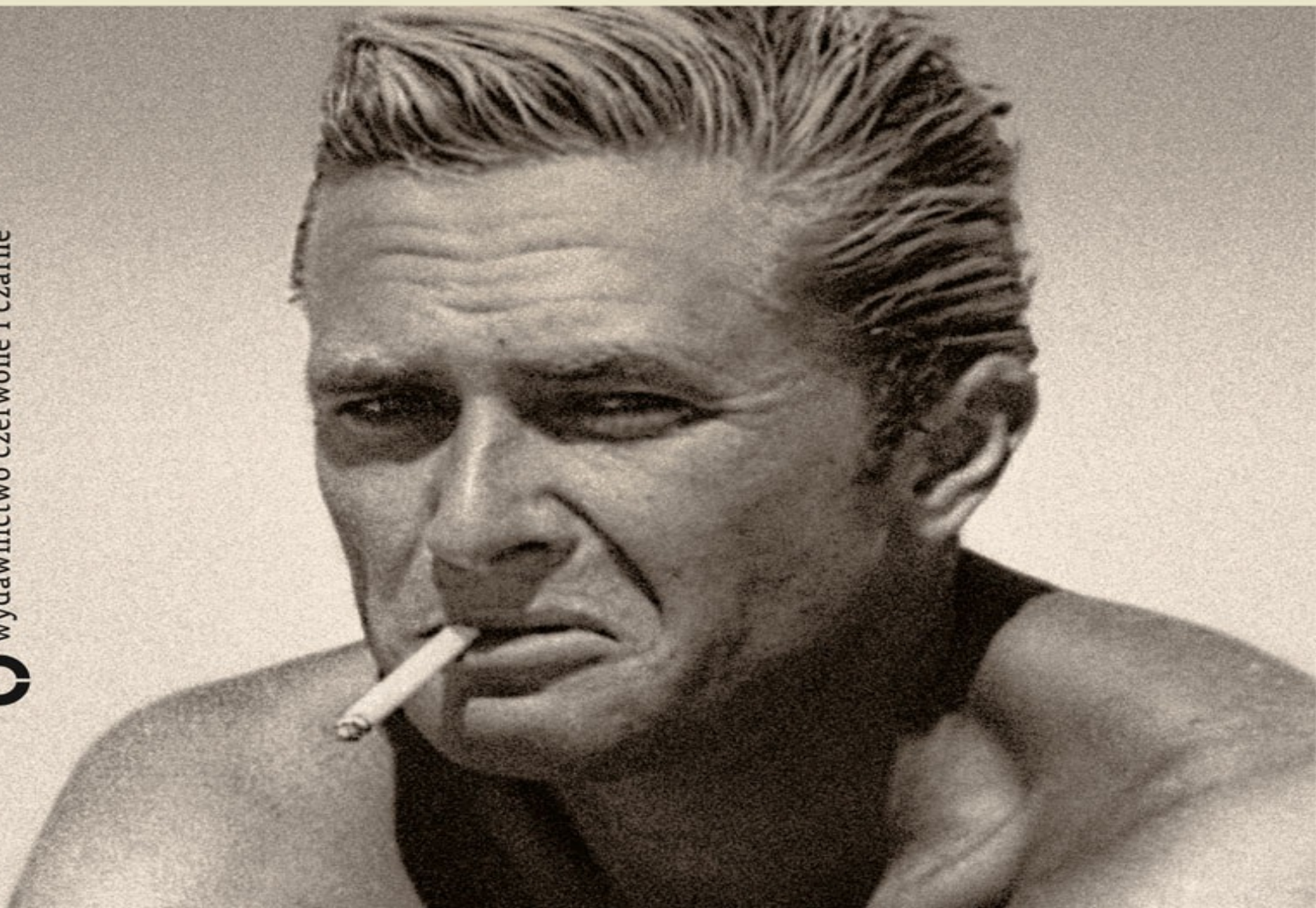


**SŁAWOMIR KOPER**

# SKANDALIŚCI PRL

wydawnictwo czerwone i czarne



Hłasko był mitomanem,  
ale sędzę, że nie z potrzeby  
oszukiwania, lecz na skutek  
bujnej ochoczości kreacyjnej.  
Różne okoliczności swego  
krótkiego życia potrafił  
opowiadać w kilku  
różnorodnych wersjach.  
Kłamał koszmarnie i plątał  
się w swoich zmyśleniach  
jak wspaniała ryba w sieci.  
To było często męczące,  
lecz częściej wspaniałe.

*Jerzy Andrzejewski*



# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

## Rozdział 1. Pisarz największych nadziei

Bystrzyca Kłodzka

Warszawa

Miłość grecka nad Wisłą

Na szczycie

Hania

Agnieszka

W drodze do Paryża

Nagonka

Maisons-Laffitte

Sonja

Hłasko i finanse

Izrael

Berlin

Esther

Kalifornia

Tragedia w Beverly Hills

Wiesbaden, czerwiec 1969 roku

## Rozdział 2. Polak, katolik, alkoholik

Podchorąży „Orlik”

Virtuti Militari

Pomiędzy skamandrytami a komunizmem

Janina Kunig

W polskiej celi

Lwów po raz pierwszy

Maria Zarębińska

Bagnet na broń

Sowiecki Lwów

W drodze na Łubiankę

Śledzie w Saradowie

Białoruś

Stepy Azji Środkowej

Palestyna

Krystyna

Powrót

Wanda

Pętla

Anka

Kościan  
PUSTO KOŁO MNIE  
Do końca wierny sobie

### Rozdział 3. Dziwne losy Leopolda T.

Jazz i komunizm  
YMCA  
Kontestacja  
Czerwone skarpetki  
Legenda playboya  
Rysia  
„Tygodnik Powszechny”  
Trucizny literata  
Zły  
Droga w dół  
Emigracja  
„The New Yorker”  
Rockford

### Rozdział 4. Król życia

Jan Frykowski  
Ewa  
Sceny z życia towarzyskiego  
Nóż w wodzie  
Radonice  
Abigail  
Los Angeles  
Masakra przy Cielo Drive  
Prawdziwa nienawiść  
Bartek i „Frytka”

### Rozdział 5. Poeta przeklęty

W Mikołowie  
Zespół Aspergera?  
Cierpienia młodego Rafała  
Kraków  
Nad Odrą  
Poeta  
Anna Kowalska  
Teresa Ziomber  
Kulminacja  
Śmierć

### Rozdział 6. Janek i Zdzisio

Kamieniarz z Mińska  
Literat Jan Himilbach  
Basica  
Maklak  
Cesiuchna  
Rejs  
W duecie  
Świat bez Zdzisia

Zakończenie

Przypisy

Ważniejsza bibliografia

Okładka

# SKANDALIŚCI PRL



Sławomir Koper

Warszawa 2014

Projekt okładki  
FRYCZ I WICHA

Zdjęcie na okładce – Henryk Stilman/East News; str. 17 – Archiwum Marka Hłaski/East News; str. 89 – Kubiak/CAF/PAP; str. 163 – Władysław Sławny/FORUM; str. 207 – Wojciech Olszanka/East News; str. 237 – Archiwum rodzinne Dagmary Janus/Zbiory Instytutu Mikołowskiego; str. 275 – POLFILM/East News.

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Korekta  
Katarzyna Szol

Skład  
Tomasz Erbel

**Wydawca**  
**Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.**  
**Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5**  
**00-272 Warszawa**

Skład wersji elektronicznej  
pan@drewnianyrower.com

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-145-5

Warszawa 2014

# Od autora





**P**rzed Państwem kolejna pozycja z cyklu poświęconego elitom Polski Ludowej. Po „Kobietach władzy”, „Życiu artystek” i „Sławnych parach” przyszedł czas na skandalistów epoki PRL. I, jak zwykle, miałem problemy z bogactwem materiału, a co za tym idzie – z doborem bohaterów do tej książki.

Skandale i afery zdarzały się bowiem zawsze i wszędzie, niezależnie od panującego ustroju. Czasy Polski Ludowej różniły się tylko sposobem obiegu informacji, nie było przecież kolorowych magazynów ani plotkarskich portali internetowych (internetu również), w zamian za to funkcjonowała cenzura tłumiąca przepływ wiadomości. Ale informacje i tak rozchodziły się szeroko, o nowych wyczynach ówczesnych skandalistów plotkowano w kawiarniach i biurach. Ich zachowania wzbudzały emocje podobne do tych, które towarzyszą nam obecnie, gdy słyszymy o kolejnych ekscesach naszych celebrytów.

Skandaliści epoki PRL zdecydowanie odróżniali się jednak od skandalistów dzisiejszych, byli to bowiem ludzie należący najczęściej do elity kulturalnej kraju. Ich celem nie było wywoływanie sensacji, stanowiły one raczej efekt uboczny ich działalności artystycznej. Zresztą, czy dzisiejsi celebryci mogą równać się z Broniewskim, Hłaską lub Tyrmandem? A ekscesy obecnych bohaterów tabloidów – z fantazją Wojtka Frykowskiego czy obsesyjną autodestrukcją Rafała Wojaczka?

O wielu skandalistach epoki PRL pisałem już wcześniej, innych natomiast zamierzam przedstawić w kolejnych pozycjach cyklu. Dlatego w tej książce zdecydowałem się na osoby, które wywarły znaczący wpływ na epokę, a ich życie było na tyle intrygujące, aby zainteresować czytelnika.

Celebryci Polski Ludowej żyli szybko i barwnie, najczęściej też spotykał ich tragiczny koniec. Trzech moich bohaterów zakończyło życie na emigracji, Hłasko i Frykowski przedwcześnie, w gwałtownych okolicznościach. Broniewski i Himilbach zapili się na śmierć, a Wojaczek popełnił samobójstwo w wieku 26 lat. Tylko Tyrmand odszedł w otoczeniu rodziny, ale była to już jego nowa, amerykańska rodzina, a sam pisarz zerwał zupełnie kontakty z ojczyzną i polską kulturą.

Dla wielu czytelników zaskoczeniem może być obraz niektórych postaci, jaki przedstawiłem w tej książce. Legenda otaczająca bohaterów jest czasami odmienna od faktów, co starałem się zweryfikować. Zwłaszcza że rzeczywiste wydarzenia były często o wiele bardziej interesujące i dramatyczne niż te, które systematycznie utrwalano w obiegowych opiniach.

Podobnie jak w przypadku poprzedniej książki („Sławne pary PRL”) w umiarkowany sposób korzystałem z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Jest to obecnie bardzo modne źródło informacji dla historyków i dziennikarzy, niestety mam wrażenie, że tamtejsze dokumenty wykorzystywane są w bardzo niewłaściwy sposób. I zupełnie nie rozumiem bezkrytycznego zachwytu, jaki przejawiają niektórzy moi koledzy po piórze. Publikują niemal każdy uzyskany dokument, nie zwracając zupełnie uwagi na jego wiarygodność. Widziałem wiele raportów i notatek, które już na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie napisanych bez wiedzy osób, które miały być ich autorami.

Zapomina się również o kontekście historycznym epoki, w której te dokumenty powstały. Nie zwraca się uwagi na możliwości nacisku na obywateli, jakie posiadała wówczas Służba Bezpieczeństwa. Zatrzymanie paszportu, usunięcie z pracy wraz z wilczym biletem, wplątanie w skandal obyczajowy to tylko niektóre z metod, jakimi się posługiwano. Dlatego też podchodzę do dokumentów IPN bardzo ostrożnie i wykorzystuję tylko te, które sprawiają wrażenie wiarygodnych i wnoszą coś nowego do tematu. Ale nawet wówczas staram się unikać podawania nazwisk współpracowników SB, nigdy bowiem nie ma pewności, czy ludzie ci rzeczywiście osobiście donosili na kolegów, czy też są to zapisy przypadkowych rozmów w większym gronie. Łatwo kogoś niesłusznie oczernić, a przywrócenie dobrego imienia jest czasami niemożliwe.

Pozycją o skandalistach PRL nie wyczerpuję oczywiście tematu, planuję, że kolejni celebryci tej epoki będą się pojawiać w moich następnych książkach. Nie ukrywam, iż mam ambicje, by napisać cykl książek o elitach Polski Ludowej. Uważam bowiem, że pod względem liczby talentów artystycznych była to – chociaż faktycznie czasami szara i uboga – najbogatsza epoka w dziejach naszego kraju. Ale nawet i szarość ma jednak swoje odcienie...

*Sławomir Koper*



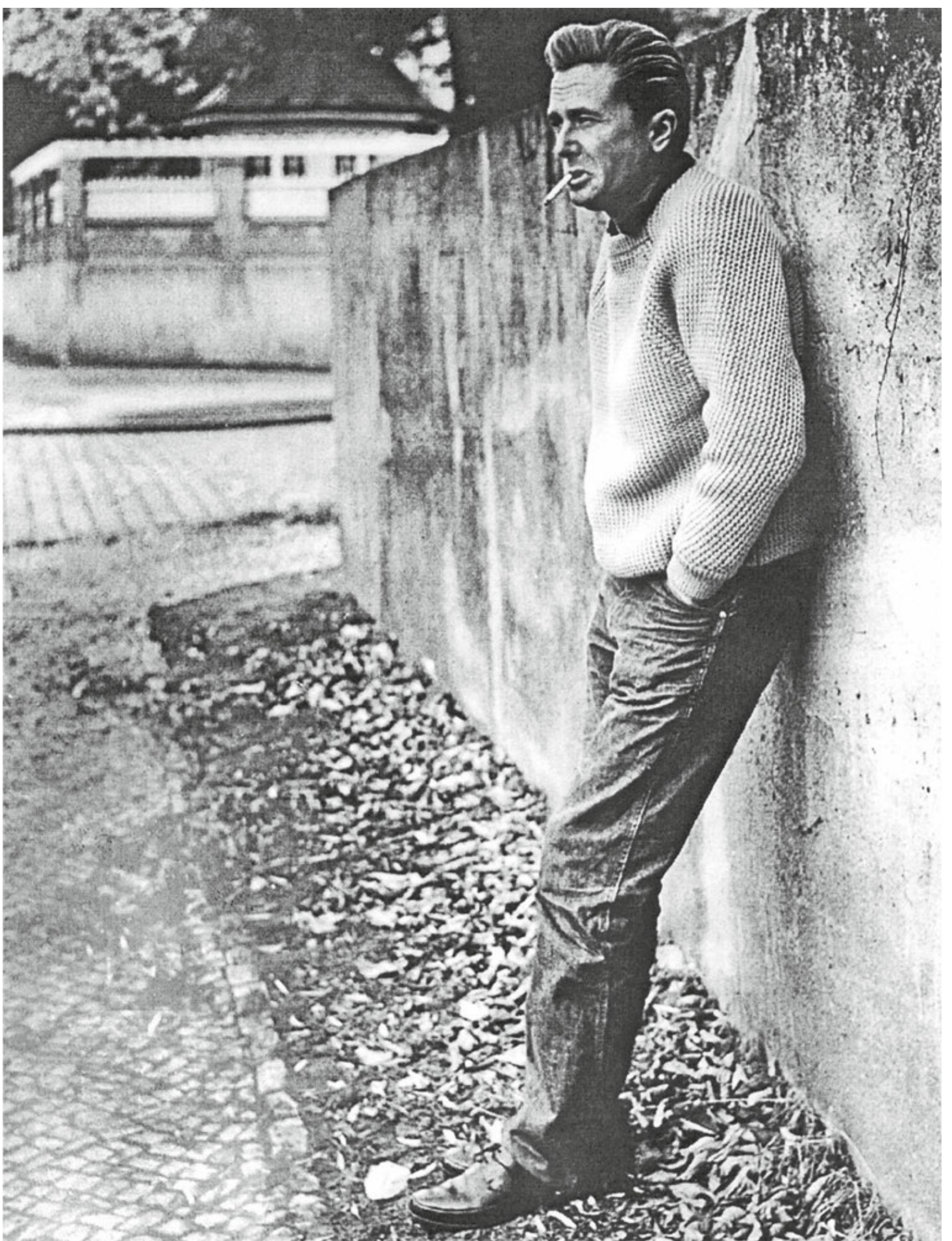
# **Rozdział 1**

## **Pisarz największych nadziei**



**„Ze strachu dałem Hłasce 3 tysiące zaliczki. Potem się pogodziliśmy i poszliśmy do restauracji na obiad. W drodze powrotnej spotkaliśmy starą prostytutkę stojącą na rogu ulicy. A było zimno, mroźno. Marek przystanął, sięgnął do kieszeni, gdzie schował całą zaliczkę – portfela nigdy nie nosił – wyjął garść banknotów i wręczył kobiecie, mówiąc: »Idź do domu, jest zimno«. Nie mogłem uwierzyć; parę godzin wcześniej o mało nie pobił mnie z powodu pieniędzy, a teraz rozdaje całymi garściami”.**

*(Wilhelm Moll)*





**M**ilicjant pociągnął duży łyk z butelki – wspominał Roman Polański. – »Panie Mareczku, pan jesteś wykształcony człowiek. Powiedz pan: jest Bóg czy go nie ma?« – zapytał ochrypłym głosem.

Marek [Hłasko], stojąc w promieniach księżyca, które połyskiwały na jego brązowej skórzanej kurtce, przeszył pytającego piorunującym wzrokiem. »Ziutek! – wykrzyknął. – Jeżeli Bóg istnieje, to jest starą, dziadowską kurwą, przecież patrzył bez słowa na Oświęcim, na Hiroszimę, przecież widział, jak mordowano miliony niewinnych ludzi. Nie, przyjacielu, nie ma żadnego Boga«.

Milicjant pokiwał głową apatycznie. »Tak – wymamrotał, po czym dodał: – To kto stworzył ten świat?«.

Niestety nie potrafię powiedzieć, jak Marek poradził sobie z tym transcendentalnym pytaniem, albowiem chwilę później straciłem świadomość”<sup>1</sup>.

Scena opisana przez Polańskiego nie była wyjątkiem. Marek Hłasko uwielbiał szokować swoimi poglądami i zachowaniem. Brutalny cynik i oddany przyjaciel, obiekt adoracji kobiet i człowiek, który wykorzystywał uwielbienie mężczyzn o homoseksualnych preferencjach. Osobnik uzależniony od alkoholu i pisarz o wielkim literackim talencie, może nawet największym w dziejach PRL. Talencie, którego właściwie nigdy nie było mu dane wykorzystać, gdyż – jak uważał Jan Himilbach – polskie władze „miały brylant, ale skurwysyny nie wiedzieli, jak go oprawić”...

## BYSTRZYCA KŁODZKA

Autokreacja jest z reguły domeną poetów, najczęściej to oni przekształcają otaczającą ich rzeczywistość, podając jej własną wersję czytelnikom. Prozaicy nie bywają jednak gorsi, a znakomitym potwierdzeniem tej tezy jest przypadek Marka Hłaski. Świadomie kreował własną biografię, a z czasem legenda przesłoniła wszystko i po latach trudno odróżnić rzeczywistego człowieka od jego literackiego wizerunku. Inna sprawa, że Hłasko zaczynał karierę w najczarniejszych latach polskiego stalinizmu i od samego początku zmuszony był do wprowadzenia poważnych korekt w swoim oficjalnym życiorysie.

Debiutujący pisarz powinien mieć proletariackie pochodzenie, więc 18-letni Marek twierdził, że jego matka była praczką, a ojciec strażakiem. Niewiele to miało

wspólnego z rzeczywistością – ojciec pisarza, Maciej, był bowiem prawnikiem, a jego kontakt ze służbami przeciwpożarowymi ograniczył się do opublikowania kilku prac na ten temat. Natomiast dziadek faktycznie był strażakiem, ale wcale nie szeregowym. Zmarły w 1922 roku Józef Hłasko był komendantem Warszawskiej Straży Pożarnej. Rodzina nie miała zresztą robotniczych korzeni; pierwsze wzmianki o Hłaskach herbu Leliwa, szlacheckim rodzie wywodzącym się z Hłasek pod Owruczem na terenie dzisiejszej Białorusi, pochodzą już z 1535 roku. Z czasem ród podupadł, ale niektórzy jego członkowie w okresie międzywojennym znakomicie prosperowali. Kuzynem pisarza był inżynier Wiktor Hłasko – pełnomocnik Grupy Francuskich Towarzystw Naftowych, Przemysłowych i Handlowych „Małopolska”. Był on również dyrektorem firm Verdatok i Nafta Polska, a mały Marek odwiedzał jego dwór w Kociszewie niedaleko Grójca.

Nic zatem dziwnego, że ludzie dobrze znający Marka twierdzili, iż „udawał szofera ten potomek karmazynów, co zasiadali w pierwszych krzesłach dawnej Rzeczypospolitej”. Życiorys Hłaski był jednak o wiele bardziej skomplikowany.

Ojca właściwie nie znał, jego rodzice rozwiedli się, gdy Marek miał trzy lata, pan Maciej zmarł zresztą we wrześniu 1939 roku na gruźlicę nerek. Mimo to przyszły pisarz nigdy nie zaznał biedy i nawet w czasach hitlerowskiej okupacji zawsze mieszkał we własnym pokoju, co świadczyło o niezłym standardzie życia rodziny.

Natomiast miał inną cechę wspólną z większością pisarzy o proletariackich korzeniach, były to notoryczne problemy z edukacją. Naukę zakończył w 16. roku życia, po tym jak usunięto go z warszawskiego Liceum Techniczno-Teatralnego z powodu „notorycznego lekceważenia przepisów szkolnych, wykroczeń natury karnej oraz za wywieranie demoralizującego wpływu na kolegów”.

Zapewne przyczyniła się do tego skomplikowana sytuacja rodzinna chłopca. Po Powstaniu Warszawskim przeniósł się z matką do Częstochowy, a następnie przez Chorzów i Białystok trafił do Wrocławia. Na domiar złego nie potrafił dojść do porozumienia z nowym partnerem matki, Kazimierzem Gryczkiewiczem. Przez pewien czas pobierał więc naukę poza domem – w Legnicy i Warszawie.

Po usunięciu ze szkoły Marek musiał podjąć jednak pracę zarobkową, zgodnie z ówczesnie obowiązującym prawem zostałby bowiem potraktowany jako „pasożyt społeczny” i wróg ustroju. Powrócił zatem do Wrocławia, gdzie zatrudnił się jako goniec w stoczni rzecznej.

Uczęszczał jednocześnie na kurs prawa jazdy, a po jego uzyskaniu zmienił pracę i został pomocnikiem kierowcy w jednej z miejscowych firm transportowych. Nie był jednak specjalnie sumiennym pracownikiem i wyrokiem sądu grodzkiego skazano go na dwumiesięczne potrącanie 10 procent zarobków. Nie wiadomo, w jaki sposób naruszył socjalistyczną dyscyplinę pracy, zapewne były to notoryczne spóźnienia lub nieusprawiedliwiona absencja. Po latach miał jednak z ironią wspominać swoją „działalność przestępczą” przeciwko ludowej ojczyźnie.

Po odpracowaniu wyroku zmienił firmę, tym razem znalazł zajęcie przy zwózce drewna w Państwowej Centrali Drzewnej „Paged”. Baza transportowa mieściła się w Bystrzycy Kłodzkiej, drewno przewożono po fatalnych, górskich drogach. Marek

zatrudnił się w połowie listopada, w górach panowała już zima, dla 17-letniego chłopaka była to praca ponad siły.

„[...] wstawaliśmy rano o czwartej – wspominał po latach – a o dziesiątej wieczór kończyliśmy rozładunek na stacji, potem jechało się jeszcze czterdzieści kilometrów do domu, co przy samochodzie typu GMC z przyczepą po górskich drogach zabierało około dwóch godzin [...]. Niedziel i świąt nie było, pod koniec miesiąca kierownik bazy w Bystrzycy Kłodzkiej oświadczał nam, że wyrobiliśmy około czterdziestu, czasami czterdziestu pięciu procent normy”<sup>2</sup>.

Wytrzymał tam tylko sześć tygodni, ale zdobyte doświadczenie miało zaprocentować podczas pracy nad *Następnym do raj*. Czas spędzony w górach umożliwił również stworzenie legendy twardego faceta, mającego za sobą ekstremalne przeżycia. A podczas lektury *Następnego do raj* można faktycznie odnieść wrażenie, że autor przebywał całe lata w najdzikszych ostępach Dolnego Śląska...

W rzeczywistości Marek nie był raczej stworzony do regularnej pracy. Jego życiorys zawodowy obfitował w krótkie, kilkumiesięczne epizody, zawsze był jednak związany z transportem drogowym. Chłopak szukał zresztą swojego miejsca w życiu, a każde nowe zajęcie stanowiło dla niego interesujące pole do obserwacji, co w przyszłości planował wykorzystać. Nie zamierzał bowiem spędzić całego życia jako kierowca.

## WARSZAWA

Pod koniec 1950 roku ojczym pisarza dostał służbowe skierowanie do Warszawy i przeprowadził się tam wraz z jego matką. Marek podążył ich śladem, na miejscu przekonał się jednak, że warunki lokalowe w odbudowującej się stolicy były zdecydowanie gorsze niż we Wrocławiu. Gryczkiewicz dostał wprawdzie służbowe mieszkanie, był to jednak tylko pokój z kuchnią (na Śląsku rodzina dysponowała pięcioma pokojami). To chyba ostatecznie zadecydowało, że Hłasko postanowił opuścić dom rodzinny. W uzyskaniu samodzielności miała mu pomóc literatura.

Pod koniec 1952 roku przedstawił Bohdanowi Czeszce fragment powieści *Sonata marymoncka*, a pisarz po zapoznaniu się z utworem przyznał, że adept ma „ostrość patrzenia” i „umiejętność przekazywania swoich przeżyć”. Poradził jednak Markowi, aby zajął się opowiadaniem i nie próbował tworzyć większych form literackich.

„Co wy tam wyjeżdżacie z teorią, że jak się usuwa tzw. »brzydkie wyrazy«, to się kastruje język – pisał Czeszko do Hłaski. – Wy to zostawcie. Sam w imię »szczeroci« i »dosadności« języka kiedyś to głosiłem. To jest chamstwo, a nie dosadność. Można używać słów: kurwa, pierdołę, skurwysyn, chuj, pizda (czy słowa napisane przeze mnie już was nie zawstydziły), ale w tych nielicznych przypadkach, kiedy nie można ich niczym zastąpić. Pamiętajcie, że słowo pisane ma wymiar zdwojony we wszystkich walorach i brakach...”<sup>3</sup>.

Czeszko chwalił młodego autora, dodał jednak, że „pisarzem jeszcze nie jest



i jeszcze długo nim nie będzie”. Podobnego zdania był również Igor Newerly, który poradził Hłasce, aby nie myślał o zawodowym zajęciu się literaturą przed ukończeniem 40. roku życia.

Marek przedstawiał się obu twórcom jako niewykształcony kierowca, który w wolnych od pracy chwilach próbuje opisać otaczającą go rzeczywistość. Było to zgodne z ówczesną polityką kulturalną władz PRL, natomiast laur odnalezienia nowego proletariackiego talentu służył oczywiście na jego odkrywców. Stąd też brało się ich zainteresowanie młodym twórcą.

W tym czasie Hłasko pracował w warszawskiej Metrobudowie, pisywał również korespondencje robotnicze do „Trybuny Ludu”. Wydelegowała go do tego dyrekcja, prawdopodobnie był on bowiem jednym z nielicznych pracowników firmy, który umiał cokolwiek napisać. Współpraca nie trwała jednak długo. Marek ponownie zmienił pracodawcę, a wiosną 1953 roku zwolnił się ze swojej ostatniej posady. Otrzymał bowiem stypendium twórcze Związku Literatów Polskich, a jego opowiadanie *Baza Sokołowska* miało zostać opublikowane w wyborze prozy młodych, debiutujących pisarzy. Utworem zainteresował się również „Sztandar Młodych”, redakcja zapłaciła nawet autorowi zaliczkę. Marek uznał, że wreszcie znalazł się na właściwej drodze.

## MIŁOŚĆ GRECKA NAD WISŁĄ

Zapewne jednak nigdy nie odniósłby sukcesu, gdyby nie pomoc uznanych pisarzy. To oni zdecydowali o jego karierze, nie była to jednak pomoc bezinteresowna. Przystojny i barczysty młodzian stał się bowiem obiektem uwielbienia kilku literatów o homoseksualnej orientacji.

„[...] okazał się wysokim, rosnącym chłopcem, jasnowłosym i niebieskookim – wspominał Jerzy Andrzejewski. – Nie wiem, czy był piękny. Jego bardzo słowiańska uroda promieniowała uwodzającym blaskiem, cała postać – gwałtowną siłą witalną, w głosie z natury niskim pobrzmiwały akcenty czułe i kuszące. Jeśli powiem, że mnie oczarował i zachwycił, nie powiem wszystkiego”<sup>4</sup>.

Jako pierwszy wdziękowi Marka uległ prezes wrocławskiego oddziału ZLP Stefan Łoś. Mający już ponad 50 lat pisarz, podróżnik i działacz harcerski znany był ze swoich homoseksualnych upodobań, z tego też powodu wydalono go przed wojną z ZHP. A teraz we Wrocławiu zupełnie stracił głowę dla Hłaski.

To właśnie on podsunął pierwsze próby literackie ulubieńca Czeszce i Newerlemu, zabiegał również o stypendium twórcze dla Marka. A gdy Hłasko powrócił na pewien czas z Warszawy, aby poważnie zająć się pisarstwem, to po krótkim pobycie u rodziny zamieszkał u niego. I jak twierdził, „świetnie się z panem Łosiem bawili”.

„Nie chciałbym zadzierać z ciotką – pisał Marek w liście do matki. – Mieszkać u ciotki nie mam zamiaru, może dostanę mieszkanie w związku, tylko to się odwleka z dnia na dzień. Natomiast Ty napiszesz do cioci, że przyjechałem z Baligrodu i jestem w Warszawie. Nawet nie napiszesz, a zatelegrafujesz. I to zaraz! I traktuj to poważnie:

ja sobie nie pozwolę skomplikować życia! I nie pozwolę, żeby ktoś wtrącał się do moich spraw! Nie pozwolę, żeby wystawiano mnie na idiotę, tak jak Ty zrobiłaś w tym wypadku! Więc napisz, bo inaczej naprawdę, Mamusi, obawiam się, że nigdy nie znajdziemy jakiejś wspólnej platformy porozumienia, co jest po prostu i bez żadnej przesady – tragiczne. [...] Chcę raz dojść do zamierzonego celu – jeśli trzeba będzie, żebym kłamał – będę kłamał, jeśli zabić – zabiję”<sup>5</sup>.

U Łosia mieszkał przez pewien czas, a zakochany w nim pisarz nie zareagował nawet, gdy Marek sprzedał jego kosztowny perski dywan. To jednak nie wszystko, zdarzyło się również, że Łoś nie mógł się dostać do własnego mieszkania, gdyż Marek spędzał tam czas z Hanką Kruszewską-Kudelską, z którą miał romans. Ostatecznie chłopak wyprowadził się od pisarza. Łoś chyba jednak nigdy nie przestał go kochać, podobnie jak kochało go kilku kolejnych mężczyzn, których słabość Hłasko wykorzystywał.

„Miał zaledwie osiemnaście lat, kiedy zaczął pisać i drukować – skarżyła się matka Marka. – Dostał się w środowisko ludzi dojrzałych, utalentowanych, ludzi – którzy z racji swego talentu stali na świeczniku i uważali się za upoważnionych do tego, aby nas, wszystkich przeciętnych zjadaczy chleba, uczyć, jak należy pięknie żyć. [...] Nauczyli mego syna pić wódkę i chcieli nauczyć wielu rzeczy ohydnych, mimo że przykrytych szatą poezji, ale na szczęście jego zdrowa natura sprzeciwiła się temu [...]. Z rozpaczą widziałam, jak paczy się jego charakter, jak nauczono go kłamać [...]”<sup>6</sup>.

Maria Hłasko trochę przesadzała, Marek pił wódkę już wcześniej, kłamać również potrafił nie najgorzej. Ale faktycznie, bez pomocy znacznie starszych od siebie literatów nigdy nie zrobiłby kariery. Doskonale o tym wiedział i nie zamierzał rezygnować z ich poparcia, chociaż osobiście nie miał upodobania do pederastii.

„Przygarnęli go do stolików w kawiarniach na Krakowskim Przedmieściu – wspominał pisarz Piotr Guzy – te wszystkie byki załgane, szmaty zdarte na nic, ludzie, którzy nawet śniąc, kłamali, obnosili się z nim jak ze zdobyczą nieprawdopodobnie cenną, poili wódką, tego dwudziestoletniego chłopca chcieli przekabacić na własne kopyto, wsączyć własną korupcję w jego czyste serce”<sup>7</sup>.

Czy jednak na pewno wówczas Marek rzeczywiście miał takie „czyste serce”? Czy nie pisał do matki, że „jeśli trzeba będzie, żeby kłamał – będzie kłamał, jeśli zabić – zabije”? Miał trzeźwe spojrzenie na świat i doskonale wiedział, w jakie środowisko wchodzi. We Wrocławiu manipulował zakochanym w nim Stefanem Łosiem, podobnie miało być w Warszawie. Jego atutami były talent, młodzińczy wdzięk i uroda, zamierzał zrobić z tego użytek.

W kwietniu 1954 roku po raz pierwszy pojawił się w Domu Pracy Twórczej w Oborach. Było to spotkanie początkujących pisarzy z okazji zapowiedzianego wydania *Almanachu młodych*, a Hłasko był najważniejszym autorem zbioru. Z miejsca stał się sensacją towarzyską, co zauważył Józef Hen.

„Było słonecznie, ale chłodno. Marek marzył w samej koszuli, na bosych nogach miał sandałki. Uchwaliliśmy wtedy z żoną [...], która ze mną była, że dam Markowi sweter bezrękawnik z dekoltem w szpic. Za dużo pożytku Marek z tego nie miał, a to z powodu nie byle jakiej różnicy wzrostu, w każdym razie pępek miał odsłonięty. Pewna

młoda literatka, wrażliwa na jego urodę, przyniosła mu apaszkę i pamiętam, jak miłośnie, ocierając się niemal o niego, wiązała mu ją na szyi. (Literatka była bardzo ponętna)”<sup>8</sup>.

Hłasko lubił już wtedy szokować zachowaniem. Pił dużo, musiał odsypiać kaca, zatem nie pojawiał się na porannych spotkaniach. Ale prowokował i podświadomie odgrywał już rolę gwiazdora.

„Po południu wchodził na salę z podkurczonymi ramionami – wspominał Piotr Guzy – ręce w kieszeniach, przystawał przy drzwiach [...], w oczach miał błyski rozbawienia, lekkiej kpiny, potem zaszywał się w ostatnim rzędzie i podczas gdy dyplomowani inżynierowie dusz ludzkich wzniosłe celebrowali posłannictwo literatury w okresie budowania zrębów socjalizmu, on, Marek Hłasko, grał w »oczko«. Jednego dnia odezwał się półgębkiem, ale rzecz rozniosła się błyskawicznie po sali, wywołując zamieć śmiechu. Facetka mądrzyła się o partyjności literatury. Popatrzył na nią spod ściągniętych brwi. Wypuścił przez nos dym z papierosa, mruknął: »Taka ładna, nie mogłaby zostać po prostu kurwą, zamiast pchać się do pisania?«”<sup>9</sup>.

Większość nowych znajomych przyjmowała bez zastrzeżeń historię o młodym kierowcy marzącym o karierze literackiej. Wbrew temu, co opowiadała matka Marka, już wówczas dostrzegano jego upodobanie do konfabulacji. Ale uznawano to za przejaw młodszej fantazji, ewentualnie za ćwiczenia literackie. Życie bywa przecież najlepszym źródłem tematów, rzadko jednak nadają się one do wykorzystania bez retuszu. A Marek kłamał podobno w tak uroczy sposób, że nie można było mu się oprzeć...

„Był mitomanem – potwierdzał Andrzejewski – ale sądzę, że nie z potrzeby oszukiwania, lecz na skutek bujnej ochoczości kreacyjnej. Różne okoliczności swego krótkiego podówczas życia potrafił opowiadać w kilku różnorodnych wersjach. Kłamał koszmarnie i plątał się w swoich zmyśleniach jak wspaniała ryba w sieci. Jeśli dla oczu przyjaznych mógł się ze względu na swoją promienną wydawać złotym aniołem, to był archanioł, którym obracał Kusiciel. To było często męczące, lecz częściej – właśnie wspaniałe.

Pił dużo i upijał się często. Rwał się do tej kondycji nie jak radosny Bachus, lecz raczej jak potępieniec, który szuka złudnego wyzwolenia”<sup>10</sup>.

O względy Hłaski rywalizowali: Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Wilhelm Mach, Henryk Bereza, Julian Strykowski. Elita polskiej literatury tego okresu, ludzie bardzo wpływowi. Marek prowadził subtelną grę, wiedząc, że jego wielbicieli wiele mu wybaczą. Ich adoracja była mu potrzebna do promocji własnej osoby, chyba zresztą w tych czasach naprawdę potrzebował akceptacji i przyjaźni.

Jerzy Andrzejewski był wprawdzie żonaty (nawet dwa razy), ale nie ukrywał swojej orientacji seksualnej. W jego życiu pojawiali się różni partnerzy, lecz najważniejsze okazało się okupacyjne uczucie (nieodwzajemnione) do Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Po latach uznał go za swoją największą miłość i do końca życia trzymał jego zdjęcie na biurku. A teraz przyszło nowe i podobnie beznadziejne oczarowanie. Hłasko był jednak zdecydowanie bardziej interesowny od Baczyńskiego, czasami nawet u Andrzejewskiego mieszkał. A zakochany pan Jerzy nie ukrywał przed

nim swoich uczuć:

„Marku, śpisz jeszcze, muszę wyjść z domu, a chciałbym Ci zaraz po przebudzeniu powiedzieć kilka słów. Nienawidzę niejasnych sytuacji. Gdybym nie powiedział Ci o wszystkim wczoraj – robiłbym to jutro albo pojutrze [...]. Zdaje mi się, że bardzo Cię pokochałem. Za wszystko. Jedno mnie tylko męczy: boję się, aby moje uczucia nie były dla Ciebie ciężarem”<sup>11</sup>.

Jeszcze dalej poszedł Wilhelm Mach rywalizujący z Andrzejewskim o względy Hłaski. Czytając jego listy, trudno powątpiewać w uczucie do początkującego pisarza:

„Ukochany. Ukochany Marku mój, Przyjacielu, Bracie najdroższy, najbliższy mi na świecie Człowieku, Światło moje, radości moje i smutku. Ty jesteś miarą mego czasu, objętością mojego serca, drogą doń, niecierpliwością szczęśliwą lub biedą przebudzeń. Ty jesteś moim mówieniem do ludzi, których co dzień spotykam, jesteś też wszystkim, na co patrzę, jesteś formą mojej świadomości, kierunkiem myśli, bólem serca, rozpaczą nad mijającym czasem, nadzieją i brakiem nadziei, szczęściem lub bezsennością, krzykiem wśród nocy, milczeniem wśród zgiełku dnia, jesteś tym, co znalazłem, i jest tak, bo Cię Kocham, i będzie tak, póki Cię Kocham – a wiesz, ile uczciwej i aż bolesnej lęklivosti zawieram w takim sformułowaniu, a wiesz już i powinieneś wiedzieć, że najważniejsza jest wierność w sobie nie zadufana”<sup>12</sup>.

W gronie adoratorów Marka nie mogło zabraknąć Iwaszkiewicza. Pan Jarosław zawsze był wrażliwy na męskie wdzięki i nie mógł dopuścić, aby o względy obiecującego młodzieńca starali się wyłącznie koledzy po piórze. A chociaż zaznaczał, że nie interesuje go seksualna strona znajomości, to jednak deklarował uczucie:

„Drogi mój Maruniu! [...] Serce mi zawsze mięknie jak masło, gdy Ciebie zobaczę. Bardzo to dziwne uczucie, bo w żadnym stopniu nie erotyczne, tylko tak ubóstwiam Cię jako symbol, bo jesteś młody, ładny, zdolny [...]. Całuję Cię bardzo mocno, jak Kocham”<sup>13</sup>.

W połowie lat 50. najważniejszymi pismami literackimi kierowali homoseksualiści. Iwaszkiewicz wydawał „Twórczość”, gdzie działem prozy zarządzał Strykowski (a potem Bereza), Andrzejewski był redaktorem naczelnym „Przeglądu Kulturalnego”, natomiast Mach sekretarzem „Nowej Kultury”. Byli to znakomici fachowcy, ale na ich decyzje wpływ miały czasami ich upodobania seksualne. Podobno kandydat na pisarza powinien zaprezentować się osobiście w redakcji, a dopiero potem zdecydowano, czy go drukować, czy też nie...

Nie zmienia to jednak faktu, że do debiutu konieczny był talent, ale nawet tak uzdolnionemu młodemu autorowi jak Hłasko potrzebne było poparcie. A przyjaźń starszych pisarzy przydała się Markowi, gdy nadszedł czas poboru do wojska. Andrzejewski osobiście rozmawiał z Jakubem Bermanem, w sprawie Hłaski interweniowali „wysoko postawieni dostojnicy Związku Literatów Polskich”, a ich starania popierał kierownik Wydziału Kultury i Nauki KC PZPR. Ostatecznie sam premier Cyrankiewicz uznał, że „więcej korzyści przyniesie Polsce Hłasko piszący niż Hłasko uczący się nosić karabin”<sup>14</sup>.

„[Marek] nie miał wielkiej skłonności do kobiet – uważał Zygmunt Hertz – stąd jego powodzenie, przez obojętność. Miał homoseksualny podkład i starannie to ukrywał,

był w nieustannym wewnętrznym konflikcie. Właściwie nienawidził kobiet: matkę, Sonję, inne, które znam, traktował *en canaille*. I tak poszło!”<sup>15</sup>.

Chyba jednak nie do końca, chociaż Marek zawsze poważnie traktował męską przyjaźń. Co prawda Agnieszka Osiecka uważała, że mężczyźni byli dla niego ważniejsi od kobiet, ale jeszcze przed jej poznaniem przeżył kilka dramatycznych związków. Jedną z jego ówczesnych partnerek, Hanna Kruszevska-Kudelska, zdecydowanie zaprzeczyła homoseksualnym skłonnościom pisarza. A przecież знаła temat z autopsji.

„Rzuciło się nań całe środowisko literackie i dookołaliterackie – twierdził Jerzy Putrament. – Pierwsze, cóż, pobawiło się, pobawiło. Jeden pan podrzucał młodzieńca innemu. Przewrócili mu w głowie, owszem, ale każdy pisarz w końcu odkrywał w nim jego możliwości i zatykało go tym silniej, im sam był więcej wart. Dostrzegał bowiem tempo, w którym ten młodzieniaszek będzie go dopędzać. Wtedy zachwyty traciły jednorodność, spławiało się gościa następnemu. Krytycy byli »wierniejsi«, pociągała ich szansa wylansowania gościa na niebo literackiej sławy, grania przy tym roli usługowej”<sup>16</sup>.

## NA SZCZYCIE

Wydanie *Almanachu młodych* i publikacja w „Sztandarze Młodych” była początkiem błyskawicznej kariery Hłaski. Redakcje prześcigały się w ofertach, a Marek nie zwykł zawodzić. W „Po prostu” ukazało się jego pięć opowiadań, a w „Nowej Kulturze” następne trzy (w tym *Pierwszy krok w chmurach*). Zdecydowanie gorzej szła mu zaś praca typowo dziennikarska, w 1955 roku został bowiem felietonistą „Po prostu”. Wprawdzie oznaczało to stałe dochody, legitymację prasową i możliwość poznania kolejnego środowiska, ale Hłasko nie nadawał się na dziennikarza. To, co porywało w jego opowiadaniach, w artykułach sprawiało wrażenie szablonowej dydaktyki. Marek był jednak pisarzem, a nie publicystą.

Całkowitą klęską zakończyła się natomiast próba pisywania reportaży do „Sztandaru Młodych”. Hłasko jeździł „w Polskę” w poszukiwaniu tematów, za każdym razem trafiał jednak na materiał nienadający się do publikacji. Podwrocławska wieś zamieszkała przez uzależnionych od morfiny chłopów z Kresów czy też amatorski teatr zorganizowany przez pracowników jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych. Nie były to jednak materiały kwalifikujące się do druku, rzeczywistość polskiej prowincji daleko bowiem odbiegała od propagandowych sloganów.

„Przyjechałem wieczorem – wspominał Hłasko po latach – kierownik PGR zorientował się natychmiast, że istnieje okazja uczczenia gościa z Warszawy i zaprowadził mnie do głównego amanta swojego teatru. Amant był właśnie zajęty sporządzaniem kielbas ze świni, którą uprzednio wraz z dyrektorem PGR ukradł i pozbawił życia. Prowadziliśmy rozmowę towarzyską na najwyższym poziomie, wznosząc puchary i konsumując kielbasy; po czym udaliśmy się spać. Następnego dnia wieczorem zebraliśmy się wszyscy w świetlicy. Znowu, żeby uczcić gościa z Warszawy,



kierowniczka teatru kazała miejscowemu tenorowi odśpiewać coś przed przedstawieniem. Na scenę wybiegł młody człowiek i zaryczał: »San Remo, białe miasto nad morzem – jak kocham ci...«. Zdumieni chłopcy siedzący w watowanych kurtkach wytrzeszczali oczy; ale ja bawiłem się dobrze. Następnie zaczęła się sztuka: w momencie, kiedy główny bohater – postać szlachetna i pełna patosu – wygłaszał długą tyradę na cześć obrabiarek, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i tym podobne, na scenę wbiegł jakiś człowiek o dzikim spojrzeniu i z okrzykiem »A ty Jadźki p... nie będziesz« wraził bohaterowi nóż w klatkę z piersiami. Chodziło o jakieś osobiste zatargi na tle miłosnym. Nic z reportażu”<sup>17</sup>.

W tym czasie Marek zdobywał w pełni zasłużoną sławę niegrzecznego chłopca polskiej literatury. Wakacyjny wyjazd na Mazury zaowocował pobiciem w Orzyszu jakiegoś milicjanta po cywilnemu i grzywną w wysokości 150 złotych. Natomiast w Warszawie regularnie odwiedzał słynną Kameralną, gdzie też nie unikał awantur.

„Była to namiastka świata wielkiego, który gdzieś podobno istniał, ale też nie na pewno – tłumaczył poeta Roman Śliwonik. – Ale jeśli nawet był, przelewał się światłami, samochodami, dobrobytem, to dla nas niewiele znaczył, był odsuwany w głąb świadomości, bo fakt jego istnienia głęboko nas upokarzał”<sup>18</sup>.

Wprawdzie większość gości pojawiała się w Kameralnej wyłącznie w celu konsumpcji alkoholu, ale miejscowa kuchnia uchodziła za doskonałą. Klienci głównie zamawiali jednak „koniak i owoce południowe” (pół litra i ogórki), aby w oparach tytoniowego dymu prowadzić niekończące się rozmowy o życiu, polityce i literaturze. Stali bywalcy (wśród nich Hłasko) przechowywali nawet u szatniarzy marynarki i krawaty, gdyż bez tych części garderoby wstęp był zakazany. Do lokalu trafiali również zagraniczni goście, oczywiście o „postępowych” poglądach.

„Zjawił się kelner z otwartą już na zapleczu butelką wina – opisywał wizytę francuskich trockistów Jerzy Gruza – z korkiem wydłubanym widelcem, bo korkociąg, nie używany od lat, gdzieś się zapodział. Podszedł do stolika i zaczął rozlewać czerwony płyn pod nazwą »wino«. [...] Jakaś pijana para w szalonym tańcu wpadła na stolik i przewróciła wszystko do góry nogami, rozbryzgując »wino marki wino« na Francuzów. A macie, żabojady! Wredni trockiści, zachciało się wam wina w naszym budującym podstawy socjalizmu kraju!”<sup>19</sup>.

Jedna z wizyt Marka w Kameralnej zakończyła się złamaniem ręki, rycersko bowiem ujął się za pewną panią i niefortunnie kogoś uderzył. W dodatku był wtedy akurat całkiem trzeźwy! Wypadek ten jednak wcale nie pohamował jego upodobania do tego lokalu.

„»Kameralna« była restauracją pomyślaną bezbłędnie i dzieliła się na trzy części – wspominał po latach – »Kameralna« dzienna pierwsza, »Kameralna« dzienna druga i »Kameralna« nocna. Odkrywczość tego pomysłu gastronomiczno-architektonicznego polegała na tym, że można było zacząć pijaństwo w »Kameralnej« drugiej dziennej już wcześniej rano; po czym można było przejść na obiad do »Kameralnej« dziennej pierwszej, bawić się kielichem do wieczora, kiedy to otwierano »Kameralną« nocną, i tam dopiero wyrobić się towarzysko i dramatycznie”<sup>20</sup>.

Do końca uważał, że więcej na podobny lokal nie trafił. A szukał wytrwale,

knajpiane życie było bowiem stałym elementem jego biografii. Podobnie jak wywoływanie awantur.

„[...] na początku miał swoje dziwactwa, pozy, ale był bardzo autentyczny – wspominał redaktor naczelny »Po prostu« Eligiusz Lasota. – Jednak w miarę tego, jak rosła jego sława i popularność, zaczął się zmieniać. Stawał się idolem, ze wszystkich stron zabiegano o jego towarzystwo: SPATiF, Bristol, Kameralna, Dom Dziennikarza na Foksal – tam trzeba było się z Mareczkiem pokazać. Wielu ludziom o znanych nazwiskach Mareczek imponował, oni zaś imponowali jemu. Zaczęto kreować legendy, a on, chłopak dwudziestoletni, robił wiele, by do tych legend dorastać. Nie miało to wpływu na rozwój jego talentu – ten był nie do pokonania – ale na jego styl życia wpływało niepokojąco”<sup>21</sup>.

Hłasko nie ograniczał się wyłącznie do Warszawy. Gdy jego twórczością zainteresowała się kinematografia, to dał się również poznać w Łodzi, gdzie wówczas mieściła się stolica polskiego filmu.

„W pracy nad *Końcem nocy* zetknąłem się z Markiem Hłaską – opowiadał Roman Polański – który napisał do tego filmu część dialogów. Hłasko nie był słuchaczem szkoły filmowej, przyjaźnił się jednak z wieloma starszymi studentami i cieszył się już pewną sławą samorodnego pisarza o niebywałym talencie, zmyśle dramaturgicznym i dialogowym słuchu. Reputacja Marka wykraczała zresztą poza literaturę. Był to urodzony, pełen wdzięku kontestator, który pozował na proletariusza i często przechwalał się doświadczeniami kierowcy ciężarówki. Zwykle wieczorami można go było znaleźć w »Syrenie«, gdzie rozrabiał lub szukał awantury”<sup>22</sup>.

Broniewski po pijanemu zamęczał znajomych telefonami, natomiast Hłasko w stanie nietrzeźwym osobiście odwiedzał przyjaciół. Pora nie robiła na nim wrażenia, uwielbiał bowiem prowadzić „nocne Polaków rozmowy”.

„[...] kiedyś po pijanemu – wspominał Kazimierz Brandys – wtaszczył nocą do mieszkania Wilka Macha znak drogowy STOP na żelaznym stojaku, bardzo ciężki. Potem do świtu zamęczał Macha pytaniami: dlaczego świat jest straszny, dlaczego ludzie są podli. Znak drogowy był jego gałęzią, Mach księdzem. Hłasko miał wiele cech zdesperowanego playboya, trudno nie było w nim odróżnić cierpienia od »fasonu«. Ale przede wszystkim był utalentowany”<sup>23</sup>.

Zdarzało się, iż „wparowywał nieoczekiwanie głęboką nocą”, przepraszał obudzoną panią domu, „że nie ma kwiatów, wręczając jej wyrwany ze ściany szyld pobliskiej spółdzielni lub coś oryginalnego z pobliskiego śmietniska”. I czy na takiego człowieka można było się gniewać?

Kariera Marka nabierała rozpędu, w listopadzie 1955 roku podpisał umowę na wydanie zbioru opowiadań, a w „Twórczości” (publikowali tam tylko autorzy o dużej renomie) ukazała się jego *Pętla*. Do tego dochodziła jeszcze praca w filmie, przygotował scenariusz do *Pętli*, napisał dialogi (wspólnie ze Stanisławem Dygatem) do *Skarbu kapitana Martensa*, sprzedał również prawa do sfilmowania opowiadania *Głupcy wierzą w poranek (Następny do rajy)*. Zobowiązał się także, że napisze dialogi do ekranizacji kolejnego opowiadania – *Ósmy dzień tygodnia*. Za każdą z tych umów inkasował kwotę równą półrocznej średniej krajowej, nie mógł zatem narzekać na brak

gotówki.

„Do szesnastej 21 stycznia – relacjonował »Express Wieczorny« – wszystkie bilety na film *Pętla* na cały dzień zostały wyprzedane. Dziś od wczesnego rana kasy znowu obległy tłumy, wśród których łatwo odróżnić powszechnie już znanych »koników«, czego milicja jakoś nie potrafi czy nie chce dostrzec. Ceny biletów u »koników« sięgają 36 złotych! Pokątna sprzedaż odbywa się w bezczelny sposób, a bezczynność milicji jest karygodna”<sup>24</sup>.

W maju 1956 roku wyszło pierwsze wydanie debiutanckiego tomu opowiadań Hłaski (10 tysięcy egzemplarzy). *Pierwszy krok w chmurach* cieszył się takim powodzeniem, że niemal natychmiast zdecydowano się na dalsze wydania. W ciągu następnych dwóch lat pojawiły się kolejne nakłady, każdy w liczbie 20 tysięcy egzemplarzy.

„Jest to, być może – uważał Jerzy Pilch – jeden z najbardziej zdumiewających epizodów literatury powojennej [...]. Czternaście lichych opowiadań utrafiło bowiem w czas, który z debiutanta uczynił klasyka. [...] Przepisanie Hłasce waloru arcydzielności jest kłopotliwym spadkiem po epoce, którą rzekomo pisarz ten przekreślał, a w której tkwił po uszy”<sup>25</sup>.

Hłasko faktycznie tkwił po uszy w epoce stalinowskiej, trudno jednak nazwać jego debiut „lichymi opowiadaniem”. Był to Hemingway i Faulkner w PRL-owskiej oprawie, nikt dotychczas nad Wisłą tak nie pisał. Były to utwory ponadczasowe. Osobiście pamiętam, jak na początku lat 80. dopadłem debiutancki tom pisarza. Wcześniej znałem jego utwory emigracyjne, ale nie miałem jeszcze okazji przeczytać w całości pierwszego zbioru opowiadań. I kiedy w jakimś antykwariacie kupiłem mocno sfatygowany tomik, było to prawdziwe święto.

Przekonałem się wówczas, że w legendzie Hłaski nie było żadnej przesady, *Pierwszy krok w chmurach* czytałem z wypiekami na twarzy. Potem książka krążyła wśród znajomych, aż ktoś zaopiekował się nią na stałe. Pamiętam te dyskusje nad opowiadaniem pana Marka, a mieliśmy wówczas już ponad 20 lat i żaden z nas nie był egzaltowaną pensjonarką, wrażliwą na urodę nieżyjącego już autora...

Książkowy debiut Hłaski przyjęły z entuzjazmem środowiska emigracyjne. Pozytywnie wypowiedano się na jego temat na łamach paryskiej „Kultury”, natomiast Gustaw Herling-Grudziński zamieścił recenzję w londyńskich „Wiadomościach”:

„[...] i oto narodził nareszcie się w Kraju nowy nieprzeciętny talent pisarski [...]. Zwróciłem na niego uwagę kilka miesięcy temu, po przeczytaniu w »Twórczości« noweli *Pętla*. Która weszła teraz do omawianego tu zbioru i według mnie powinna być nadać mu tytuł. Nie zdarzyło mi się już dawno czytać rzeczy napisanej z takim wewnętrznym przekonaniem i napięciem [...]. Łatwo się zorientować z tych kilku przykładów, jaka jest ambicja pisarska Hłaski: zdrapywać politurę kłamstwa i mitologii propagandowej z powojennego życia polskiego [...]. Robi on to w sposób na tyle dojrzały artystycznie, że operując samymi tylko realiami, daje coś więcej niż wierny opis fotograficzny. Tworzy atmosferę i to atmosferę niezapomnianą”<sup>26</sup>.

Prasa krajowa prześcigała się w publikacjach opowiadań (kilkanaście nowych utworów), pojawiły się również tłumaczenia na obce języki. Marek wprawdzie



prowadził wyjątkowo rozrywkowy tryb życia, ale jednak również ciężko pracował. Ukoronowaniem jego pozycji stało się przyznanie mu w styczniu 1958 roku Nagrody Literackiej Wydawców.

„Wbrew moim przewidywaniom – zanotowała w swoim dzienniku Maria Dąbrowska – nie było żadnej wielkiej dyskusji i żadnej drastycznej różnicy zdań. [...] Nie tylko wszyscy zgodzili się na Hłaskę, ale dwu matadorów partyjnych: Bieńkowski i Żółkiewski, wygłosiło entuzjastyczne przemówienia na cześć Hłaski. Andrzejewski zresztą nie miał zwolenników, nawet Kott nie bardzo go popierał. W pierwszym głosowaniu Andrzejewski, Bratny i Strykowski mieli tylko po jednym głosie, do drugiego weszli już tylko Hłasko i Szczepański (Jan Józef). I drugie – zdecydowało. Hłasko dostał 9 głosów, Szczepański – 3”<sup>27</sup>.

Marek pozostawił w pobitym polu: Andrzejewskiego (*Ciemności kryją ziemię*), Romana Bratnego (*Kolumbowie. Rocznik 20*), Sławomira Mrożka (*Słoń*), Jana Parandowskiego (*Petrarka*) i Teodora Parnickiego (*Koniec „Zgody Narodów”*). A przecież był to jego pierwszy tom opowiadań, miał wówczas zaledwie 24 lata...

## HANIA

„Piękna, wyrazista twarz – opisywał Hanę Golde Krzysztof Kąkolewski. – Umiała wspaniale patrzeć. Było to spojrzenie pytające, słodkie, zamglone. Towarzyszył mu grymas wydatnych, kształtnych ust; rodzaj pocałunku w przestrzeń. Człowiek oddawał się jej we władzę”<sup>28</sup>.

Po latach Hłasko miał uznać Hanę za swoją jedyną prawdziwą miłość. Była od niego dużo starsza, miała męża i dwoje dzieci. I uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet Warszawy.

„Kiedy zaczął się romans Hani i Marka? – zastanawiała się Kira Gałczyńska. – Romans w tym potocznym znaczeniu jest złym słowem – uczucie, fascynacja, zauroczenie. Poznali się w czasie pracy w »Sztandarze Młodych« – a owo zauroczenie przerywane parokrotnie »ostatecznymi rozstaniem« trwało do czasu wyjazdu Marka. Myślę, że w jakimś stopniu tę decyzję przyspieszyła Hanka, która nie decydowała się na rozstanie z mężem Wiktorem i zamieszkanie z dwójką dzieci, dziewczynek, z Markiem. Była szalona (w tym uroczym sensie), ale nie do tego stopnia! Jako kobieta starsza, dojrzała rozumiała, że Marek jest jeszcze dzieckiem – uroczym, pustym, rozpieszczanym przez wszystkich, mądrych i głupich, i że jeszcze sporo musi upłynąć czasu, zanim będzie dla niej i jej dzieci opoką. Wierzyła jednak, że kiedyś to nastąpi”<sup>29</sup>.

W chwili jej poznania Marek miał niespełna 22 lata i kilka przygód za sobą. Najpoważniejszą z nich był romans z inną mężatką, Hanką (Anną) Kruszewską-Kudelską. Też miała dziecko, co nie przeszkadzało Markowi snuć matrymonialnych projektów. Ale nic z tego nie wyszło. Inna sprawa, że Marek nie należał do najwierniejszych partnerów. A kobiety zawsze miały do niego słabość.

„Najgorsze były redaktorki po wydawnictwach – tłumaczył Putrament. – Polska

Ludowa była jeszcze młoda i one były jeszcze młode, uroda ich liczyła tyle lat co Wydawnictwo.

Tu pomieszało się wszystko: osobiste ambicje wiązania własnego nazwiska z wybuchającą sławą, damskie nienasycenie, jak wiadomo dużo trwalsze od męskiego, a wreszcie instynkty macierzyńskie...

Co która z redaktorek dowiadywała się o niełatwym dzieciństwie delikwenta, zaraz do piekielnej mieszanki wychowawczo-damskiej, dołączało się trzecie: instynkt macierzyński”<sup>30</sup>.

Ale Marek działał praktycznie na wszystkie kobiety, nie tylko na „redaktorki po wydawnictwach”. Przeżył romans ze studentką PWST Teresą Izewską, główną bohaterką *Kanału Wajdy*. Jego rywalem do względów dziewczyny był Janusz Głowacki, także studiujący wówczas aktorstwo.

Największym sukcesem pana Janusza było jednak tylko odprowadzanie Teresy do domu po wieczornych zajęciach, na dobranoc dziewczyna pozwalała mu się pocałować w policzek. Przy tej okazji często byli spisywani przez „tego samego milicjanta”, a Głowacki czekał pod domem, aż w pokoju Teresy zapali się lampa, po czym odchodził. Pewnego dnia wypadki potoczyły się jednak zupełnie inaczej.

„Tak więc całowałem Teresę delikatnie i spokojnie czekałem [...]. Ale raz, kiedy zatrzymałem się pod jej oknem dłużej, bo milicjant postanowił na nowo mnie spisać, do klatki schodowej zbliżył się lekkim skosem autor *Pierwszego kroku w chmurach*.

Przez chwilę miałem jeszcze odrobinę nadziei. Potem w świetle różowej lampy w pokoiku, do którego nigdy nie zostałem wpuszczony, pojawiła się postać Hłaski i lampa zgasła. Spociłem się, mrówki rozbiegły mi się po plecach i chyba zbladłem, bo milicjant przerwał spisywanie, spojrział na mnie z zainteresowaniem i powiedział:

– Za dużo, Głowacki, walicie konia. Szkoda młodego życia.

A ja postanowiłem, że jednak zostanę pisarzem”<sup>31</sup>.

Hanki Golde Marek chyba jednak nie zdradzał, nie bez powodu uważano, że w głębi duszy pozostawał romantycznym chłopakiem, który najchętniej godzinami trzymałby ukochaną za rękę, wpatrując się w jej oczy. Nie zmienia to jednak faktu, że od samego początku jego związek z panią Golde był wyjątkowo toksyczny. Mąż Hanki, Wiktor, był znakomitym biocybernetykiem, profesorem (wówczas jeszcze docentem) Politechniki Warszawskiej, doskonale również zarabiał. Hanka miała zaś zdecydowanie rozrywkowy charakter. Pracowała właściwie dla przyjemności, prowadziła rubrykę mody w „Kurierze Polskim”, współpracowała również ze „Sztandarem Młodych”.

Była częstym gościem w Kameralnej, podobno wchodząc tam, przyciągała spojrzenia wszystkich mężczyzn. Nie gardziła dużymi dawkami alkoholu, miała mocną głowę i zdecydowanie bardziej realne niż Marek spojrzenie na świat.

„[...] kochałem się w życiu tylko jeden raz – wspominał Hłasko na emigracji – było to jedenaście lat temu i potem nigdy już nie kochałem nikogo ani przez minutę; mimo iż bezustannie starałem się stworzyć sobie złudzenia. Wszyscy, którzy mnie znają i pamiętają, wiedzą, iż literatura przestała interesować mnie naprawdę z chwilą, kiedy rozstałem się z Hanią. Ale Hania nie zostawiła mnie samego: dostałem wtedy przydział na mieszkanie i mając wybór między Starym Miastem i Ochotą, wybrałem Ochotę,

ponieważ w domu, w którym mieściło się gniazdo mego przyszłego szczęścia rodzinnego, mieścił się również żłobek dla dzieci; a Hania miała dzieci”<sup>32</sup>.

Marek faktycznie chciał zamieszkać razem z ukochaną, uważał ją zresztą za równorzędnego partnera intelektualnego, Hanka była wykształcona, znała kilka języków. Dostał mieszkanie z puli premiera Cyrankiewicza, partnerka czasami z nim tam mieszkała. Następnie wracała jednak do męża i dzieci, a Hłasko groził samobójstwem.

„Raz Marek podciął sobie żyły pod jej domem – opisywała Barbara Stanisławczyk. – Znalazł go opartego o drzewo Wiktor, przyprowadził do swojego mieszkania i opatrzył. Lubił Marka, chociaż miał powody, by go nienawidzić. A może tylko rozumiał, bo przecież znał to uczucie odtrącenia”<sup>33</sup>.

Rozsądek wziął jednak górę i Hanna nie zdecydowała się ostatecznie opuścić męża. Niektórzy zresztą uważali, że Marek był tylko epizodem w jej życiu.

„Przychodził z nią do mnie – wspominała Helena Wilczkova z wydawnictwa »Czytelnik«. – Była to kobieta bardzo piękna [...], dla niej romans z Markiem był tylko przygodą, jak sądę. Dla Marka chyba odwrotnie, on chciał mieć normalny dom, zając się jej dziećmi. Kiedy już miał to mieszkanie na Częstochowskiej, szykował je w tym celu, aby sprowadzić tam Hanię z dziećmi, lecz koncepcja ta nie wyszła. Dlatego też nie lubił tego mieszkania, gdyż kojarzyło mu się ono z Hanią Golde i nieudanym projektem małżeństwa”<sup>34</sup>.

Przez pewien czas mieszkał tam jednak z Teresą Izewską, najwyraźniej odreagowywał w typowo męski sposób. Niebawem zresztą nawiązał romans z niemiecką aktorką Sonją Ziemann, w jego życiu pojawiła się również Agnieszka Osiecka.

Nie wiadomo właściwie, ile razy z Hanką wracali do siebie, podobno ten związek trwał aż do wyjazdu Marka z kraju. Z upływem lat pani Golde prowadziła coraz bardziej swobodny tryb życia, tak jakby chciała zatrzymać uciekający czas. Związała się wreszcie z dziennikarzem Karolem Małcużyńskim, nawet razem zamieszkali. Małcużyński nie chciał się jednak rozwieść, powrócił do żony, a wówczas Hanka zdecydowała się na samobójstwo. Próba powinna się powieść, połknęła bowiem „dwie fiołki różnych barbituranów, popiła pół litrem wódki i odkręciła gaz”, znaleziono ją jednak dość szybko. W stanie śpiączki trafiła do szpitala, gdzie czuwał nad nią odtrącony mąż, który chyba nigdy nie przestał Hanki kochać. Lekarze nie dawali jej szans, ale Wiktor odmówił odłączenia żony od aparatury podtrzymującej życie. I ku zaskoczeniu wszystkich po trzech miesiącach Hanka odzyskała przytomność. Straciła jednak pamięć i do zdrowia już nigdy nie powróciła, a mąż opiekował się nią aż do śmierci...

## AGNIESZKA

Agnieszkę Osiecką Hłasko poznał na przełomie 1956 i 1957 roku za pośrednictwem jej koleżanki, Hani Żurek. Przyjaciółka miała oddać Markowi książkę, ale po kłótni z nim poprosiła o przysługę Agnieszki. Umówili się na Starówce, pisarz

ignorował początkowo dziewczynę, ta przejęła inicjatywę, a znajomość miała mieć kontynuację.

Marek przypadł do gustu matce Agnieszki, natomiast jej ojciec nie znosił go od samego początku. Dla niego Hłasko był nie tylko brutalem, ale też człowiekiem, który sprowadzał na złą drogę ukochaną córkę.

Tak naprawdę to chyba jednak trudno mówić o uczuciu w tym związku. Hłasko miał za sobą burzliwe przejścia, a ze strony Agnieszki również nie było eksplozji miłości. Spotykali się jednak w miarę regularnie, czasami on nie przychodził na randki, dwukrotnie wspólnie wyjechali do Kazimierza.

„Zamiast świętować miłość – pisała Osiecka – zamiast chuchać na to, to się tak strasznie kręciłam, ponieważ myślałam, że zdążę. Że ja będę zawsze młoda, zawsze Marek będzie młody, że świat na nas poczeka. Nie poczekał”<sup>35</sup>.

Agnieszka była już wówczas studentką łódzkiej szkoły filmowej, działała w STS-ie. Ale nie mogła się porównywać z idolem młodzieży, z człowiekiem, którego niemal każdy utwór uznawano za kultowy. I chyba też specjalnie nie pasowali do siebie.

„Marek po swoich uczuciowych burzach – twierdził Henryk Bereza – chciał związku z kimś, do kogo miałby zaufanie. Widział w niej partnerkę, jeśli chodzi o praktyczną stronę życia. [...] Agnieszka bardzo o niego zabiegała, ale też nie było tu szalu zmysłów”<sup>36</sup>.

Osiecka uważała, że Marek ma „twarz rozgrymaszonego bachora, figurę cowboya, ręce Madonny”. Bez wątpienia imponował jej fizycznie, bowiem „wyższy był od jej pokolenia o pół głowy” i czasami czuła się przy nim „jak mysz polna”. Do tego dochodziła jego mocno skomplikowana biografia, co w połączeniu z nadwrażliwością i skłonnościami do depresji tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę.

„[...] masz w sobie to najpiękniejsze – pisała do niego z Mazur – co może mieć człowiek – prawdę. Nie chcesz być taki jak świat, w którym żyjesz. Nie zgadzasz się na ten świat. Jesteś najodważniejszy z naszego pokolenia, bo widzisz prawdę nawet tam, gdzie to bardzo boli. Jesteś bardzo piękny i bardzo wiele wart. Dlatego bzdurą są te złe słowa, które o sobie mówisz. I bzdurą jest to, czego się boisz, że już nie będziesz pisać. Nie zrezygnujesz z prawdy, więc będziesz pisał. Także najlepiej w naszym pokoleniu, chyba że przestaniesz się buntować. Ale to Ci nie grozi, wiem o tym. Kończę ten trudny list i proszę Cię, żebyś i Ty czasem zostawił kartkę »szukałem Ciebie«<sup>37</sup>.

Porozumienia nie ułatwiała rozłąka. Hłasko mieszkał w Warszawie, Agnieszka studiowała w Łodzi. Wprawdzie często przyjeżdżała do stolicy, ale nie przebywali ciągle razem. A może właśnie tego chcieli?

Na pewno Osiecka okazywała lojalność wobec partnera. Gdy wyjechała do Francji na winobranie, to przemyciła dla paryskiej „Kultury” maszynopis jego powieści *Cmentarze*.

„Agnieszka zjawiała się tutaj na przełomie sierpnia i września 1957 roku – wspominała Zofia Hertz. – To była sobota lub niedziela, więc dom był pusty. Byłam tylko z mężem. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Poszliśmy otworzyć. Otworzyliśmy. Weszła młoda ładna dziewczyna z długim blond warkoczem i powiedziała, że chciałaby rozmawiać z panem Jerzym Giedroyciem”<sup>38</sup>.

Osiecka nie miała pieniędzy, zatem drogę do Maisons-Laffitte odbyła autostopem, co nie było bezpiecznym rozwiązaniem. Niewykluczone, że chciała zaimponować Hłasce odnoszącemu właśnie swoje największe sukcesy.

Był to jednak łabędzi śpiew ich znajomości, w kraju bowiem gwałtownie zmieniała się atmosfera wokół Marka. Kończyła się „odwilż popaździernikowa”, Gomułka i jego ekipa mocno uchwycili władzę. W październiku KC PZPR zdecydował o zawieszeniu działalności tygodnika „Po prostu”, co wywołało zamieszki studenckie. Nowym decydującym partyjnym nie był już potrzebny zbuntowany, młody pisarz przedstawiający w czarnych barwach polską rzeczywistość. Piszący o zakochanych parach niemających własnego kąta, o pijanych na ulicach w samo południe czy też ludziach bez perspektyw życiowych. A do tego skandalizujący swoim trybem życia, romansujący z mężatkami czy rozbijający się po knajpach. Dla takich ludzi nie mogło być miejsca w socjalistycznej Polsce towarzysza Wiesława i jego ludzi. Dlatego też odrzucono dwie powieści Hłaski (*Cmentarze* i *Następny do rajy*), co w praktyce oznaczało, że pisarz nie ma już szans na dalsze publikacje.

## W DRODZE DO PARYŻA

Tym bardziej że Marek dalej sprawiał problemy natury obyczajowej i o jego wyczynach opowiadała cała Warszawa. Jak zwykle zaczynało się od alkoholu, a kończyło na pijackich awanturach.

„Przebywając często w towarzystwie Marka – wspominał Eryk Lipiński – bywałem nieraz wplątywany w jego osobiste, skomplikowane sprawy z dziewczynami i pamiętam, że brałem udział jako mediator w niejednym konflikcie. Marka często ktoś zaczepiał, on sam też zaczepiał siedzących obok niego na stołku barowym czy też przy sąsiednim stoliku. Będąc z nim, zawsze było się w sytuacji konfliktowej, na pograniczu awantury”<sup>39</sup>.

Po latach trudno odróżnić, ile było w tym pozy, a ile rzeczywistej agresji. Marek uparł się, że będzie grał rolę „złego chłopca” polskiej literatury i zachowywał się tak jak jego bohaterowie. Czasami jednak maska twardziela opadała i pojawiał się zwykły, normalny człowiek.

„Pewnej nocy, kiedy siedziałem w Symfonicznej – kontynuował Lipiński – zobaczyłem nagle, że na sali poniżej baru Marek awanturuje się z dwoma zalanymi facetami. W pewnej chwili popchnęli go, Marek wygniótł plecami szybę, która z hukiem pękła. Natychmiast zjawił się kierownik sali i zażądał od Marka pieniędzy. Siedziałem najbliżej z jego przyjaciół. Zawołał do mnie: »Ty! Pożycz trzy stówy, jutro oddam!...«. Chwilę się zawahałem, ale dałem mu te trzysta złotych i spisałem je na straty.

Następnego dnia Marek, o dziwo, zadzwonił, pytając, kiedy będę w domu, bo chce mi zwrócić dług. Kiedy przyszedł, spojrzałem mu prosto w oczy i spytałem, dlaczego na siłę udaje łobuza. Spuścił głowę, zrozumiał, że go zdemaskowałem. Chcąc utrzymać swą legendę, nie powinien tych pieniędzy oddawać”<sup>40</sup>.



Zdecydowanie gorzej bywało w Oborach, Hłasko zresztą przez pewien czas tam nie przyjeżdżał, gdyż wcześniej zdarzyło mu się „zdemolowanie niektórych urządzeń pokoju”, w którym był zakwaterowany. Pojawił się jednak wiosną 1957 roku razem z Jerzym Stawińskim, aby pracować nad scenariuszem filmu według *Bazy ludzi umarłych*. Przez tydzień zachowywał się wzorowo, pewnej nocy Stawiński poszedł jednak na brydża, a Hłasko rozpoczął dyskusję na tematy literackie z innym bywalcem Domu Pracy Twórczej, Tomaszem D. Panowie wypili litr wódki, a po następny pojechali moskwiczem (!) pana Tomasza. Stawiński uznał, że nie dojdzie z nimi do porozumienia, i udał się na spoczynek.

„Obudził mnie hałas na korytarzu – wspominał. – Była chyba czwarta nad ranem. Obaj panowie, chybotąc się lekko, wychodzili na podwórze, gdzie stał samochód. Chwyciłem Marka za ramię. »Nie przeszkadzaj! – powiedział. – To męska potrzeba« i zdjął zegarek. Zrozumiałem, że Humphrey Bogart nie puściłby płazem obrazy: panowie wyjeżdżali, żeby się bić. Marek wiedział, że nie wolno mu urządzać awantur w Oborach, wyzwał więc przeciwnika na udeptaną ziemię gdzieś dalej. O co im poszło, nie wiadomo: zresztą, czy po litrze na głowę można szukać jakiejś logiki? Zgnębiony wróciłem do swego pokoju, ale spałem, budząc się co chwilę”<sup>41</sup>.

Prawdziwe atrakcje zaczęły się jednak dopiero rano. Stawiński wyjrzał przez okno i nie mógł uwierzyć własnym oczom:

„Samochód Tomasza stał, jak zwykle, przed moim oknem: tylko że została z niego połowa. Brakowało całej prawej strony karoserii: tak jak w salonach samochodowych, był to samochód w przekroju. Pobiegłem na górę do pokoju Tomasza. Ten spał głęboko, a na pytania odpowiadał pomrukami. Powróciłem do samochodu, który zachował cztery koła: na tylnym siedzeniu, wśród blachy i odprysków szkła, leżała zakrwawiona koszula Marka. Wyglądało na to, że zginął w wypadku. Rozpacz”<sup>42</sup>.

Prawda była jednak trochę bardziej skomplikowana. Panowie, jadąc na miejsce pojedynku, wpadli pod skład kolejki wąskotorowej relacji Warszawa – Konstancin, „który wyciął cały bok moskwicza”. Hłasce nic się nie stało, „zdarł z siebie koszulę, wytarł zadrapania” i „mocno zawstydzony zwiął wprost do Warszawy”. Nigdy już więcej nie przyjechał do Obór.

Pisarzowi zdarzały się również pobyty na izbie wytrzeźwień. Kiedyś po długiej pijatyce z Henrykiem Berezą uciekł nago (!) i kontynuował libację jeszcze przez wiele godzin. Okryty był tylko serwetą dostarczoną przez Jerzego Putramenta, co nie przeszkadzało mu kilka razy zmieniać miejsca pobytu...

Przy takim trybie życia wszyscy zastanawiali się, kiedy Marek właściwie znajduje czas na pisanie. A pisał ciągle, chociaż zbierały się już nad nim ciemne chmury. Żył jednak we własnym świecie i chyba do końca nie orientował się w tym, co dzieje się w kraju.

„Nigdy nie wiedziałem, kiedy i jak pisze – wspominał Eligiusz Lasota. – Chodził, szwendał się cały tydzień po redakcji, wspólnie odwiedzaliśmy pobliski bar »Jontek« i nagle zniknął, by po 2–3 dniach pojawić się i rzucić mi na biurko zmięty maszynopis. Zawsze otrzymywałem jego teksty pisane na maszynie, choć chyba wtedy własnej, poza redakcją, nie posiadał. Zwykle szedł, na rauszu albo na kacu, do pani Wilczkowej lub

innej z zaprzyjaźnionych osób, wysypiał się, brał kąpiel i siadał do maszyny. Wiedziałem, że jeśli Marka nie ma w redakcji, szlaja się i jest cały pomięty, to na pewno coś w nim dojrzewa”<sup>43</sup>.

Pomagała mu w tym wręcz nieprawdopodobna pamięć, ponoć jeszcze jako nastolatek potrafił po jednorazowym usłyszeniu (!) powtórzyć bezbłędnie monolog Adolfa Dymyzy wygłaszany ze sceny Teatru Syrena. Swoimi możliwościami zaskakiwał też Leopolda Tyrmanda:

„Przychodził do mojej kuchni na Bielanach, siadał na taborecie, jadł jugosłowiańskie sardynki i opowiadał, co napisze. Nigdy mu nie ufałem, że zapamięta, ale potem, w druku, było tak, jak mówił, albo i lepiej”<sup>44</sup>.

We wrześniu 1957 roku Hłasko poprosił Jerzego Giedroycia o wstrzymanie druku *Cmentarzy* dostarczonych do Paryża przez Agnieszkę Osiecką. Obawiał się, że po publikacji w „Kulturze” nie otrzyma paszportu, a planował wyjazd do Francji. Dostał bowiem stypendium Fundacji Forda, niewiele jednak brakowało, aby podróż nie doszła do skutku.

„Miałem stypendium do Paryża – mówił dziesięć lat później – paszport w kieszeni, kiedy przyszło niby niewinne wezwanie do uzupełnienia służby wojskowej. [...] Chodziło o to, żeby mi zabrać paszport i żebym nie mógł wyjechać. Nie czekałem ani chwili. Nie miałem jednak pieniędzy. [...] Pożyczył mi nieco »żywej gotówki« ówczesny korespondent jednego z pism amerykańskich. Kupiłem bilet i pojechałem do Paryża”<sup>45</sup>.

Hłasko faktycznie nie dysponował wówczas gotówką, zdołał już nawet przepuścić Nagrodę Wydawców (20 tysięcy złotych). Przed wyjazdem przekazał jednak matce długą listę swoich dłużników, zarówno instytucji państwowych, jak i osób prywatnych. Zdążył się również oświadczyć Agnieszce Osieckiej i został przyjęty. Narzeczona odwiozła go wraz z przyjaciółmi na lotnisko, skąd odleciał do Paryża.

„W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, w lutym, wysiadłem na lotnisku Orly z samolotu, który wystartował z Warszawy. Miałem przy sobie osiem dolarów; miałem dwadzieścia cztery lata; byłem autorem wydanego tomu opowiadań oraz dwóch książek, których wydać mi nie chciano. Koledzy żegnający mnie na lotnisku nie wierzyli, że wrócę; ja ani przez chwilę nie myślałem, że pozostanę. Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że świat dzieli się na dwie połowy, z tym jednak, że w jednej z nich jest nie do życia, w drugiej nie do wytrzymania”<sup>46</sup>.

## NAGONKA

„Ostatnie dwa lata można by określić jako okres jakby nieobecności partii na froncie kultury – ubolewał Leon Kruczkowski jesienią 1957 roku. – Wycofywanie się z walki, z aktywnego wpływania na rozwój procesów i zjawisk, ograniczanie się jedynie do najbardziej administracyjnego typu ingerencji, ingerencji negatywnej, a mianowicie cenzuralnej w wypadkach szczególnie jaskrawych”<sup>47</sup>.

Hłasko nie miał szans na wydawanie w kraju, gdyż w jego nowych utworach pojawiły się akcenty polityczne. Pisarz dojrzał, ewoluował i nie zamierzał poddać się rygorom partyjnych wydawców, co oznaczało, że będzie zmuszony pozostać na emigracji.

Odlatując do Paryża, musiał to brać pod uwagę, dlatego też zostawił matce dokładne instrukcje finansowe. A niebawem doszło do wydarzeń, które ostatecznie przekreśliły możliwość jego powrotu.

Na przełomie marca i kwietnia nakładem Instytutu Literackiego wydane zostały utwory odrzucone w Polsce (*Cmentarze* i *Następny do rajy*). Drukowała je także w odcinkach emigracyjna prasa, a dodatkowo Hłasko otrzymał nagrodę literacką „Kultury” dla najlepszego pisarza krajowego.

„[...] gdyby Hłasko pisał po francusku – uważał Jerzy Stempowski – byłby już autorem pierwszej klasy, modnym i czytany, płynącym w głównym nurcie aktualności. Nie wiem, czy uda mu się znaleźć na Zachodzie czytelników w tłumaczeniu”<sup>48</sup>.

Nagroda „Kultury” zrobiła w kraju ogromne wrażenie, a zachwyty nad emigracyjnym tomem nie ukrywali doświadczeni literaci. Maria Dąbrowska przyznała, że „książka jest świetna”, a sam Marek stał się bardzo „dobrym pisarzem”. Obawiała się jednak, że paryskie wyróżnienie oznaczać będzie dla niego śmierć cywilną w kraju.

Miała rację, komunistyczni notable zareagowali bowiem wyjątkowo nerwowo. Sygnał do nagonki na Hłaskę dał sekretarz KC PZPR Jerzy Morawski. Na początek zaatakował *Pierwszy krok w chmurach*.

„Czy Komisja Kultury wywarła jakiś wpływ, kiedy była przyznawana nagroda wydawców? – oburzał się na posiedzeniu KC. – Przydzielenie tej nagrody Hłasce było szkodliwe i nie przemyślane. Mimo walorów artystycznych tej książki nie uwzględniono jej postawy ideowej i moralnej”<sup>49</sup>.

Oficjalne stanowisko władz zaprezentowano na łamach „Trybuny Ludu”. W kwietniu pojawił się tam obraźliwy artykuł (*Primadonna jednego tygodnia*), którego autor zaatakował najnowsze dzieło Hłaski, nazywając je paszkwilem na socjalistyczną ojczyznę.

„Rzecz dzieje się w Warszawie. Ale Warszawa to szczególna: Warszawa zarzyganych pijaków w rynsztokach, prostytutek, wabiących z bram przechodniów, nędznych, zastraszonych ludzi przemykających się między patrolami wojska i milicji, kłamliwych plakatów na parkanach, Warszawa ponurego bezuśmiechu i błota, błota, lepkiego, wsysającego błota, oświetlona jednym krwawym neonem »Sztandaru Młodych«, wykrzyknikiem beznadziejności i grozy. Tak widzi Hłasko swoje miasto”<sup>50</sup>.

W prozie Marka doszukiwano się nawet wpływów Orwella, co stanowiło zarzut najgrubszego kalibru. Według Hłaski Polska była krajem „strachu, podłości, oszustwa, terroru”, gdzie królowały „nienawiść i obłuda”, a pozbawionym nadziei ludziom pozostawała tylko wódka.

„Szum, jaki w związku z tym zaczynają podnosić pisma i rozgłosie zachodnie, każe przypuszczać, że będziemy świadkami zwykłego w takich wypadkach spektaklu, z huczną reklamą beniaminka w całej prasie kapitalistycznej i zgiełkliwą radością



wszystkich wrogów komunizmu od Bonn do Nowego Orleanu”<sup>51</sup>.

Do kampanii przyłączył się również Artur Sandauer. Znakomity krytyk uznał *Następnego do raju* za utwór „pisany lewą nogą” i „obliczony na najbardziej brukowy efekt”. Przy okazji zarzucił Hłasce plagiat (!), utwór miał być nieudolną kopią filmu i powieści *Cena strachu*. Marka usiłowała bronić Dąbrowska, która zauważyła, że „unicestwienie” zdolnych pisarzy jest krajową specjalnością i gdy „ledwo pojawił się w Polsce tak wyczekiwany autentyczny talent, już ogłasza się jego upadek”. Oczywiście żadne z pism nie wydrukowało opinii Dąbrowskiej, artykuł opublikowano dopiero w 1964 roku!

Z ekranów zniknął *Ósmy dzień tygodnia*, film wycofano również z festiwalu w Cannes. Nie było szans na kolejne wydania, nie planowano już publikacji nowego zbioru opowiadań złożonego z utworów drukowanych wcześniej w prasie.

Szeroko natomiast komentowano wywiady udzielane przez Marka na Zachodzie. W każdej wypowiedzi doszukiwano się ataków na PRL, a przy okazji informowano opinię publiczną, że pisarz prowadzi hulaszczę życie na koszt i w otoczeniu wrogich Polsce imperialistów.

„Wywiady Hłaski dla burżuazyjnej prasy zachodniej – pisał Piotr Wasilewski – stanowiły dla władz w Polsce dobry pretekst do zburzenia pozytywnej legendy pisarza. Jego obrońcom w kraju zamykano usta, choć część niedawnych »przyjaciół« zamilkła z własnego wyboru”<sup>52</sup>.

Marek faktycznie popełniał błędy, chyba sam zresztą jeszcze do końca nie wiedział, czego chce. Kilka lat później surowo oceniał własne zachowanie:

„Przyjechawszy do Paryża, zachowywałem się jak ostatni idiota. Nie wiem, dlaczego czułem się tak beznadziejnie śmieszny i samotny. Kiedy szedłem ulicą i patrzyłem na tych wszystkich ludzi siedzących w kawiarniach, śmiejących się i pijących, zdawało mi się, że jestem najbardziej nędzną figurą. Oczywiście nie przyszło mi nawet do głowy, że powinienem pójść do jakiejś szkoły i zacząć się uczyć francuskiego”<sup>53</sup>.

## MAISONS-LAFFITTE

Hłasko był bardzo utalentowany, nigdy jednak nie przejawiał zdolności lingwistycznych. A to w obcym środowisku źle rokowało na przyszłość.

„[...] wyjątkowa inteligencja, wrażliwość, odwaga – uważał Konstanty Jeleński. – Ale nie wydaje mi się łatwo »adaptable«. Ma na pewno zupełny antytalent do języków – z tych antytalentów fenomenalnych. [...] Jeśli będzie musiał pozostać na Zachodzie – będę pierwszy starał się mu naprawdę we wszystkim pomóc. Ale jest w nim silny element autodestrukcyjny, który w tym środowisku może przybrać przerażające rozmiary”<sup>54</sup>.

Wprawdzie zaczęły się pojawiać tłumaczenia jego utworów, ale Hłasko obawiał się, że ich tematyka była zbyt polska, aby zapewnić sukces w Europie Zachodniej.

Niepokój zamieniał się we frustrację, co dostrzegało otoczenie pisarza.

„[...] legenda o nim jest zupełnie fałszywa – twierdził Jerzy Giedroyc. – Wcale to nie jest alkoholik. To po prostu chłopiec, skrzywdzony i nieszczęśliwy chłopiec, który się zbuntował”<sup>55</sup>.

Hłasko miotał się, wolny świat go rozczarowywał, ale w Polsce był skończony jako pisarz. Wiedział, że czeka go służba wojskowa w marynarce wojennej (na okrętach podwodnych) trwająca 3,5 roku! Z reguły kierowano tam poborowych o drobnej budowie ciała, ale dla Hłaski zamierzano zrobić wyjątek...

„Rzygać mi się chce – pisał do Agnieszki Osieckiej – patrząc na małość i nędzę tego świata; na tych embrionów w samochodach, na tę zorganizowaną, wymoszczoną ułatwioną i ratalnie spleconą drogę do śmierci. Najszczęśliwszy byłem w Polsce – kiedy nie miałem co jeść, co palić, kiedy chodziłem w podartych portkach i kiedy wierzyłem, że jakoś sobie ułożę swoje życie”<sup>56</sup>.

Giedroyc chciał wylansować Hłaskę na rynku europejskim, a następnie wyprawić go do Stanów Zjednoczonych. Z punktu widzenia marketingowego było to rozsądne rozwiązanie, dyskutowano tylko, jakie metody zastosować wobec młodego pisarza.

„Hłasko powinien teraz się »otrzeć« o inny świat – uważał Andrzej Bobkowski – niech nawet nic nie napisze przez dwa, trzy lata, ale niech wejdzie w normalne, zwykłe życie i inną aurę kulturalną. Paryż mu jej nie da. Tam weźmie forszę za tłumaczenia, puści na dziwki i wódę, na szlampaty styl parysko-intelektualny i cześć. Byłoby go szkoda. On nie ma żony tak jak Miłosz. [...] I uważać z robieniem z niego gwiazdy”<sup>57</sup>.

W pierwszych tygodniach pobytu we Francji Hłasko bardzo się pilnował i nie zamierzał przepuszczać pieniędzy „na dziwki i wódę”. Inna sprawa, że specjalnie ich wówczas nie posiadał, starał się zresztą nie zawieść swoich opiekunów.

„Zachowywał się początkowo bardzo przyzwoicie – wspominała Zofia Hertz – przez trzy miesiące nie wypił nawet kieliszka wina. Prowadził oryginalny tryb życia. Kładł się spać około trzeciej w nocy, spał potem do południa, a na dole pojawiał się dopiero na obiad. Lubił w nocy przychodzić do naszego pokoju, siedzieć godzinami i opowiadać wszystko, co mu przyszło do głowy. Zygmunt tego nie wytrzymał, zasypiał, a ja potakiwałam na wpuł uśpiona. Adorowało go wiele kobiet”<sup>58</sup>.

„Przyzwoite” zachowanie Hłaski nie trwało jednak zbyt długo. W jego życiu ponownie pojawił się alkohol, znów zaczął przejawiać skłonność do awantur. W efekcie zraził do siebie potencjalnych kontrahentów z USA, wprawdzie dostał zaproszenie od jednej z tamtejszych fundacji, ale wyjazd nie doszedł do skutku.

„Podczas przyjęć wydawanych przez polskich emigrantów – pisano na łamach tygodnika »Time« – stał się gościem wzbudzającym postrach. Raz, będąc w gościnie u znajomych, zaczął gwizdać na palcach jak »warszawski chuligan«, a gdy inny gość udowodnił, że umie głośniejsz gwizdać, Marek wściekłym ruchem przewrócił stół, tłukąc butelki z trunkami i porcelaną. Amerykańska fundacja bez słowa odwróciła się od tak kapryśnego i nierównego usposobienia protegowanego”<sup>59</sup>.

Najpilniejszą sprawą stało się przedłużenie ważności paszportu, w tym celu polskie władze skierowały Marka do Berlina Zachodniego. Gdy jednak pojawił się w Polskiej Misji Wojskowej, to zażądano od niego powrotu do kraju, na co się nie

zgodził. W efekcie miasto nad Sprewą stało się dla Hłaski pułapką, mógł tam tylko zostać lub powrócić do Polski. Żadne państwo świata nie przyznałoby bowiem wizy posiadaczowi nieważnego paszportu.

Marek nie zamierzał jednak spędzić reszty życia w Berlinie i poprosił o azyl polityczny. Trafił do obozu dla uchodźców, ale nie przebywał tam długo. Wkrótce otrzymał dokumenty azylanckie, dzięki czemu mógł podróżować po świecie. Obawiał się jednak, że Polski już więcej nie zobaczy...

## SONJA

„Kochało się go zazwyczaj 24 godziny – pisał o Hłasce Leopold Tyrmand. – Nie można było dłużej. Kilka pań próbowało, ale żadnej nie wyszło. Znaczne ilości innych koleżanek rozumiały instynktownie prawa gry. I te mają dziś piękne wspomnienia”<sup>60</sup>.

Sonja Ziemann, jedyna prawowita żona Marka, zachowała jednak o nim ciepłą pamięć. Poznali się w 1957 roku podczas realizacji *Ósmego dnia tygodnia*, film był produkcją polsko-zachodnioniemiecką. Główne role grali Zbigniew Cybulski i Sonja, a gdy na planie pojawił się Marek, to natychmiast uległ urokowi niemieckiej aktorki.

„Był podobny do Jamesa Deana, ale znacznie od niego wyższy – wspominała Sonja. – Nasze spojrzenia się spotkały, skrzywił się, jakby przed chwilą napił się octu, i patrzył we mnie uporczywie, bez zmrużenia powiek, jakby chciał mnie zahipnotyzować. Rzeczywiście było w jego spojrzeniu coś hipnotycznego. Przeszliśmy w inne miejsce, aby kręcić następną scenę i kiedy skończyliśmy, znowu dostrzegłam owego młodego człowieka. [...] Stał oparty o dekoracje i nieustannie wodził za mną wzrokiem. Zapaliły się światła, zniknął za nimi, dalej czułam jednak na sobie jego spojrzenie, poczułam się nieswojo”<sup>61</sup>.

Sonja była od niego o osiem lat starsza, miała syna, była właśnie w trakcie rozwodu. W zachodnich Niemczech uznawano ją za gwiazdę, nigdy też nie narzekała na brak pieniędzy. Początkowo rozmawiała z Markiem wyłącznie przez tłumacza, co jednak nie przeszkodziło im nawiązać romansu. Marek znał bowiem „seksualny niemiecki”, a to rozwiązywało wszelkie problemy językowe.

„Kiedy rano pukano do drzwi hotelowego pokoju – opowiadała Sonja – żeby zabrać mnie na zdjęcia, robił tak – składał ręce jak człowiek, który chce dać nurka do wody – i pytał: »Bul, bul, bul? – mam się schować w łazience? Czy też – tu poruszył ramionami jak skrzydłami ptak – na balkonie«”<sup>62</sup>.

Zaprosił ją do Kazimierza, gdzie czasami wyjeżdżał, aby spokojnie pisać. Bywał tam wcześniej z innymi paniami, zresztą równolegle romansował też z Agnieszką Osiecką. Sonja również miała stałego partnera, był nim niemiecki impresario Harry Heidemann, łączyły ich sprawy zawodowe i prywatne. Heidemann zresztą pojawił się w Polsce i razem z nimi pojechał do Kazimierza, a towarzyszył im także fotograf Otto Skibowski z żoną.

„Pamiętam, że w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy – wspominał Hłasko po latach

– jechaliśmy z Warszawy do Kazimierza jej samochodem; jest to najbardziej pijany dzień w Polsce, gdyż wtedy – jak to się mówi – żeni się wieś. Z Warszawy do Kazimierza jechałem samochodem marki BMW, którym można było śmiało jechać sto sześćdziesiąt, parę godzin. Drogi były pełne pijanych chłopów, pijanych furmanów, pijanych cyklistów i ludzi goniących się z cepami, nożami, widłami i innymi tego rodzaju akcesoriami zabaw ludowych, których nie uwzględniła Maria Dąbrowska w swoim opowiadaniu *Na wsi wesele* [...]”<sup>63</sup>.

W Kazimierzu Skibowski wykonał serię zdjęć Sonji i Marka, sprawiając na nich wrażenie zakochanych, nieprzejmujących się obecnością Heidemanna. Hłasko nauczył się kilku zdań po niemiecku, nazywał ją czule „gestapówką” i „przeklętą Prusaczką”, a Sonja była zachwycona.

„Pociągała mnie też charyzma, która z niego po prostu emanowała – tłumaczyła. – Nie znał niemieckiego, ja polskiego, a przecież potrafił przekazać mi swoje uczucia, myśli i wrażenia. Myśli porywające, wrażenia, jakich wcześniej nie znałam, których istnienia mogłam się tylko domyślać. Miał absolutne poczucie humoru, tak jak inni mają słuch absolutny. [...] Miał wyobraźnię, która porywała. Mówiąc najprościej – był to człowiek, któremu nie mogłam się oprzeć. Fascynował mnie. A, u licha, nie byłam przecież szesnastolatką”<sup>64</sup>.

Zachwyty Niemki nie powinien dziwić, przez całe życie Marek miał ogromne powodzenie, mawiano, że jednakowo uwielbiały go „damy i dziwki”. Urokowi pisarza ulegały praktycznie wszystkie kobiety w jego otoczeniu, co wzbudzało irytację innych mężczyzn.

„Najdziwniejsze jest jego powodzenie u kobiet – pisał Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza. – Tego nie rozumiem: brudas aż śmierdzi, pijak okazyjny, awanturnik też okazyjny. Myślę, że rozwija pawie ogon czarów przez krótki okres czasu, bierze na litość czy samotność”<sup>65</sup>.

Hłasko skontaktował się z Sonją niebawem po przyjeździe do Paryża, aktorka miała jednak zobowiązania zawodowe, więc spotkali się dopiero po kilku tygodniach. Nad Sekwanę przyjechał jednak także Heidemann i Hłasko musiał się zadowolić rolą drugiego mężczyzny w życiu aktorki. Spotykali się potajemnie, a romans trwał również po uzyskaniu przez Marka azylu. Poznał wówczas jej rodzinę, spędził z nią dwutygodniowe wakacje na wyspie Sylt we Fryzji. Dla Sonji było to niezapomniane przeżycie.

„Marek z miejsca podbił serce Pierre’a [syna aktorki – S.K.], podrzucając go na przywitanie, żartując z nim i robiąc mu kawały. Mamie codziennie rano wręczał bukiet róż, tak samo jak mnie. Zwracał się do niej »madame Alice«, przyklękał przed nią na jedno kolano jak paź przed królową i dopiero potem podawał jej róże, schowane dotąd za plecami. A przy tym patrzył na nie z wielkim zdziwieniem, jakby nie wiedział, skąd się wzięły. Był zabawny, miał rozbijający wdzięk. Mama nazywała go *Rosenkavalier*, różanym kawalerem, papę zawojował już pierwszego wieczoru polskimi i rosyjskimi piosenkami”<sup>66</sup>.

Ale Sonja nie potrafiła podjąć decyzji, z Heidemannem łączyło ją zbyt wiele spraw. Marek uznał, że nie będzie dłużej czekać i zdecydował się na wyjazd do Izraela.

Namawiał go do tego jego przyjaciel, Jan Rojewski, który z racji żydowskich korzeni osiadł w tym kraju. Hłasko nie dał się długo prosić i niebawem podążył na Bliski Wschód.

## HŁASKO I FINANSE

Po upływie niemal pół wieku od śmierci pisarza należy wreszcie skończyć z legendą o jego ubóstwie na emigracji. Nie potwierdziły się bowiem obawy o braku zainteresowania jego twórczością wśród europejskich czytelników i Hłasko całkiem przyzwoicie zarabiał. Był najbardziej popularnym polskim autorem na świecie, a jego utwory ceniono nawet wyżej niż *Quo vadis* Sienkiewicza.

Tłumaczono go na wiele języków, zbiory jego opowiadań ukazały się: w Niemczech, Hiszpanii, Jugosławii, USA, Wielkiej Brytanii, we Włoszech, w Szwecji, Norwegii, Danii, Finlandii, Korei Południowej, Japonii. Drukowała go europejska prasa, podpisywał umowy na nowe utwory, dostawał zamówienia na scenariusze, na podstawie jego prozy realizowano filmy. Problem stanowiły jednak przyzwyczajenia Marka, na emigracji pozostał bowiem takim samym utracjuszem jak w kraju.

Jego niemiecki wydawca Wilhelm Moll po latach opowiadał następującą historię:

„»Przyszedł do mnie Marek i chciał, bym dał mu pieniądze.

– Za co? – zapytałem. – Przecież nic jeszcze dla mnie nie napisałeś!

– Jak to, przecież ci opowiedziałem ten kawałek.

– To za mało, chciałbym to zobaczyć na biurku.

– Na biurku? To ja ci zaraz to biurko roz... – i wyrócił je«.

Ze strachu Moll dał mu 3 tysiące [zachodnich marek – S.K.] zaliczki. Potem się pogodzili i poszli do restauracji na obiad. W drodze powrotnej spotkali starą prostytutkę stojącą na rogu ulicy. A było zimno, mroźno. Marek przystanął, sięgnął do kieszeni, gdzie schował całą zaliczkę – portfela nigdy nie nosił – wyjął garść banknotów i wręczył kobiecie, mówiąc: »Idź do domu, jest zimno«. Moll nie mógł uwierzyć; parę godzin wcześniej o mało go nie pobił z powodu pieniędzy, a teraz rozdaje całymi garściami”<sup>67</sup>.

To nie był wyjątek, chętnie płacił za innych, nie żałował też pieniędzy na kwiaty i prezenty dla kobiet. Tym bardziej że w kontaktach z płcią piękną „łatwo przechodził od kwiatów do kopa, nie bardzo wiedząc, kiedy stosować jedno, kiedy drugie”. A w ramach ekspiacji rujnował się finansowo.

„[...] w tym dniu otrzymał od swego wydawcy przekaz na sporą sumę pieniędzy – wspominała Sonja. – Podjął je z banku, bezzwłocznie wrócił do domu, kazał mi się szybko ubrać i zawiózł mnie na Bahnhofstrasse, wtedy najdroższą ulicę Europy. Z wielkim trudem udało mi się go przekonać, że nie musimy niczego kupować. I wtedy nie poszedł pić. Kilka godzin przed premierą [Ziemann grała wówczas w teatrze w Zurychu – S.K.] wymknął się jednak z domu i wrócił ze wspaniałą brylantową broszą. Po premierze też nie pił – nie miał za co, wszystkie pieniądze wydał na broszę”<sup>68</sup>.

Marek nie pił jedynie wtedy, kiedy pracował, ewentualnie gdy przepuścił już



wszystko. Często zaciągał pożyczki u przyjaciół, wprawdzie z reguły zwracał długi, ale powoli tracił kontrolę nad swoją sytuacją finansową. Z powodu rozrywkowego trybu życia zmarnował zresztą niejedną szansę na sukces.

„[...] z Markiem nie jest dobrze – martwił się Jerzy Giedroyc. – Rozrabia jak w Warszawie, pije strasznie, puszcza pieniądze etc. Teraz wyjechał do Włoch. Nie mam nawet jego adresu i nie wiem, gdzie odsyłać jego korespondencję. Tu zaś leżą nie podpisane kontrakty, listy etc. I to przy narastającym powodzeniu w Stanach!”<sup>69</sup>.

Gdy Hłasko był w dobrym humorze, to rozrzutnością potrafił zaskoczyć nawet obsługę lokali na Lazurowym Wybrzeżu, przywykłą do ekstrawagancji możliwych tego świata. Zapewne dlatego też właściwie zawsze był bez pieniędzy...

## IZRAEL

Izraelską wizę Marek dostał za pośrednictwem dziennika „Maariv”, miał dla tej gazety pisać felietony. Do Tel Awiwu przybył w glorii znanego pisarza, jego przyjazd relacjonowała miejscowa prasa. Ale wszystko potoczyło się, jak to zwykle u Hłaski, zupełnie inaczej, niż planowano.

Na początek pojechał do kibucu Gan Szmuel, gdzie przebywał już Rojewski. Wizyta pisarza całkowicie zburzyła senną egzystencję gospodarstwa.

„[...] nagle Hłasko zjawił się w kibucu – wspominał jego kierownik – pijany, z *Biblią* w rękę, z korowodem korespondentów »Life«, »Time«, »L'Express« i innych; telefony się urywały, warszawskie podniecone Żydówki zalewały kibuc, transporty alkoholu nadchodziły bezustannie, a Hłasko i Rojewski siedzieli zamknięci w pokoju i chlali. Normalne, poważne, pracowite życie kibucu przewróciło się do górami nogami i Szlomo wyrzucił ich obu”<sup>70</sup>.

Marka jak zwykle otaczały zafascynowane nim kobiety, bez problemu porozumiewał się w rodzimym języku, czasami mawiał nawet, że czuje się tak jak w Warszawie. Cieszył się dużą popularnością, podobno „wszyscy chcieli się z nim fotografować jak z niedźwiedziem”. W efekcie jego głównym zajęciem było „przesiadanie na plaży”, a potem „szedł do bab albo był gdzieś zapraszany”. Pisanie felietonów jednak mu nie wychodziło, Hłasko naprawdę nie nadawał się do regularnej, terminowej pracy.

Coraz częściej myślał też o powrocie do kraju, czuł, że jako pisarz marnuje się za granicą.

„Postanowiłem powrócić do Polski – mówił w wywiadzie dla dziennika »Lamerchaw« – bo jestem przekonany, że pisarz pozbawiony ojczyzny traci swoją zdolność pisarską. Z każdym dniem mojego oderwania od ojczyzny wzrasta przepaść. Jestem pisarzem polskim. Tematy i problemy, którymi się zajmuję, są związane z Polską i jej rzeczywistością, i chcę wrócić do domu. [...] Nie jestem w stanie w obecnej chwili pisać książek czy opowiadań”<sup>71</sup>.

Prosił o pomoc Agnieszkę Osiecką, z którą wciąż prowadził intymną

korrespondencję. Nie przeszkadzało mu to „kosić bab jak ułan”, trudno nawet zliczyć jego ówczesne podboje. Kobiety stały niemal w kolejce do jego łóżka, trafiły się jednak również dwa poważniejsze związki: z Luizą Schaffer i Esther Steinbach.

Osiecka marzyła o wspólnym życiu z Markiem, chciała nawet osobiście interweniować u Gomułki. Nie dotarła jednak do szefa partii, zresztą okreśną drogą (poprzez matkę i Zofię Gomułkową) dowiedziała się, że towarzysz Wiesław wyjątkowo nerwowo reagował już na samo nazwisko Hłaski.

Marek zasypywał Agnieszkę nowymi pomysłami, a jednym z nich był ślub *per procura*. Do małżeństwa jednak nie doszło, polscy urzędnicy zażądali bowiem od pisarza świadectwa potwierdzającego brak przeszkód prawnych. Hłasko nie mógł spełnić warunku, był bowiem bezpieczeństwa, a jurysdykcji izraelskiej podlegał wyłącznie pod względem karnym.

Kontakt powoli zanikał, Marek przesłał jeszcze Agnieszce kożuch, który później nosił zresztą Frykowski. Coraz więcej „złopał i kurwił się”, czasami jednak pracował, musiał przecież z czegoś żyć.

„W Izraelu chwycił się różnych zajęć – wspominał Henryk Rozpędowski – przeważnie prac fizycznych, pił, tęsknił, przemierzył cały kraj od Galilei po Morze Czerwone, od Morza Śródziemnego po Góry Judzkie. [...] Namawiałem go do powrotu do Europy, bo wydawało mi się, że w Izraelu jako pisarz nie ma swojego środowiska, nie zna języka hebrajskiego i nigdy nie będzie w nim pisać, że się zmarnuje, a może straci talent. Czasem mieszkał u nas, nad morzem koło Herzli, w osiedlu dla nowych emigrantów. Związała się między nami przyjaźń. Szczerze, jak ja, Izrael polubił, więcej, robił wrażenie, że ten kraj gorąco pokochał. Okazało się później, że czasu tam nie stracił, zebrał masę obserwacji i spożytkował je w opowiadaniach i krótkich powieściach izraelskich”<sup>72</sup>.

Pokochał zresztą nie tylko Izrael, gorące uczucie połączyło go również z jedną z jego obywaterek, Esther Steinbach. Dziewczyna miała 21 lat i właśnie kończyła służbę wojskową, a Marka poznała na kursie sztuki aktorskiej. Oczywiście uległa urokowi pisarza, któremu przypominała Hanę Golde.

„Pierwsze, na co zwróciłam uwagę u Marka – opowiadała Esther wiele lat później – to były jego dłonie – najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałam. Ciągłe używał ich, żeby wyrazić uczucia, i zawsze opowiadały jakąś historię: dobry nastrój, zły nastrój, złość, gniew. Mogłam bez końca wpatrywać się w jego piękne długie palce i byłam zahipnotyzowana. Marek był też pierwszą osobą, jaką widziałam z artystycznym tatuażem. Dzisiaj tatuaże są modne, ale w tamtych czasach jedynym znanym mi tatuażem były numery więźniów obozów koncentracyjnych”<sup>73</sup>.

Związkowi sprzeciwiali się rodzice dziewczyny, a ojciec powiedział, że nie po to emigrował z Niemiec, aby jego córka „miała romans z gojem”. Problemy stwarzał również Hłasko, jego sposób bycia był bowiem dla Esther trudny do zaakceptowania. I alkohol nie stanowił tu wcale największego problemu.

„[...] przeszkodą był on sam – tłumaczyła Esther. – Był i znów go nie było. Marek nie miał miejsca, które mógłby nazwać swoim własnym. Nawet Izrael nie był takim miejscem. Był tu przez długi czas gościem, ale zawsze myślał o Polsce.

Pamiętam, jak kiedyś powiedział: »Najgorsze jest to, że nie wierzę, że kiedykolwiek zobaczę znów moją matkę«. Ja miałam swój kraj, swój dom, swój język i rodzinę w pobliżu. A Marek był samotny. W Izraelu miał trochę przyjaciół, z którymi mógł rozmawiać po polsku, ale myślę, że czuł się samotny”<sup>74</sup>.

Bywał również wyjątkowo zazdrosny, co także nie sprzyjało rozwojowi uczuć. Esther wiedziała o istnieniu Sonji, nie domyślała się jednak, że w Marku dojrzywał plan uporania się raz na zawsze z problemami finansowymi. Uważał, że aktorka żałuje decyzji o pozostaniu z Heidemannem, a małżeństwo z nią oznaczałoby stabilizację życiową. I umożliwiłoby poświęcenie się pracy twórczej.

Napisał do niej i Ziemann przyleciała do Izraela. Hłasko natychmiast przestał widywać się z Esther i zniknął z jej życia. Sonja przyjęła oświadczenia Marka, nie udało im się jednak zawrzeć małżeństwa w Izraelu. Uniemożliwiały to miejscowe przepisy i poprzestali na zaręczynach.

„[...] odbyły się w Ramat-Ganie – relacjonowała aktorka – w domu przyjaciela Marka, portiera czy też patrona hotelu Victory, Harry’ego Minca, który pozwalał mu tam mieszkać na kredyt i chyba stracił już nadzieję, że kiedykolwiek dostanie od niego należne mu pieniądze. Siedzieliśmy przy długim stole na werandzie, były toasty, życzenia, żarty po niemiecku, po włosku, po hebrajsku. Domowy, odświeżony nastrój, nie bogaci, lecz przyjaźni ludzie, upalny wieczór, gwiazdy na niebie, egzotyczna przyroda, niezapomniane chwile. Na moim pierścionku było wygrawerowane »Marek«, a na jego »Sonja«”<sup>75</sup>.

Marek wiedział, jak zrobić odpowiednie wrażenie, wynajął dżipa i ruszył z Sonją w objazd po kraju. Potrafił stwarzać romantyczną atmosferę i aktorka na długo zapamiętała tę podróż.

„Ładna jest Galilea. Nie zapomnę zachodu słońca nad morzem. Jechaliśmy plażą wzdłuż brzegu, a słońce, nieprawdopodobnie wielkie, czerwone i bliskie, zanurzało się powoli w widoczną tylko w tym miejscu kreskę morskiego horyzontu. Marek powiedział, że właśnie na takie słońce patrzył Chrystus”<sup>76</sup>.

Sonja odleciała do Europy, a Marek niezwłocznie powrócił (!) do swojej izraelskiej miłości. Po latach twierdził, że o jego małżeństwie z Sonją zadecydowało wyłącznie to, iż „Esther go nie chciała”. Dawał do zrozumienia, że gdyby dziewczyna zdecydowała się na ślub, to pozostałby w Izraelu na zawsze. Ale Esther wahała się, a Hłasko nie ukrywał przed przyjaciółmi, że związek z Ziemann stanowił dla niego gwarancję wygodnego życia. Ironicznie podsumował to w liście do Eryka Lipińskiego:

„Żona – BDM [Bund Deutscher Mädels, żeńska sekcja Hitlerjugend – S.K.], teść – SS – Wikingen, szwagier – SS Galizien – tak dalej. Ale cóż poradzić? Byłem już zupełnie bez pieniędzy i musiałem przeżyć renesans uczuć”<sup>77</sup>.

Hłasko bywał cyniczny, ale od czasu opuszczenia rodzinnego domu nigdzie nie znalazł swojego miejsca. Stale mieszkał w hotelach, u znajomych, często pozostawał na łasce przyjaciół. Dobrze rozumieli to ludzie znający go bliżej.

„[...] miał własne mieszkanie, własny kąpiel – pisał Zygmunt Hertz – przez trzy czy cztery miesiące [...]. Przedtem i potem zawsze był gdzieś kąpiel. Człowiek, który nie ma własnej szafy, własnego łóżka, własnej półki na książki, wieczny rezydent szafirów,



kurew, drobnych pań od Wincentego à Paulo czy izraelskich inteligentów”<sup>78</sup>.

## BERLIN

Hłasko odleciał do Europy z opóźnieniem. Na pożegnanie z Izraelem trafił jeszcze do miejscowego aresztu za udział w bójce, problemy były też z austriacką wizą. Sonja czekała na niego w Wiedniu i dopiero jej interwencja zadecydowała o załatwieniu formalności. Przygotowała też wszystko na jego przyjazd.

„[...] na lotnisku wręczyli mi klucze do samochodu – pisał Marek do przyjaciółki, Zuli Dywińskiej – który stał już tam ładne parę dni, tak że zupełnie pijany pojechałem do Wiednia. Kiedy znalazłem swój dom, na drzwiach wisiała kartka z moim nazwiskiem (HLASKO); na stole stała butelka whisky, a u gospodyni były dla mnie pieniądze, ponieważ moje szczęście czuło, że przyjadę pijany i bez grosza”<sup>79</sup>.

Sonja rozpieszczała Marka, dostał w prezencie dwumiejscowy kabriolet bmw z nielimitowanej serii, wyprodukowano zaledwie 252 egzemplarze tego modelu. Oboje na pewien czas zamieszkali w domu aktorki w St. Moritz w Szwajcarii, a następnie przenieśli się do Berlina. Pobrali się w Londynie, w lutym 1961 roku.

„Po ślubie cywilnym – wspominał producent, Gene Gutowski – wydali huczne przyjęcie w należącym do Zofii Terné Garden Street Club. Pijany Marek bełkotał do mikrofonu, usiłując naśladować Franka Sinatrę. W końcu musieliśmy go odnieść do hotelu. Ponieważ był zbyt ciężki, by dźwignąć go na łóżko, położyliśmy go na podłodze. Tam właśnie spędził swoją noc poślubną”<sup>80</sup>.

Pisarzowi szybko jednak zaczęło dokuczać uporządkowane, mieszczańskie życie. Wprawdzie tęsknił do stabilizacji, ale gdy wreszcie nadeszła, to okazało się, że nie potrafi pracować w takiej atmosferze.

„Hłasko opowiadał mi – wspominał niemiecki dziennikarz Hans-Jürgen Bobermin – że kiedy mieszkali jeszcze razem w Berlinie, ona urządziła mu w ich willi wspaniały gabinet do pracy, ale on, któremu najlepiej pisało się w spartańskich warunkach, wyniósł się z tego pokoju do piwnicy i tam, zaszyty między rurami, pisał. Sonja po powrocie z Afryki [kręciła film w RPA – S.K.] przyzdobiła mu te rury skórą. Wtedy uciekł z domu i pojechał do Hiszpanii, a potem do Izraela”<sup>81</sup>.

Marek lubił rodzinę żony, czasami jednak w berlińskiej willi miały miejsce wydarzenia stawiające poczytalność jej mieszkańców pod znakiem zapytania. Szczególnie interesująca jest przygoda Stanisława Mroczkowskiego, który odwiedził Hłaskę w Berlinie:

„Sonja się ucieszyła. Usiedli do kolacji, którą podała służba. Potem przeszli do gabinetu na kawę. Po kilku kieliszkach brandy ojciec i brat Sonji rozpoczęli odgrywać kampanię wojenną na ziemiach polskich. Brat był majorem, ojciec zaś pułkownikiem: »Herr Major, bitte bringen Sie Landkarte...«. I tak dalej. Markowi wykrzywiła się twarz z wściekłości, rzucił się na nich z pięściami. Sonja w płacz. Następnego dnia rano Mroczkowski chciał odjechać, by uniknąć niezręcznej sytuacji, ale Sonja go zatrzymała.

Marek wstał o jedenastej i też mówi: »Nie jedź, chodźmy na piwko«. O siódmej wieczorem znowu wspólna kolacja; ojciec ma zabandażowaną głowę, brat Sonji podbite oko, Marek podrapany. Wszyscy się godzą, całują; ojciec z Maruniem, Marunio z bratem. Po kilku kieliszkach następuje powtórka z poprzedniego wieczoru: »Herr Major...«. Marek za żyrandol i buja...”<sup>82</sup>.

Także Marek czasami zachowywał się skandalicznie. Rozpieszczany przez małżonkę i żyjący na jej koszt, pozwalał sobie na mocno niesmaczne żarty.

„Jego żona, Sonja, furt zakochana w tym draniu – pisał Hertz – a Mareczek siedzi z wykrzywioną mordą i mówi: »Patrz, dla wszystkich, kurrwa, okupacja niemiecka się skończyła, a dla mnie nie« – te czułe aforyzmy wtedy, gdy Sonja gładzi go po głowie lub przynosi whisky z lodem”<sup>83</sup>.

Marek wyjechał do Marsylii z Wojtkiem Frykowskiem, a potem wybrał się do Izraela. Tym razem podróżował w wielkim stylu, przyplłynął statkiem wraz ze swoim bmw. Miał to być jego osobisty rewanż za poprzedni pobyt.

Na miejscu ponownie związał się z Esther, podobno dziewczyna „uwiodła go po raz drugi”. Sonja wyczuła jednak, co się dzieje i zaniepokojona przyleciała do Tel Awiwu. Marek na lotnisku powitał ją z ogromnym bukietem róż i kryzys małżeński został zażegnany.

Zapewne to podczas tego pobytu Esther zaszła w ciążę i zdecydowała się na aborcję. Hłasko dowiedział się o tym dopiero po kilku latach.

„Postanowiłam, że moje dzieci będą miały matkę i ojca – opowiadała panna Steinbach. – Że nie urodzę dzieci, które będą miały tylko jedno z rodziców. To była moja decyzja. Marek był bardzo zmartwiony, kiedy się dowiedział. Nawet zapytał mnie kiedyś: »Dlaczego zabiłaś to dziecko?«. Myślę, że powiedział nawet: nasze dziecko. Odpowiedziałam: »Marek, a gdzie byłeś?«. I to pytanie wisiało potem w powietrzu. Gdzie jesteś? Gdzie byłeś? ”<sup>84</sup>.

Hłasko wprawdzie grzecznie powrócił do Europy, ale nadal tęsknił za Izraelem. W Niemczech dobrze czuł się w towarzystwie Żydów z Palestyny, co czasami przybierało wręcz karykaturalne formy.

„Marek łązi po żydowskich knajpach w Niemczech – pisał Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza – szuka Żydów mówiących po hebrajsku i żargonem i w tych językach prowadzi z nimi niekończące się rozmowy na temat piękności Izraela. Musisz, Czesław, przyznać, że oryginalna sytuacja: bardzo przystojny chuligan, mąż popularnej (i niedobrej) aktorki niemieckiej, mówiący »Szalom«, wchodząc do lokalu, kłócący się z żydowskim kelnerem po zjedzeniu rytualnych potraw w dźwięcznym jidysz. Obłęd i surrealizm!”<sup>85</sup>.

## ESTHER

W tym czasie stan zdrowia Hłaski uległ znacznemu pogorszeniu, organizm nie wytrzymał morderczego trybu życia, a dodatkowo pisarz zażywał duże dawki

środków nasennych. W połączeniu z alkoholem stanowiło to zabójczą mieszankę, w efekcie Marek kilka razy znalazł się w szpitalu. Przeszedł również operacje przepukliny i migdałków, przytrafiło się też czasowe porażenie prawej ręki. Przy podobnych problemach kilkutygodniowy pobyt w niemieckim więzieniu po spowodowaniu wypadku po pijanemu był tylko drobną niedogodnością. Sonja zresztą zadbała, aby mąż dostał jednoosobową celę, z czego był mocno niezadowolony, gdyż chciał przebywać razem z kryminalistami.

„Przez ostatni rok tylko chorowałem – pisał do matki – żeby teraz stanąć na nogi finansowo, muszę ciężko i długo pracować. Mam przeszło dziesięć tysięcy dolarów długów. Ale wyjdę może i z tego”<sup>86</sup>.

Coś złego zaczęło się dziać także z pisarstwem Marka. Wprawdzie nadal tworzył dużo, ale były to teksty o bardzo nierównej wartości. Giedroyc odrzucił *Sowę, córkę piekarza* i *Nawróconego w Jaffie*, Hłasko był też rzadziej tłumaczony na inne języki. Ale z drugiej strony zaczął wówczas pisać *Pięknych dwudziestoletnich*, książkę uważaną przez wielu za najlepszą w jego dorobku.

Również związek z Sonją przechodził kryzys. Jej syn z pierwszego małżeństwa był nieuleczalnie chory, co fatalnie wpływało na psychikę aktorki. A Marek jeszcze pogarszał sytuację, nie mógł bowiem dojść z żoną do porozumienia i bardzo tęsknił za Polską.

„Była zima – wspominał Julian Godlewski. – Roku niestety nie pamiętam [1964 – S.K.]. Markowie mieszkali wówczas w Zurichu. Przez wiele tygodni Marek po odprowadzeniu Sonji na próbę do teatru przychodził do mnie i pozostawał do wieczora. Ode mnie szedł do teatru po Sonję. Tematem naszych długich, codziennych rozmów, przez wiele tygodni zimowych, było jego bujne życie, jego twórczość i tęsknota za krajem. Do tego tematu wracał codziennie, mówiąc – jak mu ciężko żyć poza Polską”<sup>87</sup>.

Jedyną jasną chwilą było spotkanie z matką. Maria Hłasko wyjechała na wycieczkę do Jugosławii, gdzie wreszcie mogła zobaczyć syna. Ale nawet to wydarzenie miało posmak goryczy, jadąc bowiem nad Adriatyk, Hłasko kompletnie rozbił swoje białe bmw.

Kryzys małżeński powodował, że pisarz uciekał przed Sonją. Potrafił wyjść po papierosy i zniknąć na kilka dni (autentycznie!), wyjeżdżał też na dłużej. Przez trzy miesiące przebywał na Sycylii, potem zatrzymał się w Maisons-Laffitte. Do matki pisał, że jego małżeństwo już się rozpadło i woli żyć biednie, ale na własny rachunek. Przy okazji wspominał, że co jakiś czas „żonę trzeba zmieniać na młodszą”. Czy miał na myśli Esther?

W rzeczywistości jego sytuacja była jeszcze gorsza, niż przyznawał to przed matką. Obserwujący go z bliska Zygmunt Hertz nie ukrywał swoich obaw:

„Jest u nas Hłasko. Dziwny człowiek: mam dwojake uczucia. Odrzuca mnie jego sposób myślenia o życiu codziennym. [...] Jego sytuacja trudna, Sonja nie wytrzymała, zerwała z nim chyba definitywnie, czyli baza finansowa przestała istnieć. A zostały przyzwyczajenia, których się boi jak ognia, bo nie ma na ich zaspokojenie. [...] Z drugiej strony nieszczęśliwy człowiek, który się poniewierał przez całe życie, nie miał nigdy swego kąta, zawsze wisiał na kimś: na Jerzym Andrzejewskim, na Berezie, na

Agnieszce, na Sonji, na mnie wreszcie. Jest teraz przerażająco grzeczny, uprzejmy: śmiertelny strach przed straceniem ostatniej mety”<sup>88</sup>.

Pisarz przyznawał, że ma dość „pętania się po różnych hotelach” i w końcu „chciałby zebrać do kupy własne książki” we własnym mieszkaniu, pozostając tam tak długo, jak będzie miał ochotę. Ale do żony wracać nie zamierzał, uważał, że to już zamknięty rozdział. Tym bardziej że u jego boku ponownie pojawiła się Esther Steinbach.

„Po wyjeździe z Izraela przez cztery lata nawet do mnie nie napisał – skarżyła się dziewczyna. – Cztery lata! Myślę, że jednym z powodów, dla których zostałam stewardesą, była nadzieja, iż w ten sposób spotkam Marka. Kiedy w końcu odnalazłam go w Paryżu, zapytałam: »Marek, gdzie byłeś? Czy w ogóle o mnie myślałeś?«. Nagle zrobił się bardzo poważny, powiedział: »Nie myślałem o tobie, tak?«. Podszedł do walizki, wyciągnął książkę i rzucił mi ją pod nogi. Poleciał: »Podnieś i otwórz na takiej i takiej stronie. Co widzisz?«. Odpowiedziałam: »Widzę moje imię«. Kazał mi przeczytać polski tytuł: *Opowiem wam o Esther*. Powiedział: »Myślałem o tobie i napisałem o tobie«<sup>89</sup>.

I chyba faktycznie uważał wówczas związek z Sonją za pomyłkę. Przyznawał, że sprzedał się za wygodne życie, a swoje poglądy wyrażał w dosadny sposób.

„Ożeniłem się z czystego oportunistu – pisał do przyjaciółki – tylko dlatego, że Esther mnie nie chciała i [...] najlepsze lata swego życia spędziłem z idiotką. [...] To jest nieprzyjemne wyznanie, ale wierz mi, że ja mogę iść do łóżka z kimś i wychodzi mi to tylko wtedy, jeśli myślę o niej (Esther). Nawet z rodzoną żoną. Mój Boże, czy mogę coś na to poradzić. [...] Esther mogę rznąć dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, podczas gdy od innych kobiet uciekam po pięciu minutach, pożyczwszy na taksówkę i wyszeptawszy uprzednio niezbędną ilość najświętszych słów”<sup>90</sup>.

Planował wspólne życie z Esther, chciał „być dla niej tak dobry, jak tylko umie”. Wierzył bowiem, że miłość „do tej kobiety pozwoli mu na uczynienie wszystkiego”, gdyż – aby z nią być – „wyrzekł się rzeczy, których już nigdy w życiu nie będzie miał”. Wybrał uczucie i chciał być konsekwentny.

Pisarzowi jednak nie na długo starczyło zapału. Wprawdzie sprawa rozwodowa była już w toku, ale Marek wyjechał do USA. Miał tam spędzić kilka tygodni, pobyt jednak znacznie przedłużył. I przez kolejne półtora roku nie odezwał się do Esther...

## KALIFORNIA

Marek przybył do USA na zaproszenie Martina Ransohoffa, polecony przez Romana Polańskiego, który współpracował z amerykańskim producentem przy *Nieustraszonych pogromcach wampirów*. Hłasko miał w Hollywood pisać scenariusze, Polański chciał, aby pracę w Kalifornii rozpoczął od filmu, który planował już od pewnego czasu.

„Miałem wówczas pomysł, niezupełnie jeszcze skonkretyzowany – opowiadał

wiele lat później – aby zrealizować film o Hitlerze, który żyje, na przykład w Argentynie czy jakimś innym kraju Ameryki Południowej, i ktoś go tam zupełnie przypadkowo odnajduje. Oczywiście jest to fikcja, ale pomysł żyjącego Hitlera wydawał mi się interesujący”<sup>91</sup>.

Współpraca nie przyniosła jednak rezultatu, Marek nie mógł przystosować się do amerykańskiego stylu pracy. Los Angeles także zaskoczyło go niekorzystnie, zauważył, że to jednak zupełnie inny świat niż Europa.

„Pierwsze wrażenie – koszmar – pisał do Henryka Rozpędowskiego. – Miasto bez ludzi, idziesz kilometrami – bez przesady – i nie widzisz ani jednego żywego człowieka: samochody, samochody, czasem ktoś wysiada, aby kupić papierosy”<sup>92</sup>.

Podobnie było przy pisaniu scenariusza, Marek okazał się zbyt europejski jak na miejscowe standardy. Inna sprawa, że nie władał dostatecznie językiem angielskim.

„[...] Marek Hłasko przyjechał do Los Angeles – kontynuował Polański – napisał na kilku stronach konspekt tego scenariusza, ale jakoś mu nie wychodziło. Wówczas zrozumiałem, że Markowi obce jest pisanie na tzw. zamówienie [...]. No i Marek dość szybko zrezygnował z tego. Potem postanowił pisać coś o lotnikach. Jakoś nie służyła mu ta Ameryka, wbrew temu, czego się po niej spodziewał i o czym marzył”<sup>93</sup>.

Pisarz uczciwie przyznawał że „jest już za stary i zbyt przywiązany do Europy”, aby od razu zaadaptować się w USA. Polański stracił dla niego zainteresowanie, Hłasko żalił się, że „wyrzucił go jak śmiecia”. Podobnego zdania o Polańskim była Zofia Komédowa, która poznała Marka w USA. Negatywna opinia na długo przylgnęła do reżysera, chyba zresztą niesłusznie. Pan Roman zachowywał się zgodnie z miejscowymi regułami: człowiek, który się nie sprawdza, musi odejść, aby ustąpić miejsca odpowiedniemu pracownikowi. Zrozumienie tego niepisanego prawa zapewne zresztą pomogło mu zrobić karierę w Hollywood.

Hłasko nie chciał jednak wracać do Europy, obawiał się bowiem, że będzie to oznaczało ponowne uwikłanie się w związek z Sonją. Ale dlaczego nie chciał wyjechać do Izraela, gdzie mógłby kontynuować romans z Esther? Brakowało mu pieniędzy na bilet lotniczy? Kolejna zagadka.

Niewykluczone jednak, że Marek pozostał w USA, gdyż nie chciał podejmować ostatecznej decyzji. Powoli przekonywał się zresztą do Kalifornii, odpowiadał mu miejscowy klimat, smakowało tamtejsze wino. Zażywał mniej proszków nasennych, znacznie jednak przytył, pomimo że utrzymywał się z ciężkiej pracy fizycznej.

„[...] chciał stworzyć sobie codzienną egzystencję – wspominał jego kalifornijski przyjaciel Marek Niziński – by zarobić na chleb i »mielone mięso«, by później móc zamknąć się spokojnie w domu i pisać. Do tego dążył. Przez długi czas mieszkał w klitce, w pokoiku, którego okna zasłaniał czarną płachtą materiału, a dziurkę od klucza zatykał watą, by nie widzieć dnia i nie słyszeć kroków na korytarzu. Marek żył nocą”<sup>94</sup>.

W Kalifornii zrealizował swoje dawne marzenie, ukończył szkołę pilotażu. Zdecydowanie gorzej szła mu jednak praca literacka, chociaż pisał powieść *Palcie ryż każdego dnia*, a paryska „Kultura” publikowała jego *Listy z Ameryki*.

Jesienią 1967 roku przyjechała do niego Esther; będąc stewardesą, miała



możliwość swobodnego podróżowania po świecie, a krótki urlop postanowiła spędzić z Hłaską.

„Esther jest miła i czuła – pisał Marek do Zuli Dywińskiej – była tak zmęczona, że po przyjeździe spała dosłownie i dzień, i noc, i jeszcze czuje różnicę czasu. W sprawie dziecka robię, co mogę, ale nie wydaje mi się, abym się wyróżniał korzystnie w tej dziedzinie. Nie byliśmy ze sobą przez tyle lat i to jest właściwie pierwszy raz w naszym życiu, kiedy jesteśmy ze sobą pod jednym dachem, sami, bez tych wszystkich przeklętych skurwysynów śpiewających »Chava... etc.«. Krew mnie zalewa jeszcze dzisiaj, jak pomyślę sobie o tym Beni i o moim teściu, i o tych wszystkich ludziach, którzy nie znając mnie, tak łatwo mnie potępili i dzięki którym Esther i ja straciliśmy najlepsze lata naszego życia”<sup>95</sup>.

W grudniu sąd w Los Angeles orzekł rozwiązanie małżeństwa Marka i Sonji z winy Hłaski. Niemka nie pokazała się w Kalifornii, reprezentował ją prawnik. Marek uznał zakończenie małżeństwa za prawdziwy dar od losu, chociaż o klęskę związku obwinał (jak to mężczyzna) żonę:

„[...] zmarnowała to małżeństwo i nawet nie potrafi zrozumieć, co jest straszne przede wszystkim dla niej, gdyż będzie się czuła opuszczona, zdradzona, a ja nie mam siły tłumaczyć jej czegoś, czego ona i tak nie pojmie. Ja starałem się być dobrym mężem, jak długo umiałem, tak długo, jak starczyło mi sił, a ponieważ nie miałem tych sił więcej i nie miałem również ani złudzeń, ani dobrych chęci, odszedłem. Nie odszedłem dla innej kobiety ani dla łatwego życia, tylko po prostu, aby nie zwariować. Tego Sonja zrozumieć nie chce, nie umie, nie może, a ja tu w niczym pomóc nie umiem”<sup>96</sup>.

Gdy jednak Esther wyjechała, to w Kalifornii pojawiła się Sonja. Nagrywała postsynchrony do filmu *Legenda Leili Clare* i skorzystała z okazji, aby spotkać się z byłym mężem. Jej relacja na temat ich wzajemnych kontaktów wydaje się jednak mało wiarygodna, nie zgadza się także ze wspomnieniami przyjaciół Hłaski.

Według Sonji to Marek dążył do spotkania, a potem wydarzenia potoczyły się w stylu ckliwego romansu z czasów *belle époque*.

„Błagał o wybaczenie za wszystko, co uczynił w przeszłości. Mówił, że wciąż mnie kocha, przysięgał, że beze mnie trudno mu żyć. Że beze mnie żyć nie może”<sup>97</sup>.

Oczywiście Sonja udzieliła mu rozgrzeszenia, chociaż wiedziała, że w Kalifornii romansował „chyba z czterema kobietami albo z pięcioma”. Na wszelki wypadek nie zabrała go też ze sobą na spotkanie z Bobem Aldrichem. Wiedziała, że amerykański producent ma piękną żonę, a „Marek ją pozna, uwiedzie i będzie nieszczęście”.

Trudno również uwierzyć w to, aby Hłasko „egzekwował swoje prawa małżeńskie (?) z większym zapałem i gorliwością niż kiedykolwiek”, jak z całą powagą opowiadała pani Ziemann...

Relację Sonji podważa również fakt, że w ogóle nie wspominała o najbliższym otoczeniu Marka. Nigdzie nie zauważyła Krzysztofa Komedy, Nizińskiego, Frykowskiego. A gdyby faktycznie była tak blisko z Hłaską, to zapewne dostrzegłaby jego przyjaciół...

„Marek Hłasko mieszka w Hollywood – pisał w raporcie do kraju jeden ze

współpracowników Służby Bezpieczeństwa.— Powodzi mu się bardzo źle. Pisze mało. W tłumaczeniach na angielski jego twórczość traci cały koloryt naszego języka. Bardzo tęskni za krajem, ale wydaje mi się, że już pogodził się z losem. Obecnie jest na kursie pilotów DDT rozsiewających chemikalia, pije tylko do pierwszej w nocy, bo o piątej rano musi być już na lotnisku. Obawiam się, że szuka efektownego zakończenia swojej ziemskiej wędrówki”<sup>98</sup>.

## TRAGEDIA W BEVERLY HILLS

Marek był wówczas blisko związany z Krzysztofem Komedą, który także pojawił się w Kalifornii za sprawą Romana Polańskiego. Kompozytor miał jednak więcej szczęścia, szybko zaadaptował się w nowym otoczeniu, a jego muzyka do filmu *Dziecko Rosemary* osiągnęła gigantyczny sukces. Mimo to najlepiej czuł się w otoczeniu polskich przyjaciół i całe towarzystwo wspólnie spędzało wolny czas, pochłaniając potężne dawki alkoholu. Hłasko praktycznie zamieszkał u Komedy, był kimś pomiędzy sekretarzem a najbliższym powiernikiem.

Podobno nie był zachwycony romansem kompozytora z izraelską piosenkarką i aktorką, Iloną Kuper. Miał tłumaczyć Komedzie, że żydowskie dziewczęta są wyjątkowo niebezpieczne i łatwo dla nich stracić głowę. Czy miał na myśli Esther, z którą był związany już od dziewięciu lat i którą chyba naprawdę kochał?

Przyjaźń Marka z Krzysztofem zakończyła się tragedią, Hłasko stał się bowiem pośrednią przyczyną śmierci kompozytora.

„Kiedyś Krzysztof przyszedł do studia – wspominał Roman Polański – i miał czarne obwódki wokół oczu jak panda. Pytam: »Co się stało?«. Mówi, że szli pijani z Hłaską. Komeda upadł, rozbił sobie głowę, a Marek go niósł, bo był typem macho. I razem upadli”<sup>99</sup>.

Idiotyczny pijacki wypadek położył kres karierze jednego z najzdolniejszych polskich muzyków. Komeda już nigdy nie powrócił do zdrowia, a Hłasko nie potrafił sobie tego wybaczyć. Podobno mówił, że „jak Krzysio umrze, to on też”...

U Komedy z opóźnieniem zdiagnozowano krwiak mózgu i trepanacja czaszki nie przyniosła rezultatów. Krzysztof zapadł w śpiączkę, do USA przyleciała jego żona, z nią też Marek spędził Wielkanoc.

„Kupiłam szynkę, chrzan, jajka – wspominała Zofia Komедowa – piwo dla Marka, bo wiedziałam, że Marek je pije. Przyjechał w sobotę po południu. Najpierw pojechaliśmy razem do Krzysia, a potem usiedliśmy i przegadaliśmy resztę dnia. Całą noc i prawie całą niedzielę... Wiele rzeczy mi wtedy opowiedział... Był bardzo smutny...”<sup>100</sup>.

Hłasko pracował wtedy w fabryce importującej blachę. Było to zatrudnienie legalne (miał już kartę stałego pobytu), dobrze płatne, polegające na „przenoszeniu dużych arkuszy blachy, które ze względu na swą kruchość i rozmiary nie mogły być transportowane mechanicznie”. Dzięki temu zajęciu odzyskał formę fizyczną, po pracy

był jednak tak zmęczony, że nie miał siły pisać.

W połowie kwietnia dostał od Sonji bilet lotniczy do Izraela, gdzie niemiecka telewizja kręciła film na podstawie jego opowiadania *Wszyscy byli odwrócenii*. Odleciał z Los Angeles i nie był świadkiem przewiezienia nieprzytomnego Komedy do kraju, gdzie ten zmarł po kilku dniach. Marek dowiedział się o tym dopiero miesiąc później.

## WIESBADEN, CZERWIEC 1969 ROKU

Sonja wspominała po latach, że w Izraelu Marek okazywał jej wiele czułości i zachowywali się jak zgodne małżeństwo. Pojawiła się wprawdzie jej rywalka, ale Niemka nie traktowała tego poważnie.

„Zatrzymałam się w tym samym hotelu, gdzie Marek – wspominała Esther – ale w osobnym pokoju. Widziałam go to tu, to tam, ale zawsze była przy nim Sonja. Nie rozmawiałam z nią. Siedziała przy jednym stoliku, a ja przy drugim. Izraelskie gazety pisały, że kiedyś oferowała Markowi 250 tysięcy dolarów, jeśli zostawi mnie i zostanie z nią. Wtedy to było dużo pieniędzy. Ale nie wiem, czy ta historia jest prawdziwa”<sup>101</sup>.

Marek jednak już zdecydował o swojej przyszłości. Nie zamierzał wracać do USA, nie chciał też osiedlić się w Niemczech. Dla Sonji w ogóle nie było już miejsca w jego życiu.

„[...] została podjęta absolutna decyzja – wspominał izraelski przyjaciel Hłaski, Jerzy Press – że Marek nie wraca do USA. Po podjęciu decyzji o wspólnym życiu Marek przenosi się do Esther, potem wylatuje do Niemiec. Esther ma rejs do Stanów. Klucze do [jej] mieszkania zostają u nas, Marek miał je odebrać po powrocie”<sup>102</sup>.

Hłasko faktycznie odleciał do Niemiec, zatrzymał się w Wiesbaden, u dziennikarza telewizji ZDF Hansa-Jürgena Bobermina. Wspólnie pracowali nad kolejnymi adaptacjami opowiadań Hłaski, pisarz podpisał wieloletnią umowę z niemiecką stacją. Raz do roku miał dostarczyć scenariusz filmu o tematyce izraelskiej, a oferowane honorarium zapewniało mu stabilizację materialną. Po latach tułaczki miał wreszcie dobrze zarabiać, był też w stanie zapewnić ukochanej kobiecie życie na godziwym poziomie.

Przebywał w Wiesbaden kilkanaście dni, uzyskał wizę izraelską i szykował się do wyjazdu. Wtedy też otrzymał informację o śmierci Komedy, która wstrząsnęła nim do głębi. Wpadł w przygnębienie, ale nie zmienił planów.

7 czerwca udzielił wywiadu dla niemieckiego tygodnika „Hör Zu!”. To wówczas zostały wykonane jego ostatnie zdjęcia – przedstawiają 35-letniego tęgiego mężczyznę z lekkim uśmiechem na twarzy. Wywiad ukazał się już po jego śmierci.

„Tamten wieczór spędziliśmy podobnie jak poprzednie – wspominał Bobermin piątek 13 czerwca – siedzieliśmy wspólnie, rozmawialiśmy, słuchając muzyki, piliśmy trochę alkoholu.

Około dziesiątej chciał nagle posłuchać pieśni rosyjskich w wykonaniu chóru armii radzieckiej, mam tę płytę chyba jeszcze, kilka razy słuchał tej płyty, ogarnął go

nastrój nostalgiczny, przed północą pożegnałem się z nim, bo musiałem być rano w telewizji. Poszedłem spać. Żona mu jeszcze trochę towarzyszyła, potem został sam i dalej słuchał tej płyty. Przypuszczalnie wtedy wziął te środki nasenne...

Spał w pokoju obok nas. Żona, która szykowała rano córkę do szkoły, znalazła go martwego w pokoju, nie reagował na pukanie do drzwi. Nic nie wskazywało na samobójstwo. Lekarz stwierdził, iż śmierć nastąpiła stosunkowo szybko na skutek zapaści spowodowanej przez alkohol w połączeniu ze środkami nasennymi<sup>103</sup>.

Śmierć Hłaski stała się tematem dnia dla dzienników szwajcarskich i niemieckich, a chyba najbardziej znamienity nekrolog zamieścił „Der Spiegel”:

„Marek Hłasko, 35. Żył, pił i pisał. Ten polski pisarz żył w Warszawie, Berlinie, Londynie, w Hollywood, Tel Awiwie; pracował w kibucu, protestował i rozrabiał. [...] »Pisanie – powiadał – jest tak samo wspaniałe jak chłanie«. Kierował się tą maksymą. Po zawarciu małżeństwa z Sonją Ziemann w 1961 roku nic więcej nie napisał<sup>104</sup>.

Hłasko został pochowany na cmentarzu w Wiesbaden, a sześć lat później polskie władze wyraziły zgodę na przeniesienie jego ciała do Polski. Spoczął na Starych Powązkach, w roku 1987 dołączyła do niego matka.

Sonja Ziemann z sukcesami kontynuowała karierę aktorską, wyszła też po raz trzeci za mąż. Esther Steinbach poślubiła obywatela USA i mieszka obecnie w Arlington w stanie Waszyngton.

„Do dziś mam jego sweter – mówiła kilka lat temu dziennikarzowi »Newsweeka«. – Mam też listy i zdjęcia, które trzymam w specjalnym pudełku. No i wspomnienia. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał złe wspomnienia związane z Markiem. Był jak meteor. Przemknął przez życie wielu ludzi, zniknął i zostawił świecący ślad. Nawet po 40 latach nie jest zapomniany. Hemingway twierdził, że nikt, kogo kochasz, nie umarł. Marka może nie być wśród nas, ale tak naprawdę nie umarł<sup>105</sup>.



# **Rozdział 2**

## **Polak, katolik, alkoholik**





**„Kiedyśmy już zwykle wszyscy spali, o godzinie 24 najwcześniej wracał do »hotelu« z brydza czy z wódki, z hałasem, z trzaskiem, Władysław Broniewski. Zapalał jedyną żarówkę, która świeciła nam prosto w oczy. Na przekleństwa rozbudzonych odpowiadał przekleństwami tak plastycznymi, że jego przeciwnicy czuli się natychmiast pobici i milkli. Gdy się już ułożył w łóżku i kiedy najbardziej senni lub nieświadomi tego, co ich czeka, spodziewali się, że będą mogli za chwilę zasnąć z powrotem – zaczynał deklamować. Pamiętam jedną z takich nocy, gdzie deklamowanie przeciągnęło się poza czwartą rano. Słuchaliśmy go, podsuwając mu, przypominając takie czy inne jego wiersze”.**  
(Józef Czapski)



**B**roniewski przyszedł już pijany – opisywała Maria Dąbrowska spotkanie literatów z Bolesławem Bierutem – i zataczał się, chodząc po salonach Belwederu. Dziwne, że nie wygłaszał peanów na cześć Piłsudskiego, bo ma ten zwyczaj, gdy znajdzie się w Belwederze. Tym razem inną sztukę z niego wódka dobyła. Jego zapijaczona mazurska gęba była czerwona, dziecinne niebieskie oczka zapłnięte alkoholowymi łzami. Już nie mógł trafić do gęby i wylewał na siebie wino. [...] Zaczął dyskurs z Bierutem, nazywając go »towarzysz Bolesław« z akcentem po rosyjsku, na ostatniej sylabie. W jakiejś chwili zaczął wołać z uporem na cały stół: »Wy chcecie, towarzyszu Bolesław, żebym ja napisał nowy tekst do hymnu narodowego. Ja to potrafię! Ja jeden! Ale ja hymnu narodowego nie będę zmieniał. Nie będę, bo nie mogę! Bo nie chcę!«. Po chwili: »Bo to tak, jakbym orłowi polskiemu urwał głowę«<sup>1</sup>.

Wydarzeniami z życia Władysława Broniewskiego można by obdzielić kilka biografii i żaden z właścicieli nie narzekałby na nudę. Oficer Legionów Piłsudskiego, uczestnik wojny z bolszewikami, a następnie komunizujący poeta, nigdy nienależący jednak do KPP. Więzień sowieckiej Łubianki i zesłaniec do Kazachstanu oraz żołnierz armii Andersa. A po powrocie do kraju człowiek rozczarowany polską wersją komunizmu, głęboko doświadczony przez los utratą ukochanej żony i córki. Konsekwentny alkoholik, do ostatnich dni życia wlewający w siebie ogromne ilości wódki, naczelny poeta rewolucji i gorący polski patriota.

## PODCHORAŻY „ORLIK”

Władysław Broniewski miał zaledwie 17 lat, gdy w towarzystwie kilku gimnazjalnych kolegów zaciągnął się do Legionów Piłsudskiego. Trafił do 4. Pułku Piechoty, brał udział w krwawej bitwie pod Jastkowem, a podczas kryzysu przysięgowego został internowany w Szczypiornie. W ostatnich tygodniach wojny znalazł się w Warszawie.

„Nałogowo palę papierosy – notował w październiku 1918 roku – zdaje mi się, że również nałogowo przychodzić będę do czytelnicy. Ma to dla mnie jakiś urok, a co najważniejsze, atmosfera tamtejsza usposabia mnie doskonale do pracy umysłowej. Bardzo bym sobie nie życzył wrócić teraz do wojska – znów wróciłyby te zabójcze, puste, bezmyślne dni, idiotyczne i ordynarne rozmowy z idiotycznymi kolegami,

wstrętna wegetacja koszarowa. Opuściła mnie już dawno chęć pozowania na bohatera narodowego – pozostał tylko twardy, nieugięty obowiązek, któremu się jednak poddam, mimo wszystko”<sup>2</sup>.

Przyznawał, że wówczas najbardziej interesowały go: kobiety, alkohol i literatura, a rozmowę o poezji z Janem Lechoniem stawiał na równi z hazardową grą w karty. Lechoń zwykł zresztą ironicznie mawiać, że Władysław „jest taką Konopnicką, tylko że z większym talentem”.

Broniewski bowiem już wówczas przejawiał duży talent, chociaż własnych wierszy nie traktował jeszcze poważnie. Uważał natomiast, że są bardzo przydatne przy uwodzeniu dziewcząt.

„Kobieta, która nie jest ładną – tłumaczył – powinna być rozumną. [...] Najobrzydliwszy jest ten pokost inteligencji noszony na płaskim czole przez burżuazję. Wolę bezpretensjonalną prostotę. Kobiety brzydkie, lecz rozumne, są jednak sympatyczne, o ile pozbędą się kokieterii [...]”<sup>3</sup>.

Rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego, ale po kilku tygodniach uznał, że na naukę przyjdzie czas po wojnie. Powrócił do armii, dostał przydział do Włodzimierza Wołyńskiego, a tam szybko pożałował swojej decyzji.

„Idiotyczne życie! Ciągłe kokoty, wódka, karty i nuda. Czuję, że nie urodziłem się na »grand viveura«. Przylega to do człowieka jak błoto i potem czuję wstręt do samego siebie. [...] Dzisiaj przegrałem 200 koron w ferbla. Postanowiłem sobie, że »jak tylko trochę odegram się«, nie będę grać w hazard, tym bardziej że nominacje wstrzymane”<sup>4</sup>.

Kontakty z kobietami również przynosiły rozczarowania. Zdarzyło się, że zaproszone na imprezę dziewczęta chętnie piły wódkę, flirtując „lepiej niż kokoty”, ale potem zaczynały „prawić o swej niewinności”. Na koniec „jedna podrapała mu całą twarz”, natomiast „druga zemdląła podczas przypuszczanego przez niego ataku” i „musiał ją cucić”.

Wojna kojarzyła mu się wówczas z nudą, wódką i rekwizycjami wśród ukraińskich chłopów. Z odrazą obserwował nielegalne interesy prowadzone przez oficerów i urzędników, chociaż czasami sam z tego korzystał. Wprawdzie przyznawał, że go „trochę sumienie śwędzi”, to jednak zdawał sobie sprawę z tego, że bez rekwizycji „powyzdychaliby wszyscy z głodu”. Ale uważał, iż „jest to gospodarka rabunkowa”.

Doczekał się jednak wreszcie prawdziwej wojny z Ukraińcami, a wówczas okazało się, że przeciwnik również posiada broń i potrafi z niej zrobić użytek. Z ulgą pojechał więc na urlop do stolicy, ale nie mógł sobie tam znaleźć miejsca.

„Od dziesięciu dni jestem w Warszawie – notował w lutym 1919 roku – i... nudzę się. Czuję się tak obcym, tak mi czegoś brak – nic mnie nie bawi. Bywam u Lehrów – bardzo tam sympatycznie, ale i tam nudno. Myślałem, że się rozruszam w gronie płaskich podlotków, ale po dwóch dniach mam ich dość. Jakżeż to bezdennie głupie istoty. Repertuar we wszystkich teatrach pod psem. Rozpacz [...]”<sup>5</sup>.

Po urlopie Broniewski został przeniesiony do Wilna, gdzie jako podporucznik szkolił rekrutów, pił wódkę i poszukiwał damskiego towarzystwa. Odnosił sukcesy, jak w przypadku Zofii D., żony zaginionego na wojnie Ormianina, którą obdarzał trioletami pisywanymi zresztą dla innej pani. W zamian „Pipcia” (jak ją nazywał) rewanzowała mu się w satysfakcjonujący sposób i oboje nieraz mogli „dać upust wzburzonej krwi”. Uwiódł również pewną Wandę, natomiast poniósł całkowitą klęskę w staraniach o względy urodziwej Marii Dokalskiej. Dziewczyna bawiła się nim i po raz pierwszy w życiu poczuł, że „nie ma przewagi nad kobietą”. Odrzucony zajął się tym, co mu najbardziej doskwierało, czyli „leczeniem trypra”, którego zdążył się już nabawić.

Wojna też nie dawała o sobie zapomnieć, walczył pod Dźwińskiem (Dyneburg, obecnie Daugavpils na Łotwie), następnie dostał przeniesienie na front ukraiński. Brał udział w wyprawie kijowskiej, a potem uczestniczył w odwrocie przed sowiecką ofensywą. Pod Warszawę jednak nie dotarł, walczył w tym czasie z Konarmią Budionnego, a podczas bojów pod Drohiczyńem zasłużył na *Virtuti Militari*. Odznaczenie uzasadniono tym, że „Broniewski wybiegł przed linię, poderwał kompanię, która brawurowym uderzeniem zdobyła wzgórze, zadając bolszewikom wielkie straty w walce na białą broń”. W rzeczywistości było jednak trochę inaczej, do czego wiele lat później przyznał się Wojciechowi Żukrowskiemu.

„[...] któregoś dnia o zmierzchu [...] kapitan Broniewski wraz z kilkoma ludźmi trafił na jakąś plebanię – relacjonował Żukrowski. – Staruszek proboszcz zaczął ich ugaszczać, a ponieważ wiedział, że ludzie walczący są na ogół spragnieni, wyciągnął gąsiorek i zdrowo sobie popijali. Kiedy zrobiło się ciemno, postawił na stole zapaloną lampę naftową. Z sąsiedniego wzgórza zaczęli ostrzeliwać ich Kozacy. Patrol kozacki osłaniał tyły wycofującej się Armii Czerwonej i przeszkadzał chłopcom wznosić toasty za zwycięstwo i Piłsudskiego, do którego Broniewski miał szczególny sentyment. Broniewski, chociaż chwiał się na nogach, złapał z kąta karabin maszynowy i zawołał: – Będę ich kosić, dawać mi taczki!

Wsadzono go do taczek i zaczęto pchać, z góry poszło lekko. Z plebani wysypali się żołnierze, krzyząc: – Broniewski! Broniewski!, co echo poniosło jako: »Broniewik! Broniewik!« (to po rosyjsku auto pancerne). Kozacy zniknęli w ciemności. W ciągu jednej nocy przesunął się cały front na tym odcinku, zajęto sąsiednie wzgórze. Broniewski otrzymał *Virtuti Militari*, ponieważ sam poderwał oddział do natarcia”<sup>6</sup>.

Wojnę zakończył w stopniu kapitana, a chociaż proponowano mu dalszą służbę, to jednak nie chciał pozostać w armii. Uznał bowiem, że kariera zawodowego oficera nie jest tym, czemu chciałby się poświęcić w przyszłości. Inna sprawa, że nie miał żadnego sensownego pomysłu na życie.

## POMIĘDZY SKAMANDRYTAMI A KOMUNIZMEM

Na początek ponownie trafił na studia, ale zbyt wiele przeżył, aby teraz spokojnie siedzieć w uniwersyteckiej ławce. Regularnie zresztą oddawał się pijaństwu i grze



w karty, przeżył również kolejny zawód miłosny. Tym razem odrzuciła go kuzynka, Elżbieta (Halszka) Kamocka, z którą przez pewien czas regularnie się spotykał. Wprawdzie całowali się namiętnie, ale gdy podczas spaceru w Łazienkach Broniewski się jej oświadczył, to dziewczyna odparła, że w ogóle go nie kocha.

„Na moście nad strumieniem zatrzymaliśmy się i zapytałem jej, czy ta woda płynie. Odpowiedziała twierdząco. Wtedy wyjąłem różę, którą wyprosiłem sobie w wieczór pierwszego naszego pocałunku i rozkruszyłem ją listek po listku, do wody. Ostatni płatek długo trzymałem przy ustach, aż rzuciłem go z innymi, po czym wyszliśmy z parku. Pytała mi się jeszcze, czy mimo tego, co zaszło, będę nadal jej przyjacielem, bratem. Odpowiedziałem jej, że to niemożliwe: widzieć jej teraz nie chcę; bo chcę się z niej wyleczyć; możemy korespondować, lecz przyjdę do niej dopiero wtedy, gdy znów będę mógł być jej dalekim kuzynem i niczym więcej”<sup>7</sup>.

Kurację rozpoczął niezwłocznie i w typowo męski sposób. Tego samego dnia wieczorem błąkał się po mieście bez celu, aż „przyczepił się wreszcie do jakichś dwóch dziewczyn, którym kupił bukiet róż”.

„[...] grałem z nimi na ulicy na organkach, piłem wódkę w jakiejś dorożkarskiej knajpie, tańczyłem one-stepa na trotuarze i wreszcie z jedną z nich popełniłem pospieszne cudzołóstwo na ławce w Alejach Ujazdowskich”<sup>8</sup>.

Chociaż doskwierał mu brak pieniędzy, to nie szukał jednak stałej pracy. Zastanawiał się (całkiem poważnie) nad zawodową grą na wyścigach konnych, myślał również o pisaniu scenariuszy filmowych. Ostatecznie wybrał jednak bardziej prozaiczne zajęcie: został inspektorem objazdowym Związku Strzeleckiego. Wprawdzie nie był przekonany do ideologii organizacji, lecz regularny dochód miał decydujące znaczenie i poeta specjalnie nie wybrzydzał.

Narastało w nim jednak rozczarowanie niepodległą ojczyzną, które osiągnęło apogeum po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza. Niechęć do polityków prawicy nałożyła się na zawód spowodowany wycofaniem się Piłsudskiego z życia politycznego. W efekcie jego poglądy ewoluowały w coraz szybszym tempie i przyznawał, że „teoretycznie był bliżej komunizmu, praktycznie bliżej PPS”.

Na światopogląd Broniewskiego duży wpływ miała przyjaźń z poetami z lewicowej awangardy: Aleksandrem Watem, Anatolem Sternem, Mieczysławem Braunem. I chociaż ironicznie mawiał, że to „same Żydki”, to jednak doceniał ich talent i zaangażowanie.

Pan Władysław w dziwny sposób łączył w sobie polski patriotyzm, szlachecką tradycję i lewicowe poglądy. Aleksander Wat nie ukrywał zdziwienia, gdy pierwszy raz odwiedził mieszkanie, w którym Broniewski mieszkał z matką i dwiema siostrami:

„Miał pokój taki niesłychanie arcyszlachecki, z dywanem perskim, z szabłami skrzyżowanymi, z kindżałami przodków [...], czamara jakaś w kącie, gdzieś Virtuti Militari, i jego mundury legionowe, i jednocześnie ten Lenin na biurku zaczytany, podkreślony, i te poezje. [...] To wszystko to był Broniewski”<sup>9</sup>.

Jego nowi przyjaciele byli wówczas „bardzo czerwoni” i „bardzo gniewni”, a pan Władysław w pełni popierał ich poglądy. Pod względem literackim bliżej mu jednak było do poetów spod znaku Skamandra.

„Broniewski był właściwie skamandrytą formalnym – uważał Aleksander Wat. – Lechoń go bardzo cenił, uważał go za idiotę, ale cenił go jako wielki talent”<sup>10</sup>.

Pana Władysława niepokoił jednak fakt, że większość liczących się poetów w Polsce była pochodzenia żydowskiego. I chociaż nigdy nie był antysemitą, to jednak uważał, że „my, Słowianie, mamy intelekt cięższy, mniej lotny, ale również cięższy gatunkowo i głębszym nurtem, dalej płynący”. W efekcie Polacy różnili się od Żydów „zasadniczym stosunkiem do prawdy w życiu, w twórczości, we wszystkim”.

Broniewski nie był w swoich poglądach odosobniony, niektórzy polscy Żydzi uważali bowiem, że naprawdę dobrą poezję mogą tworzyć tylko ich współwyznawcy. Znakomitym tego przykładem jest anegdota o debiucie pana Władysława na łamach „Wiadomości Literackich”.

„W »Wiadomościach« zaprotegował Broniewskiego Mieczysław Braun – opisywał Mariusz Urbanek. – Któregoś dnia pokazał redaktorowi naczelnemu tygodnika, Mieczysławowi Grydzewskiemu, wiersze przyjaciela. [...] Po przeczytaniu wierszy Grydzewski (prawdziwe nazwisko Grycendler) powiedział Braunowi (prawdziwe nazwisko Braunstein): – Bardzo dobre! Broniewski... też dobre! A jak on się naprawdę nazywa?”<sup>11</sup>.

Grydzewski zaproponował poecie etat i Broniewski został sekretarzem redakcji. Pensja wynosiła 300 złotych i nie było to wcale tak niskie wynagrodzenie, jak po latach pisali jego biografowie. W połowie lat 20. mniej zarabiali urzędnicy państwowi średniego szczebla, nie można zatem narzekać na skąpstwo redaktora naczelnego. Tym bardziej że Broniewski zupełnie nie nadawał się do regularnej pracy i został zatrudniony tylko po to, by dzięki temu, iż ma zapewnioną stałą pensję, mógł nadal pisać. Grydzewski skarżył się jednak czasami, że poeta właściwie w redakcji nic nie robi i musiał wziąć na siebie jego obowiązki. Natomiast ciągłe problemy finansowe Broniewskiego były spowodowane jego hulaszczym trybem życia.

„Siedział zawsze w roztargnieniu – wspominał Jarosław Iwaszkiewicz – swoje chabrowe oczy posyłając daleko – na pewno wtedy nie myślał o korektach i adiustacjach. Myślał jak zawsze o wierszach, o poezji”<sup>12</sup>.

Podobno głównym zajęciem Broniewskiego było odbieranie telefonów, jednak on „na to całe sekretarzowanie całkowicie sobie bimbał”. Ale przy tym był jedynym człowiekiem, który w godzinach urzędowania przebywał w siedzibie tygodnika.

Nie zawsze, zdarzały mu się bowiem alkoholowe ciągi i wówczas nie był zdolny do pracy. Grydzewski jednak potrafił być tolerancyjny, albowiem „niesłychanie cenił go jako poetę”. Nie przeszkadzało mu również, że w redakcji regularnie pojawiała się kobieta pilnująca porządku w kamienicy, prosząc, aby zrobić coś „z panem Broniewskim, bo znowu leży na schodach”...

Nie był to zresztą wyjątek, poecie zdarzało się pod wpływem procentów dość regularnie tracić kontakt z rzeczywistością.

„Lata trzydzieste. Mieszkanie wujostwa na Chłodnej – opowiadała Adela Bednarska-Strycharz. – Znajomi spotykają się na brydżu. W pewnym momencie brakuje alkoholu. Broniewski ofiarowuje się pójść do sklepu i uzupełnić zapasy. Mija godzina, dwie, a mistrza nie ma. Zniecierpliwione (i spragnione) towarzystwo zaczyna się

rozchodzić, podchodzi do windy – winda nie działa. Goście schodzą i... widzą mistrza śpiącego w windzie. Zakupy są, ale troszeczkę opróżnione. Zanim go zbudzono, chichotano kilkanaście minut”<sup>13</sup>.

Niektórzy jednak uważali, że alkohol miał zbawienny wpływ na intelekt poety. Należał do nich Aleksander Wat, który twierdził po latach, że Broniewski dopiero po kilku kieliszkach wódki staje się sobą:

„[...] intelektualistą nie był, chociaż znowu nie przesadzajmy, bo on czasem między trzecim a piątym kieliszkiem miał czasami świetny dowcip intelektualny, bardzo cienki, ale tylko między. Zależy w jakich czasach, czasem między drugim a czwartym, a czasem między trzecim a piątym, zależnie od stopnia rozalkoholizowania”<sup>14</sup>.

## JANINA KUNIG

Podczas przewrotu majowego Broniewski stanął po stronie Piłsudskiego i podobno nawet wziął udział w walkach w stolicy. Szybko przyszło jednak rozczarowanie, a szczególne znaczenie dla poety miały wydarzenia, które zaszły podczas demonstracji pierwszomajowej w 1928 roku. Została ona bowiem brutalnie rozpędzona przez policję, siły porządkowe użyły ostrej amunicji, były ofiary śmiertelne.

„Broniewski pozostawał człowiekiem uwikłanym w różne środowiska – uważał Mieczysław Braun. – Stykał się z wieloma ludźmi o skrajnie odmiennych poglądach. Szczycił się tym, że on jest wierny sobie. Był typem polskiego szlachciury wierzącego w ideologię proletariacką”<sup>15</sup>.

Chociaż ideowo zbliżył się do komunistów, to jednak nigdy nie został członkiem KPP. Nie chciał się wiązać zależnością organizacyjną ze zdelegalizowaną partią, inna sprawa, że liderzy polskich komunistów specjalnie nie naciskali.

„[...] partyjni komuniści w Polsce międzywojennej – wspominał Ryszard Matuszewski – mają wobec Broniewskiego tę zasługę, że – znając jego poglądy, charakter i sposób bycia – uważali, że nie powinien on wstępować do nielegalnej KPP, która była partią o żelaznej dyscyplinie, wymagającą od swoich członków wyętej aktywności politycznej i bezwzględного posłuszeństwa. Uważali słusznie, że Broniewski więcej dla nich zrobi, jeśli nie będzie tą dyscypliną skrepowany. W ten sposób oszczędzili poecie wielu związanych z przynależnością do partii uciążliwości, być może uchronili go od losu jego przyjaciół, Standego i Wandurskiego [obaj zostali rozstrzelani w ZSRR – S.K.]”<sup>16</sup>.

Broniewski mógł nie należeć do partii, ale coraz bardziej angażował się po stronie komunistów. Zwłaszcza że w jego życiu pojawiła się ich sympatyczka, pochodząca z Kalisza Janina Kunig.

Była od niego młodsza o siedem lat, poznali się pod koniec 1924 roku, gdy ktoś przyprowadził poetę do pokoiku, który wynajmowała razem z koleżanką.

„Byłyśmy zażenowane poprzedzającą go popularnością – wspominała Janina –

i przede wszystkim jego wiekiem. Miał przecież lat dwadzieścia sześć. Legionista, kapitan rezerwy, niemożliwie dorosły. Nic nie pomógł dołek przy każdym uśmiechu, czułam się zapeszona wyrobionym sposobem bycia, nawet nienagannym kołnierzykiem koszuli, muszką pięknie zawiązaną, wyprasowanymi kantami spodni, dojrzałą wręcz męskością, mimo że miał jakieś szczególne ciepło w głosie, w oczach”<sup>17</sup>.

Pan Władysław zakochał się „jak wariat” i zaczął planować wspólną przyszłość. Nie dążył jednak do fizycznego potwierdzenia związku, ale w zamian za to wdał się w romans z pewną mieszkanką Krakowa, Wandą S. Dziewczyna zaszła z nim w ciążę, a poeta lojalnie uprzedził o tym Janinę. Jednocześnie poinformował ją, że zażądał od kochanki aborcji, na co ona po długich dyskusjach przystała. W tej sytuacji narzeczona wspaniałomyślnie wybaczyła mu niewierność...

Janina i Władysław pobrali się w listopadzie 1926 roku, ślub wzięli w obrządku ewangelicko-augsburskim. Oboje byli ateistami, ślubów cywilnych w Polsce wówczas nie udzielano, a kościoły protestanckie żądały najmniej formalności. W tym czasie małżeństwa kościelne zawierali nawet najbardziej ideowi komuniści, a tylko nieliczni decydowali się na wspólne życie bez ślubu.

Pani Broniewska pracowała jako nauczycielka, co w praktyce oznaczało, że partnerzy żyli obok siebie. Wykonywany zawód narzucał bowiem Janinie zupełnie odmienny tryb życia niż ten, który prowadził Broniewski. Rano wychodziła do szkoły, a po południu sprawdzała w domu stosy zeszytów. Natomiast poeta do późna odsypiał nocne wyprawy do knajp, a po obiedzie wychodził na dyżur do redakcji. I wcale nie wlewał w siebie mniej wódki niż wcześniej, chociaż wracając z nocnych pijaństw, przynosił kwiaty lub mocno sfatygowane ciastka.

Ciągle borykali się z niedostatkiem, chociaż Broniewski ratował domowy budżet honorariami za przekłady (szczególnie z literatury rosyjskiej). Inna sprawa, że ubolewania biografów, iż ciężarna żona poety musiała żywić się za trzy, cztery złote dziennie, świadczą raczej o kompletnym braku znajomości ówczesnej siły nabywczej polskiej waluty. Jak zwykle przyczyną kłopotów było upodobanie Władysława do napojów wysokokowych.

W listopadzie 1929 roku na świat przyszło jedyne dziecko Broniewskich, córka Ania (Joanna). Ojciec uwielbiał jedynaczkę, ale wcale nie zmienił swojego postępowania. Pił coraz więcej, wykazywał również dużo tolerancji dla wielbicielek swojego talentu. Żona wybaczała, ale cztery lata po przyjściu na świat Anki ich małżeństwo stanęło w obliczu kryzysu. W życiu poety pojawiła się bowiem młodsza o 15 lat studentka, Irena Hellman.

Tym razem nie chodziło o przelotny romans, Broniewski bowiem „zakochał się jak sztubak z szóstej klasy” i nie wystarczały mu już pojedyncze spotkania. Upajał się obecnością dziewczyny jak alkoholem.

„Te dwie niedziele w Śródborowie – pisał do kochanki – wspominał jak największe i najszańsze pijaństwa, i to tęgim winem. Dziś obudziłem się, śniąc o Tobie. Co to dalej będzie? [...] Wiem, że jesteś o mnie nie najlepszego mniemania: uważasz mnie za jakiegoś wygodnisia, którego nie stać na »męskie« postawienie sprawy. Wierz mi: tak nie jest. A jak? Po prostu jestem zakochany”<sup>18</sup>.

Janina wykazywała maksimum dobrej woli, ale gdy poeta stwierdził, że musi przemyśleć i uporządkować swoje życie, zabrała dziecko i wyprowadziła się. Władysława specjalnie to nie obeszło.

„Broniewskiego spotkałem [...] przypadkowo na początku marca na Krupówkach – wspominał Jan Karol Wende – w towarzystwie młodej, wielce urodziwej panny. We trójkę wstąpiliśmy razem do Karpowicza na przekąskę. [...] Dziewczyna była śliczna, wiedziała o tym; miała ładne nogi, kształtną główkę, a jej ciemne włosy pod wpływem słońca nabrały nad czołem odcienia miodu; ubrana była w modny strój narciarski, a jaskrawoczerwony pulower dopełniał całości. Znajoma Władka (którą czemuś to nazywał pieszczotliwie »Koniczkiem«) mówiła z lekkim akcentem kresowym, śmiała się chętnie, była wesoła, towarzysko obyta. Broniewski w świetnym humorze, dowcipkował, opowiadał głośno dwuznaczne anegdoty, jadł z apetytem, sporo pił – i jak sztubak wpatrzony był w »Koniczka«”<sup>19</sup>.

Romansowi sprzeciwiała się rodzina dziewczyny, a jej brat, Anatol, wyzwiał nawet Broniewskiego na pojedynek. Panowie stanęli naprzeciwko siebie uzbrojeni w szable, poecie dopisało jednak szczęście. Brat kochanki ranny w głowę musiał uznać się za pokonanego, a wymogom kodeksu honorowego stało się zadość. I chociaż romans ostatecznie wygasł, to Broniewski właściwie już nigdy nie powrócił do żony. Do końca życia pozostali jednak przyjaciółmi, poeta zachował również zwyczaj, aby każdy nowy wiersz prezentować przed Janiną. Kiedyś wygłaszał go w kuchni ich wspólnego mieszkania, a po latach dzwonił (najczęściej w stanie nietrzeźwym) i deklamował przez telefon. I z jej zdaniem liczył się najbardziej.

„Janinę Broniewską poznałem dopiero po wojnie – opowiadał Ryszard Matuszewski – i od razu stało się dla mnie zrozumiałe, że dwoje ludzi tak różnych nie mogło ze sobą dłużej współżyć, choć zapewne ich zejście i łączące ich przez pewien czas uczucie mogło się rozwinąć na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. Broniewski był miękki, ona twarda, stanowcza, zasadnicza. Zapewne chciała być przez pewien czas dla niego podporą, chciała przełamać jego skłonność do alkoholu, potem oboje zdali sobie sprawę, że do siebie nie pasują. [...] Zdaje się, że Władka traktowała jak duże dziecko”<sup>20</sup>.

## W POLSKIEJ CELI

Dzieliły ich nie tylko różnice charakterów, ale również poglądy polityczne. Broniewski bowiem mógł czuć się komunistą, ale nigdy nie zapomniał, że jest Polakiem. Uznawał potrzebę zmian społecznych, ale nie zamierzał podporządkować poezji wymogom ideologii. Redagując razem z Watem, Janem Hemplem i Leonem Schillerem „Miesięcznik Literacki”, potrafił zamieścić na jego łamach utwory niezgodne z programem KPP. Były to przekłady pesymistycznych poezji Jesienina, własny wiersz wychwalający anarchistę Bakunina (przeciwnika samego Karola Marksa!) czy też ironiczne *Wiersze o wczesnej wiosnie pisane późną jesienią*:



Żyję sobie, jestem poetą,  
diabli komu do tego.

Łażę, depczę warszawski beton,  
piszę wiersze – z niczego<sup>21</sup>.

Uważał, że nikt nie ma prawa wtrącać się do jego twórczości, a jak na rewolucyjnego poetę przejawiał czasami drobnomieszczańskie upodobania. Komuniści bowiem negowali sport (z wyjątkiem masowego), natomiast Broniewski był jego zwolennikiem. I co najważniejsze, sam czynnie go uprawiał, co zapewne tłumaczy jego zadziwiająco dobrą kondycję fizyczną. W dziedzinie sportu miał zresztą całkiem wyrafinowane upodobania.

„Zimą kilka razy pojechaliśmy z Broniewskim do Zakopanego – wspominał Jan Karol Wende – do »Gospody Włóczęgów«. Podróż fundował Władek, który jako kawaler Orderu Virtuti Militari korzystał z dużej, bodajże 80-procentowej zniżki kolejowej. Bywało tak, że w sobotę po południu Władek wpadał do mnie, proponując skok do Zakopanego na narty tylko na... niedzielę i powrót do Warszawy. Muszę przyznać, że takie wyprawy na jeden dzień do Zakopanego (dwie noce w pociągu, a oczywiście mowy nie było o slipingu) były dość uciążliwe. Ale nie dla Władka! Po Władku nie znać było zmęczenia”<sup>22</sup>.

Broniewski mógł kłócić się z liderami KPP, ale dla policji pozostawał wrogiem panującego porządku. W jego mieszkaniu regularnie przeprowadzano rewizje, a we wrześniu 1931 roku razem z Watem i Hemplem został aresztowany i wyładował za kratkami.

Wbrew upowszechnianej w czasach PRL legendzie w więzieniu nie siedział długo i właściwie nie groził mu wyrok skazujący. A już na pewno nie wchodziło w grę osadzenie go w Berezie Kartuskiej, jak twierdzili komunistyczni biografowie, słynny obóz internowania powstał bowiem dopiero trzy lata później.

Przebywał w areszcie na Daniłowiczowskiej, w jego obronie wystąpili skamandryci, a Wieniawa-Długoszowski (dowódca garnizonu warszawskiego) przysłał dwie torby z delikatesami ze słynnego sklepu Hirszfeldów. Dyrektor więzienia musiał nawet przenieść Broniewskiego, Hempla i Wata do osobnej celi, aby tam w spokoju mogli raczyć się łososiem, kawiozem i wódką...

Niebawem zwolniono ich z braku dowodów, gdyż „Miesięcznik Literacki” był legalnym pismem. Broniewski mógł jednak dopisać do swojej biografii sanacyjne więzienie, a po dwóch latach stworzyć wiersz *Magnitogorsk albo rozmowa z Janem*, którym po latach dręczono kolejne pokolenia uczniów. I dziwne, że nikt nie dostrzegł znacznego ładunku ironii zawartego w tym utworze, Broniewski bowiem zawsze pozostawał sobą.

Zresztą gdy poeta został już zwolniony, to podobno pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było pójście na wódkę z Wieniawą i Kazimierzem Wierzyńskim...

W 1934 roku Grydzewski wysłał swojego sekretarza w podróż po ZSRR. Pan Władysław miał okazję poznać starannie przygotowaną fasadę „państwa robotników i chłopów” i chyba nawet uwierzył w przedstawiony mu obraz. A może po prostu bardzo chciał wierzyć, w reportażach drukowanych na łamach „Wiadomości Literackich” prezentował bowiem zadziwiający entuzjazm. Nie przeszkadzały mu brak kanalizacji w domach robotniczych, ciężka praca Rosjan w kopalniach i hutach, chociaż osobiście doceniał luksus, jakim otaczali go gospodarze.

Po powrocie do kraju bronił osiągnięć ZSRR, ale rok później nie zgodził się pojechać na zjazd sowieckich pisarzy. W zamian za to pojawił się jednak we Lwowie na Kongresie Pracowników Kultury współorganizowanym przez przyjaciółkę żony, Wandę Wasilewską. Janina wprawdzie musiała pozostać z dzieckiem w Warszawie, ale pilnie śledziła wydarzenia nad Pełtwią.

Założenia kongresu były przyzwoite: walka intelektualistów z narastającym zagrożeniem ze strony faszyzmu. W praktyce jednak organizatorzy realizowali polecenia z Moskwy. Nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, obok bowiem zdeklarowanych zwolenników Kremla w obradach wzięli udział intelektualiści niezwiązani z komunistami. Leon Schiller i Maria Dąbrowska przysłali nawet listy, nie zaproszono jednak Tuwima, Słonimskiego, Boya-Żeleńskiego, a nawet Aleksandra Wata.

Organizatorzy dobrze wybrali miejsce kongresu. Lwów był silnym ośrodkiem agitacji komunistycznej, niebawem zresztą obrady zdominowali agenci moskiewscy. Wznoszono okrzyki na cześć „czerwonego Lwowa”, na zakończenie odśpiewano *Międzynarodówkę* i zapowiedziano bliskie spotkanie w „czerwonej Warszawie”.

„Można więc – ironizował Słonimski – w gmachu teatru miejskiego we Lwowie, za pozwoleniem władz polskich, protestować przeciw »obozom koncentracyjnym« i »brutalnemu terrorowi politycznemu«, ale nie warto nawet wspomnieć, że w Sowietach są też »obozy koncentracyjne« i »brutalny terror polityczny«. Jeśli jedną z zasadniczych postaw kultury ma być tolerancja i wolność, zjazd lwowski był dość lichą i przykrą parodią”<sup>23</sup>.

Broniewski był zadowolony z udziału w imprezie, ale w odróżnieniu od żony nie uważał, że walka o poprawę losu proletariatu wyklucza wątek narodowy. Nie widział przyszłości dla Polski jako kolejnej republiki sowieckiej, pamiętał, że bił się z bolszewikami o niepodległość kraju.

„Tego oficera nie trzeba było zresztą w nim demaskować – uważał Wiktor Weintraub. – Ze swojej wojaczki – lat spędzonych w Legionach i na wojnie 1920 roku – był dumny i nie krył się z tym. Ranga kapitańska, której się w 1920 roku mimo bardzo młodych lat dosłużył, świadczyła najoczywiściej, że bił się dobrze. Tak samo w głębi duszy był dumny ze swego szlacheckiego pochodzenia. Jego pierwsza żona niczym nie potrafiła go tak wyprowadzić z równowagi, jak przyznaniem się w towarzystwie do tego, że jest córką akuszerki. Położnictwo, jak wiadomo, nie należało w Polsce do szlacheckich zawodów”<sup>24</sup>.

Małżeństwo Broniewskich ostatecznie się rozpadło, a Janina wystąpiła o separację. Wasilewska zapoznała ją z działaczem KPP Romualdem Gadomskim i oboje szybko przypadli sobie do gustu. Natomiast w życiu poety pojawiła się aktorka, Maria Zarębińska. Rówieśniczka jego żony, wdowa z kilkuletnią córką, była całkowitym przeciwieństwem Janiny. Delikatna i wrażliwa, wprawdzie z rezygnacją mawiała, że rywalizację o jego względy przegrywa z „madame czystą wyborową”, to jednak zdecydowała się dzielić z nim los.

„Wiosną 1938 roku mama oznajmiła mi, że na spacerze w Łazienkach poznam miłego pana – wspominała Majka, córka Zarębińskiej. – Doskonale pamiętam, w którym to było miejscu – przed bramą od obecnej ulicy Gagarina, wówczas Podchorążych. Broniewski ubrany był w jasnoniebieską koszulę i jasne popielate spodnie. Przedstawił się: – Władysław Broniewski – na co ja odpowiedziałam: – Marysia – i dygnęłam. Od razu podałam mu rękę i poszliśmy do parku. Szłam, skacząc na jednej nodze, więc mnie nazwał »Wróblem na nitce«, a ja jego »Starym Niedźwiedziem«. Wkrótce spytał mnie, czy chciałabym, aby został moim tatusiem? Powiedziałam »tak«, co było z mojej strony wielkim uznaniem. Mama, wdowa od 1933 roku, miała wcześniej różnych adoratorów, których »spławiałam« w sposób niezwykle bezczelny. Tym razem wyraziłam zgodę. Błyskawicznie nawiązała się między nami nić sympatii. Zwyczajnie i po prostu”<sup>25</sup>.

Broniewski szczerze zaangażował się w nowy związek, ale gdy dotarła do niego informacja, że jego żona ma stałego partnera, to zachował się w typowo męski sposób. Nie mógł się z tym pogodzić i poskarżył się nowej partnerce na „nielojalność” Janiny.

„– Ty wiesz, co mi Jaśka zrobiła? Zawiadomiła mnie, że ma męża! I to wspaniałego człowieka!

– Przez chwilę nie mogłam teraz ja złapać tchu – opowiadała mi Marysia. – Opanowałam się z trudem i wreszcie słodziutko spytałam: »Władeczku, a do kogo ty to mówisz?«. Nie od razu dotarło. Męska logika, co?”<sup>26</sup>.

Inna sprawa, że niebawem stosunki pomiędzy Janiną i Władysławem wkroczyły w nową fazę. Broniewska zamieszkała bowiem wraz z córką i Gadomskim na pięttrze domu przy ulicy Czarnieckiego na Żoliborzu, a gdy właściciel zaczął poszukiwać lokatorów do mieszkania na parterze, to zaproponowała lokal Broniewskiemu. Poeta zgodził się, Janina i Maria szybko się zaprzyjaźniły i nie przeszkadzało im wcale, że pod względem formalnym Broniewscy nadal byli małżeństwem...

### BAGNET NA BROŃ

Niezależnie od wszelkich zawirowań osobistych poeta przeżywał w tym czasie poważny kryzys ideologiczny. Z Moskwy dochodziły bowiem informacje o procesach i wyrokach wykonywanych na „wrogach proletariatu”, wprawiając w osłupienie cywilizowany świat.

„Historia nie zna wypadku – pisał w 1936 roku Antoni Słonimski – aby szesnastu starych i zahartowanych działaczy rewolucyjnych domagało się dla siebie kary śmierci i opluwało swoją wieloletnią działalność. Słowa, które wypowiedział jeden z najwybitniejszych przywódców komunistycznych, Kamieniew, to słowa nie z tego świata: »Wyrok, jaki na mnie spadnie, nie będzie wyrazem okrucieństwa, lecz dowodem, że wszystko ma swoje granice, nawet wspaniałomyślność sowiecka. Dlatego pluję na wszystkie okrzyki o okrucieństwie wydanego na mnie wyroku«”<sup>27</sup>.

Procesy moskiewskie to jednak nie wszystko. W „ojczyźnie proletariatu” znikali przyjaciele Broniewskiego z KPP, przypadli Witold Wandurski, Stanisław Stande, Jan Hempel. Liderów partii kolejno wzywano do Moskwy, gdzie oskarżano ich o najbardziej absurdalne przestępstwa ideologiczne (łącznie z przynależnością do Polskiej Organizacji Wojskowej nieistniejącej już od blisko 20 lat). Wreszcie na polecenie Kremla rozwiązano samą KPP, ogłaszając, że partia została zdominowana przez „bandę szpiegów i prowokatorów” pozostających na usługach polskiej policji. Z kierownictwa organizacji przeżyli wyłącznie ci działacze, którzy wówczas siedzieli w polskich więzieniach.

„Jeszcze w 1937 roku, w okresie moskiewskich procesów – wspominał Aleksander Wat – gdy rozmawiałem z dość ważnymi komunistami, z przyjaciółmi i pytałem: »Więc teraz to jest dla was oczywiste?« – odpowiadali: »Tak, to prawda, ale nie możemy teraz odejść, to jest cała nasza młodość«. Komunizm pokazał, jak niesłychanie jest trudno odejść od swojej młodości, wtedy kiedy ta młodość była jakimś szczytem, jakąś bezinteresownością, jakąś piękną drogą życia. Ci wszyscy starzy komuniści, którzy różnie dochodzili do komunizmu, dochodzili przecież drogą idealizmu i drogą ogromnej bezinteresowności”<sup>28</sup>.

Wprawdzie Broniewski miał inne wspomnienia z młodości, ale również dla niego śmierć przyjaciół i rozwiązanie partii były wstrząsem. Nie mógł się pogodzić z absurdalnymi zarzutami, odreagowywał je na swój sposób, to znaczy pił coraz więcej. Z dużym niepokojem obserwował również rozwój sytuacji międzynarodowej, świat zmierzał bowiem do kolejnej wojny, a Polska miała się stać jej pierwszym frontem.

W 1938 roku poeta stracił pracę w redakcji „Wiadomości Literackich” i związał się z antysanacyjnym tygodnikiem „Czarno na Białym”. To właśnie na jego łamach w kwietniu 1939 roku ukazał się jego chyba najsłynniejszy wiersz.

Kiedy przyjdą podpalić dom,  
ten, w którym mieszkasz – Polskę,  
kiedy rzucą przed siebie grom,  
kiedy runą żelaznym wojskiem  
i pod drzwiami staną, i nocą  
kolbami w drzwi załomocą –  
ty, ze snu podnosząc skroń,  
stań u drzwi.  
Bagnet na broń!  
Trzeba krwi!

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,  
obca dłoń ich też nie przekreśli,  
ale krwi nie odmówi nikt:  
wysączymy ją z piersi i z pieśni.  
Cóż, że nieraz smakował gorzko  
na tej ziemi więzienny chleb?  
Za tę dłoń podniesioną nad Polską –  
kula w łeb!

Utwór natychmiast zyskał ogromną popularność i pomimo „wielkiego nakładu numeru odbijano ten wiersz na poligrafach i kolportowano po Polsce”. Przedrukowały i cytowały go również pisma rządowe, a nawet endeckie. Nic zatem dziwnego, że ktoś zauważył, iż nawet gdyby zapomniano całą twórczość Broniewskiego, to poeta „za ten jeden wiersz przejdzie do historii”...

## SOWIECKI LWÓW

Pomimo okazywanego patriotyzmu Broniewski nie został jednak zmobilizowany w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku. Ostatecznie zgłosił się na ochotnika i po wybuchu wojny ruszył rowerem na wschód do jednostki, do której dostał przydział. Nie zdążył jednak wziąć udziału w walkach, 17 września wschodnią granicę Polski przekroczyli Sowieci, a poeta znalazł się we Lwowie.

Nad Pełtwią schroniło się wielu przedstawicieli polskiej inteligencji. Dominowali jednak ludzie o przekonaniach lewicowych, którzy po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną uznali, że wreszcie nadszedł ich czas. W serwilizmie wobec okupanta prześcigali się: Wanda Wasilewska, Adam Ważyk, Jerzy Borejsza i Jerzy Putrament, kwitła kolaboracja, a chętnych do oporu specjalnie nie było.

Sowieci powierzyli organizację życia literackiego miastu zaufanemu człowiekowi, dramaturgowi Aleksandrowi Kornijczukowi. Ukraińiec, jak przystało na przedstawiciela „ojczyzny proletariatu” w podbitym kraju, wybrał na siedzibę luksusowy hotel George, a swoimi obyczajami również odbiegał od zasad głoszonych przez komunistów.

„Długo czekaliśmy przed jego pokojem, apartamentem – wspominał wizytę u Kornijczuka Aleksander Wat. – Potem dwie dziewczeczki z bardzo wypukłymi pupkami, takie ładniusie, wyszły, a potem po jakiejś chwili zaprosił nas do siebie. W jedwabnej piżamie, oczywiście lwowskiej, wyperfumowany, z urodą kelnera, urodą taką bardzo lokajską”<sup>29</sup>.

Na polecenie Kornijczuka powołano Związek Literatów Polskich, Ukraińskich i Żydowskich, a w skład zarządu weszli: Tadeusz Boy-Żeleński, Wat i Broniewski. Kornijczuk zachęcał niezdecydowanych do współpracy, obiecując wyjątkowo liberalny kurs wobec polskich pisarzy.



„Nie macie do nas zaufania, wiem o tym i wcale od was z góry nie wymagam żadnego zaufania. Przyglądajcie się nam, mamy czas, przyglądajcie się rok, dwa. Spodoba się wam – świetnie, nie spodoba się – trudno. To jest wasza sprawa. Ale my wam damy tymczasem dobre warunki egzystencji, żebyście mogli żyć, pisać, przyglądać się nam w akcji. Nacisku na żadnego z was nie będziemy wywierać, żadnej propagandy wobec was nie będziemy stosowali. Sami wyróbcie sobie sąd. Nie musicie się z tym nawet spieszyć, po co się spieszyć”<sup>30</sup>.

Była to oczywiście tylko propaganda, a członków Związku Literatów nazwano już niebawem „sekcją kajakową”, gdyż podczas zebrań wszyscy gremialnie kajali się i przepraszaali za swoje winy. Nie mieli zresztą wyboru, Sowieci od pierwszych dni okupacji przyjęli kurs na wyniszczenie polskich elit. Z dużą nieufnością obserwowali również byłych członków i sympatyków KPP.

„Patrzyliśmy na nich jak na niezdemaskowanych agentów – przyznawał ówczesny szef partii bolszewickiej na Ukrainie Nikita Chruszczow – trzeba ich było [...] nie tylko sprawdzić, ale sprawdzić pod lupą. I wielu z nich, wyzwolonych [z polskich zakładów karnych] przez Armię Czerwoną, trafiło po tym do naszych, sowieckich więzień”<sup>31</sup>.

We Lwowie znalazł się także mało wówczas znany działacz KPP Władysław Gomułka. W odróżnieniu jednak od większości towarzyszy partyjnych pamiętał o swojej polskości i z niepokojem przyglądał się działaniom okupantów.

„[...] komuniści polscy [...] czuli się wtedy na ziemiach Ukrainy i Białorusi Zachodniej jak ludzie zagubieni, pozbawieni własnego kompasu politycznego, pasującego do wyznawanych przez nich idei socjalizmu, której ucieleśnieniem miał być Związek Radziecki. Tylko ci, którzy za fasadą marksizmu-leninizmu i rewolucji proletariackiej żywili wobec Polski, jako niepodległego i suwerennego państwa, kosmopolityczne poczucie obojętności, a nawet wrogości, przyjmowali bezkrytycznie i z aplauzem ówczesną politykę Związku Radzieckiego i Kominternu, czynili wszystko, żeby [...] zaskarbić sobie łaski swoich nowych rzeczników politycznych”<sup>32</sup>.

Wrześniowa agresja oddała w ręce Rosjan ponad połowę terytorium Polski i NKWD natychmiast przystąpiło do wprowadzania własnych porządków. Zagarnięte obszary znalazły się pod władzą wojskową, następnie urządzono „wybory” do „Zgromadzeń Ludowych”. I oczywiście wkrótce nowo „wybrani” deputowani zwrócili się do władz ZSRR o przyłączenie „zachodniej Ukrainy” i „zachodniej Białorusi” do Kraju Rad. Kreml przyjął ich prośbę z pełnym zrozumieniem.

Od października 1939 roku we Lwowie wychodził polskojęzyczny „Czerwony Sztandar”, a jego dziennikarze i współpracownicy oficjalnie poparli sowiecką aneksję. Specjalne oświadczenie podpisali wszyscy, wyłamał się tylko Broniewski, który demonstracyjnie nie pojawił się na spotkaniu redakcyjnym. Jego podpis umieszczono jednak pod dokumentem, bolszewicy nie przejmowali się bowiem takimi drobiazgami jak fałszerstwa.

„Pomyliliśmy się wszyscy – mówił kilka miesięcy później Tadeusz Boy-Żeleński. – Oszukali nas. [...] Prawdą jest tylko, że w tym systemie nie może żyć człowiek, który by chciał choćby w najniklejszym stopniu wyrazić jakiś pogład

krytyczny. To najstraszniejsza niewola myśli, jaką znają dzieje”<sup>33</sup>.

Prawdziwym problemem dla Sowietów okazał się jednak Broniewski. Niepokorny poeta odmówił wejścia w skład redakcji „Czerwonego Sztandaru”, objął natomiast stanowisko kierownika literackiego Teatru Polskiego. Uznał bowiem, że musi z czegoś żyć, a posada w polskiej placówce teatralnej wydawała mu się najmniej kompromitująca. Inna sprawa, że nad Pełtwią wciąż nie mógł dojść do porządku ze swoim światopoglądem.

„Broniewski miał już trudności – opowiadał Aleksander Wat. – Ze swoją inkoherecją chodził po Lwowie cały kipiący, z zaciśniętymi zębami, wszędzie, gdzie mógł, recytował swoje wiersze. Kiedy na sylwestra zrobiono bal dla dzieci, on miał między innymi wystąpić i Pancz [Piotr Panczenko, pisarz ukraiński – S.K.] zabronił mu czytać wiersze patriotyczne. Mimo to on czytał *Idzie żołnierz z niewoli* [*Żołnierz polski* – S.K.]. Doszło do tego, że Pancz wstał [i] demonstracyjnie opuścił salę”<sup>34</sup>.

Poeta nie mógł zrozumieć, dlaczego Związek Radziecki wziął udział w rozbiórce Polski. Państwo, gdzie panował ustrój, o którym marzył, weszło w sojusz ze swoim największym wrogiem i zlikwidowało jego ojczyznę. A władze ZSRR głosiły jeszcze, że Polska już nigdy się nie odrodzi.

„Mało kto z endeków tak się zachowywał jak Broniewski – kontynuował Wat. – A jednocześnie ciągle coś majaczył na temat Polski radzieckiej, śpiewał pieśni: *Moskwa moja, Moskwa moja*. To wszystko razem w nim grało [...], był bardzo emocjonalny, bebechowaty. To znaczy, zanim sobie zracjonalizował swoje doświadczenie emocjonalne, jego doświadczenie emocjonalne było wściekłe. Patriota, Polska, klęska, Sowiety, Sowiety przyjaźnią się z Niemcami, nie pozwalają mu czytać antyniemieckich patriotycznych wierszy. Ale zanim dochodziło z bebeczków do głowy, to musiało trwać. Była to bardzo długa droga”<sup>35</sup>.

W wierszu *Żołnierz polski* cenzorzy zakwestionowali wers o „niemieckiej niewoli”, ZSRR był przecież sojusznikiem III Rzeszy i nie wypadało o tym wspominać. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z utworem *Syn podbitego narodu*. Z perspektywy czasu trudno zrozumieć opór sowieckich decydentów, wiersz ten bowiem w okresie PRL należał do wypisów szkolnych z języka polskiego.

[...] chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,

chcę, żeby Hejnał Mariacki szumiał czerwonym sztandarem.

Dumna i piękna Warszawo, chwała twoim ruinom,

chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.

Podaj mi dłoń, Białorusi, podaj mi dłoń, Ukraino,

wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy.

Okazało się jednak, że „sierp i młotniepodległy” nie spodobały się Sowiетom, słowo „niepodległość” nie istniało bowiem w literaturze podbitych narodów. Ale gdy oba utwory odrzuciła redakcja „Czerwonego Sztandaru”, a Broniewski dostał zakaz deklamowania ich w miejscach publicznych, to po Lwowie zaczął krążyć inny wiersz poety:

Byłby Grunwald i Płowce,  
gdyby nie te bombowce,  
i gdyby nie te czołgi,  
które przyszły znad Wołgi.

### W DRODZE NA ŁUBIANKĘ

Broniewski znalazł dobre towarzystwo do picia wódki nad Pełtwią, najczęściej włączył się po knajpach z mężem Wasilewskiej, Marianem Bogatką. Towarzyszka Wanda mogła promieniować zapałem i uważać się za „byłą Polkę”, ale jej partner widział, w jaki sposób jest manipulowana przez Sowiетów. I pozostał sceptyczny wobec komunistycznego raj.

„[...] w knajpach pełno oficerstwa sowieckiego – opowiadał Aleksander Wat – i ten Bogatko nie mówi, ale basem opowiada zaraz po tym wiecu inne rzeczy. To zdanie pamiętam na przykład: »Pamiętajcie, gdy przyjedziecie do Kijowa, gdy tylko pierwszy krok z wagonu, to cap – jedną ręką przycisnąć walizki, a drugą przytrzymać czapkę, bo wam zedrą z głowy»<sup>36</sup>.

Broniewski i Bogatko znaleźli się pod czujną obserwacją NKWD, a obyczajów poety nie zmieniło nawet przybycie najbliższych z Warszawy. Dzięki rozmowom na szczeblu dyplomatycznym do Lwowa miała bowiem trafić rodzina Wasilewskiej, ale z pięciu zapowiadanych osób dwie zrezygnowały (matka i szwagier). W tej sytuacji wolne miejsca zajęły Maria Zarębińska z Majką.

Broniewski ucieszył się z przyjazdu swoich pań, ale nadal wlewał w siebie ogromne ilości trunków i sprawiał kłopoty. NKWD nie znało się na żartach i zdecydowano się go wreszcie pozbyć. Poety nie można było jednak zwyczajnie aresztować, jego wiersze podobno przecież Nadieżda Krupska czytywała umierającemu Leninowi. Wobec tego starannie przygotowano prowokację, przy okazji planując aresztowanie wszystkich niepokornych polskich literatów.

W styczniu 1940 roku po wieczorze autorskim Leona Pasternaka kilkanaście osób udało się do restauracji Aronsona, inni pojawili się tam na specjalne zaproszenie. Organizatorem prowokacji był scenograf Władysław Daszewski, to właśnie on na zlecenie Sowiетów dopilnował, aby nikogo nie zabrakło. Sprowokowano awanturę, natychmiast pojawili się żołnierze NKWD i uczestnicy burdy zostali zatrzymani. Wśród aresztowanych byli: Broniewski, Wat, Tadeusz Peiper i Anatol Stern. Kolejnych literatów, w tym Teodora Parnickiego, zatrzymano w domach.

„Kiedy po wojnie Władek wrócił do Łodzi, odwiedził go Daszewski – wspominała Majka. – Przyniósł pół litra, zamknęli się w pokoju, siedzieli tam trzy godziny. Gdy za Daszewskim zamknęły się drzwi, Broniewski przyszedł do nas i oznajmił: – Dałem mu amnestię, proszę, do tego tematu więcej nie wracajmy”<sup>37</sup>.

Wasilewskiej nie było podczas całej awantury we Lwowie, zapewne Sowietci z rozmysłem wybrali termin prowokacji, aby towarzyszka Wanda nie mogła interweniować. Wprawdzie „była Polka” zaprzedała się zupełnie Stalinowi, to jednak naiwnie wierzyła w szlachetność systemu komunistycznego. I po powrocie do miasta rozpoczęła starania o zwolnienie aresztowanych, uznając zajście za zwykłą pijacką awanturę.

„Wiem z całą pewnością – wspominała Ola, żona Aleksandra Wata – że poszła do Chruszczowa, który wtedy był we Lwowie i – najprawdopodobniej – sprawą tą się zajmował. Poradził jej w dosadnym języku, aby nie wsadzała nosa między drzwi. Gdy zaraz następnego dnia po aresztowaniu Putrament zwołał zebranie, aby potępić aresztowanych i odciąć się od nich, już mając przygotowane odpowiednie pismo z podpisami niektórych zostawionych na wolności pisarzy, sprzeciwiła się temu Wanda Wasilewska, tłumacząc, że to za wcześnie, że trzeba poczekać na sąd, na ujawnienie prawdy. Nie podpisała tego oświadczenia Putramenta. Nie podpisali go też Ważyk, Lec, Szemplińska”<sup>38</sup>.

Wasilewska poprosiła o interwencję Stalina, ale dyktator zachował się w sposób właściwy sobie, to znaczy zlecił sprawę Berii. Ten po pewnym czasie skontaktował się z Wandą i oświadczył, że nazwisk zatrzymanych nie ma w kartotekach, a zatem nie można ich zwolnić. W tym czasie przewieziono ich już na moskiewską Łubiankę.

Wasilewska protestowała, ale objęła po Broniewskim stanowisko kierownika literackiego Teatru Polskiego we Lwowie. Wydaje się zresztą, że doszła do wniosku, iż cała sprawa prędzej czy później się wyjaśni i aresztowani wrócą do domów. Mniej złudzeń miał jej mąż, który porzucił już wszelką ostrożność. Zdecydował się na powrót do Warszawy, do czego Sowietci nie mogli dopuścić. Czasu było mało, wybrano najprostsze rozwiązanie – pod koniec maja partner Wandy został zastrzelony przez „nieznanych sprawców”...

Oficjalnie ogłoszono, że zamordowały go „bandy kontrrewolucyjne” (w domyśle Polacy), potem uznano, że zrobili to jednak „ukraińscy nacjonałiści”. Po latach Chruszczow przyznał się, iż była to robota jego ludzi, ale twierdził, że zaszła tragiczna pomyłka:

„To było przypadkowe zabójstwo, jak mi uczciwie wyznali. Byłem jednak wstrząśnięty. Mąż Wandy Lwowny należał do PPS, miał robotnicze korzenie, choć działał mniej aktywnie niż ona. Od razu zrodziło się pytanie: jak ta sprawa odbije się na stosunku Wasilewskiej do nas? Czy nie pomyśli, że usunęliśmy jej męża z jakichś powodów politycznych? Różne rzeczy mogą przyjść człowiekowi do głowy w następstwie takiej tragedii”<sup>39</sup>.

Trudno powiedzieć, co naprawdę myślała Wasilewska, ale chyba zrozumiała ostrzeżenie. Sowietci byli bezwzględni, a związki rodzinne nie miały dla nich żadnego znaczenia. Z obranej drogi jednak nie zamierzała zawrócić, a Chruszczow zadbał, aby

szybko zapomniała o tragedii. W jej życiu pojawił Aleksander Kornijczuk, zostali kochankami, a później małżeństwem. Wspomnienie Bogatki odeszło w przeszłość...

## ŚLEDZIE W SARATOWIE

Życie potrafi być jednak najlepszym reżyserem wydarzeń. Broniewski, rewolucyjny poeta i sympatyk komunizmu w sanacyjnej Polsce, siedział w areszcie bardzo krótko, natomiast z prawdziwym więzieniem zapoznał się dopiero w „ojczyźnie proletariatu”. Początkowo przetrzymywano go na lwowskim Zamarstynowie, gdzie zachowywał się niezwykle godnie. Gdy osadzono go w karczerze, przebywający w sąsiedniej celi Wat miał okazję podziwiać niezłomne zachowanie towarzysza niewoli. A warunki były krytyczne, przebywali bowiem w małych pomieszczeniach bez szyb, zaś na dworze panował siarczysty mróz.

„A Władzio był niesłychanie dzielny – wspominał Wat – z ogromną siłą, jakieś orlątko. I nie tylko w tym szczerze go podziwiałem. Ja chodziłem inteligenckim krokiem, biegałem w kółko po tej celi. A on – zazdrościłem mu tego – chodził żołnierskim krokiem, wybijał takt i śpiewał wszystkie legionowe pieśni. Cały czas śpiewał, pięć dób śpiewał. [...] Więc ja przy nim czułem się jak nędzny wymoczek. Dał mi po prostu pokaz, jak można zachować godność ludzką, siłę i bojowość. [...] Wtedy wobec Władzia Broniewskiego, który był pełnym człowiekiem, czułem się robakiem na mrozie, tą wszą, która ma wymarznąć. Nie widziałem lepszej, godniejszej postawy niż ta, którą wtedy miał Broniewski”<sup>40</sup>.

Poeta podobnie zachowywał się podczas śledztwa, nie przyznał się do żadnej „wrogiej” działalności. Inna sprawa, że przesłuchujący go funkcjonariusze chyba specjalnie nie starali się zmusić go do samooskarżeń, jak bowiem wiadomo, nie ma ludzi niezłomnych, są tylko niewłaściwie przesłuchani...

Nie zmienia to jednak faktu, że Wat poddał się już po „standardowej” obróbce, natomiast Broniewski odpierał zarzuty. To oczywiście nie miało żadnego znaczenia i trafił na Łubiankę, gdzie siedział do czerwca 1941 roku. Po hitlerowskiej inwazji przewieziono go do Saratowa, w tamtejszym więzieniu wzbudzał osłupienie, nie narzekając na koszmarny jadłospis. Osadzonych żywiono bowiem gliniastym chlebem i śledziami pokrytymi grubą warstwą soli. Wody dawano mało, wobec czego więźniowie w obawie przed pragnieniem w ogóle nie jedli ryb. Przejmował je Broniewski, który „żarł wszystko”, zagryzając kostkami cukru „wyłudzonymi od młodego Żyda z Wilna”.

W Saratowie otrzymał wreszcie wyrok, skazano go na pięć lat zsyłki do Kazachstanu. Miał pracować w jednym z tamtejszych kołchozów i przewieziono go już do Ałma Aty, gdy rozeszła się informacja o podpisaniu paktu Sikorski-Majski i amnestii dla uwięzionych w ZSRR Polaków.



Gdy Broniewski we wrześniu 1939 roku ruszał na wschód, jego śladem niebawem podążyła Janina razem z Anką. Daleko jednak nie zawędrowały, zatrzymały się w Białymstoku, gdzie zastała je sowiecka inwazja.

Pani Broniewska nie miała podobnych dylematów jak mąż. Uznała, że aneksja Kresów przez ZSRR jest dowodem na wyższość komunizmu nad sanacyjną Polską, i włączyła się w budowę ustroju sprawiedliwości społecznej. Przeniosła się do Mińska, gdzie prowadziła polskojęzyczny dział gazety „Sztandar Wolności”. Współpracowała wówczas z Alfredem Lampe i Jakubem Bermanem, co w przyszłości miało jej przynieść wymierne korzyści.

Na pewien czas wysłała Ankę do Marii Zarębińskiej do Lwowa, w Mińsku nie było bowiem polskojęzycznej szkoły. Dziewczynka wróciła jednak do matki pod koniec maja, a po ataku niemieckim na ZSRR obie wraz z Bermanem i Lampem uciekły na wschód.

Ostatecznie Broniewska wraz z córką trafiły do sowchozu koło Kujbyszewa. Znała losy męża, ale okazywała wobec niego wyjątkową lojalność. Jak przystało na prawdziwą komunistkę, nie negowała wprawdzie oskarżenia, ale winę zrzucała na przyjaciół Broniewskiego, uznając ich za prowokatorów. Odmówiła również wystąpienia o rozwód, chociaż z Gadomskim miała już syna.

„Dokonanie takiej drobnej i prostej formalności – tłumaczyła – byłoby gorzej niż małżeńskim wiarołomstwem. Byłoby to wyrzeczeniem się wszystkiego, co nas łączyło całe życie. Solidarność, bezgraniczne zaufanie do uczciwości i żarliwość wspólnych przekonań nie pozwalały się rozwodzić z komunistą uwięzionym w radzieckim więzieniu”<sup>41</sup>.

Amnestia dla Polaków w ZSRR nie oznaczała jednak automatycznego zwolnienia dla obojga Broniewskich. Władze sowieckie podchodziły bowiem bardzo niechętnie do tematu (Beria osobiście zakazał zwalniania polskich komunistów), poeta miał jednak szczęście. Utrzymywał bowiem korespondencję z Wasilewską, dzięki czemu Wanda Lwowna знаła jego miejsce pobytu. I gdy wystąpiła do władz sowieckich z prośbą o uwolnienie poety i ponownie usłyszała, że nie można go wypuścić, to od razu podała adres kazachskiego kołchozu. Sowietom nie mieli wyboru i Broniewski znalazł się na wolności.

Wasilewska nie zapomniała również o przyjaciółce. Posyłała jej z frontu witaminy, a następnie wydostała z sowchozu. Janina podążyła wraz z córką do Moskwy, nie zastała tam już jednak Władysława. Poeta bowiem zdążył się zaciągnąć do armii Andersa.

## STEPY AZJI ŚRODKOWEJ

Broniewski długo się wahał. W głębi duszy pozostał bowiem komunistą, ale ostatnie dwa lata zraziły go do „ojczyzny proletariatu”. Wiedział jednak, że w armii Andersa otoczony będzie niechęcią ze względu na swoją lewicową przeszłość, ale nie

otrzymał żadnej konkretnej propozycji współpracy od polskich władz. W moskiewskiej ambasadzie bardziej zresztą interesowano się jego pijackimi ekscesami niż twórczością.

„Ksawery Pruszyński [...] wydobyl z komody butelkę przywiezionego z Londynu scotcha – opowiadał Wiktor Weintraub. – Był to bodajże pierwszy alkohol, jaki zakosztował Broniewski po wypuszczeniu go z więzienia. Nie wypito jeszcze pół butelki, kiedy upił się na dobre i zaczął wyprawiać brewerie. Toteż kiedy następnego dnia zjawił się u Pruszyńskiego, aby whisky dopić, ten odmówił. Rozeźlony, zaczął szukać butelki na własną rękę, a kiedy nie udało mu się jej znaleźć w komodzie, począł zawartość szuflad, jednej po drugiej, wyrzucać na podłogę. Pruszyński całej scenie przyglądał się biernie, siedząc na łóżku. Nie mógł się ruszyć, siedział bowiem na butelce”<sup>42</sup>.

Poeta na dobre powrócił do swoich pijackich obyczajów. Doświadczyli tego Polacy mieszkający z nim w Kujbyszewie, gdzie wobec zagrożenia niemiecką ofensywą ewakuowano personel dyplomatyczny. Broniewski mieszkał tam w wieloosobowym pokoju i nie przejmował się zupełnie współlokatorami.

„Kiedyśmy już zwykle wszyscy spali – wspominał malarz Józef Czapski – o godzinie 24 najwcześniej wracał do »hotelu« z brydza czy z wódki, z hałasem, z trzaskiem, Władysław Broniewski. Któż go nie znał, świetnego poety, oficera z piękną kartą legionową Virtuti Militari, komunisty parę razy więzionego w Polsce niepodległej?

[...] Powracający na nocleg Broniewski zapalał jedyną żarówkę, która świeciła nam prosto w oczy. Na przekleństwa rozbudzonych odpowiadał przekleństwami tak plastycznymi, że jego przeciwnicy czuli się natychmiast pobici i milkli; nie znosił, by ktokolwiek z jego współtowarzyszy śmiał spać wtedy, kiedy on wracał. Gdy się już ułożył w łóżku i kiedy najbardziej senni lub nieświadomi tego, co ich czeka, spodziewali się, że będą mogli za chwilę zasnąć z powrotem – zaczynał deklamować.

Pamiętam jedną z takich nocy, gdzie deklamowanie przeciągnęło się poza czwartą rano. Najbardziej senni, najmniej na poezję wrażliwi przestawali narzekać. Słuchaliśmy go, podsuwając mu, przypominając takie czy inne jego wiersze”<sup>43</sup>.

W marcu 1942 roku poeta trafił do szkoły podchorążych przy 6. Dywizji Piechoty dowodzonej przez generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Prowadził tam zajęcia oświatowe, co w praktyce oznaczało rozmowy o literaturze i polityce. Pisał patriotyczne wiersze, nie zawsze prawomyślne z punktu widzenia stosunków polsko-sowieckich, i nie wypierał się swoich poglądów. W efekcie przeniesiono go na stanowisko dowódcy kompanii liniowej, przełożeni uznali bowiem, że komunista Broniewski nie jest jednak najlepszym wychowawcą przyszłych oficerów polskiej armii.

„Żadne więzienie nie może wpłynąć na wyrzeczenie się ideałów – mówił poeta w wywiadzie prasowym rok później. – Wydaje mi się, że ja nie zmieniłem się zupełnie, jeśli chodzi o moje poglądy. Skoro mimo to znalazłem się tam pod kluczem, to zapewne tam [na Kremlu – S.K.] się coś zmieniło. W Polsce wyzwolonej będę walczyć nadal o realizację postulatów społecznych, nie wyrzekając się absolutnie niczego. Warunkiem jednak wstępnym dla zmian w przyszłej Polsce jest walka o jej oswobodzenie, o jej niepodległość. Gotów jestem w każdej chwili poświęcić za to moje życie”<sup>44</sup>.

Zdecydował się na ewakuację z armią Andersa do Iraku. Uznał, że droga do Polski prowadzi przez Bliski Wschód, nie zapomniał jednak o córce pozostającej z matką w ZSRR.

„Trzymaj się ciepło, moja córo – pisał na dwa dni przed wyjazdem do Iranu. – Matka krzywdy Ci nie da zrobić, a po wojnie spotkamy się na Żoliborzu. Pamiętaj o wszystkim, co Ci mówiłem przed wyjazdem, kochaj swój kraj i swojego ojca. Czytaj polskie książki, szukaj ich po antykwariatach i staraj się zawsze czysto, poprawnie mówić po polsku”<sup>45</sup>.

## PALESTYNA

Broniewski pisał wiersze nie tylko o patriotycznej wymowie. Nie darzył sympatią dowódcy dywizji i niebawem po jednostce zaczął krążyć utwór pana Władysława poświęcony Michałowi Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu.

Wolę mieć na dupie czyrak,  
Wolę pieszo zwiedzać Irak,  
Wolę leżeć w każdym robrze,  
Wolę z dwójką być niedobrze,  
Wolę nosić w wacie wała,  
Niż za wodza mieć Michała.

Tokarzewski nie miał jednak poczucia humoru, w efekcie interweniować musiał Anders i Broniewski dostał urlop. Sprawa była dość pilna, poeta bowiem czynnie włączył się w dyskusję nad kwestią powołania burdeli polowych, co przy jego poczuciu humoru groziło poważnymi konsekwencjami. Było to delikatne zagadnienie, bardzo zresztą kłopotliwe dla polskiego dowództwa. Pozbawienie dorosłych mężczyzn na miesiące i lata kontaktów z płcią piękną wywierało fatalny wpływ na ich psychikę. W Rosji, w łagrach czy na zesłaniu nie miało to większego znaczenia, gdyż wycieńczone organizmy nie odczuwały potrzeb seksualnych. Jednak w Iraku i Persji sytuacja już się zmieniała, ale polskie dowództwo nie potrafiło się z problemem uporać.

„Sprawy współżycia z kobietami – wspominał oficer 3. Dywizji Strzelców Karpackich Tadeusz Czerkawski – zaprzętały myśli naszych lekarzy od kilku miesięcy. Prawie rok bez kobiet dla dorosłych i dobrze odżywionych mężczyzn stanowił problem, który należało rozwiązać. I tak już się z nas śmiano, że przed dywizją angielską jedzie kantyna NAAFI, za nią burdel; przed dywizją francuską i za nią jadą burdele, a przed polską dywizją podąża kaplica polowa, a z tyłu żandarmeria, żeby żołnierze nie uciekli do burdelu”<sup>46</sup>.

Armia zawsze pozostaje armią, zgrupowaniem mężczyzn na miesiące i lata odseparowanych od partnerek. Młodzi i sprawni, mają określone potrzeby, dlatego wojskowe domy publiczne zawsze istniały i zawsze istnieć będą. A wszelkie próby

ominięcia problemu są z góry skazane na niepowodzenie i prowadzą tylko do pogorszenia sytuacji.

„Istniał oparty na długoletnim doświadczeniu przepis zawarty w regulaminie angielskim – kontynuował Czerkowski – że jeśli oddział stoi w odosobnieniu z dala od kobiet przez okres trzech miesięcy, należy albo przenieść go do miasta, albo sprowadzić oddziałowi dom publiczny. [...] A w wojsku polskim nic z tych rzeczy, a były już pierwsze sygnały o przypadkach homoseksualizmu, nie mówiąc o nagminnej onanii. Rada w radę nasi lekarze zwrócili się do dowództwa, aby wyselekcjonować pensjonariuszki z bagdadzkich domów publicznych i zorganizować taki »przysłup« dla żołnierzy, pod nadzorem polskich lekarzy w pobliżu obozów. Rozpętało się piekło. Kapelani rozdierali szaty na kazaniach: »Tego jeszcze nie było!«. Projekt utonął w morzu pruderii”<sup>47</sup>.

Broniewski włączył się do dyskusji we właściwy dla siebie sposób. Niebawem po polskich oddziałach zaczął krążyć pewien interesujący utwór.

Dobrze się czasem  
Bawić kutasem:  
Mając pięć palców  
Na swe usługi,  
Wspominasz dupy  
Jedną po drugiej...  
To bardzo odświeża  
Polskiego żołnierza!

Problem ostatecznie został rozwiązany dopiero po przeniesieniu armii do Palestyny. Obozy wojskowe zlokalizowano w pobliżu miast, gdzie funkcjonowały domy publiczne, a na terenie kraju przebywało wiele kobiet mówiących po polsku. Żołnierze Andersa czuli się tam niemal jak nad Wisłą.

„W Palestynie – wspominał Kazimierz Krukowski – a głównie w Tel Awiwie, większość emigrantów z okresu międzywojennego stanowili polscy Żydzi. Powstawały polskie, nie tylko z nazwy, ale również z systemu dystrybucji towarów i sposobu obsługi klientów restauracje, kawiarnie, sklepy, zakłady krawieckie, fryzjerskie, a nawet wielkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. Język polski stał się równorzędnym partnerem hebrajskiego i angielskiego”<sup>48</sup>.

Faktycznie, władze II Rzeczypospolitej popierały emigrację Żydów do Palestyny i do 1931 roku osiedliło się tam ponad 60 tysięcy polskich Izraelitów. W następnych latach emigracja nasiliła się, a po wybuchu wojny zaczęli przybywać Polacy, uciekinierzy z kraju.

„Tel Awiw to miasto całkowicie nowoczesne i wcale sympatyczne – opowiadał Wiesław Fusek, farmaceuta Brygady Karpackiej – a bezpośrednia bliskość morza dodaje mu specyficznego uroku. [...] Poza tym całość prezentuje się po europejsku i nawet czysto, dzielnice zaś nadmorskie noszą piętno letniskowe. Mieszkają tu tylko Żydzi, w wielkiej przewadze z Polski, wszędzie bowiem słychać język polski i to wcale

poprawny. Językiem tym można też wszędzie się porozumieć bez kłopotu, bo jeżeli zagadnięty obywatel nim nie włada, to przywołuje zaraz takiego, który jest z Polski [...]. Masa kobiet, wiele całkiem sobie niczego. Na mundur polskiego żołnierza patrzą z ciekawością. Często zatrzymują się, pytając: skąd, dokąd, co w Polsce, co w Radomiu, czy nie znałem w Pińczowie Ryfki Blum, jak było w Syrii, no i jak się czujecie w Palestynie?”<sup>49</sup>.

A kiedy w granicach Palestyny pojawiła się armia Andersa, to region został zdominowany przez naszych rodaków. Kolejne sto tysięcy Polaków przebazowanych z Iraku i Persji nadało Palestynie swojskie oblicze, na ulicy łatwiej było dojść do porozumienia po polsku niż po angielsku. Doszło do komicznej sytuacji, gdy Hanka Ordonówna zapytała o coś brytyjskiego policjanta i zdziwiła się, że ten nie zna polskiego!

Naszym rodakom ocalonym z sowieckich łagrów Palestyna wydawała się prawdziwym rajem. I rzeczywiście, to był zupełnie inny świat niż ten, do którego przywykli przez ostatnie lata.

„Hajfa! – zachwycił się Włodzimierz Drzewieniecki. – Miasto już na pierwszy rzut oka urzeka urodą i nowoczesnością. Wszędzie ciągną się skwery ocienione palmami i sklepy pełne towarów, których dawno nie widziałem. Restauracje i kawiarnie ze stolikami na zewnątrz gościnnie zapraszają. Choć to już grudzień, cieszyliśmy się ciepłem i słońcem”<sup>50</sup>.

Palestyna miała jeszcze dodatkową zaletę dla byłych więźniów sowieckich łagrów. Klimat jej był bardziej przychylny dla ludzi chorych na płuca, których w armii polskiej nie brakowało. A w słońcu i względnym dobrobycie niedawni skazańcy powoli dochodzili do siebie.

Broniewski w Palestynie przedstawiał się jako: Polak, katolik i alkoholik. Katolikiem nie był na pewno, pozostałe jednak określenia idealnie do niego pasowały. Prowadził „daleko posunięte studia porównawcze nad różnymi gatunkami whisky” i jak zwykle odwiedzał znajomych w środku nocy. Obyczaj ten kultywował zresztą podczas całej epopei armii Andersa i w kolejnych obozach wojskowych bywał częstym gościem w zaprzyjaźnionych namiotach.

„Wpadając na chwilę do naszego klubu – opisywał Drzewieniecki – przeważnie już na rauszu, wciąż jeszcze szukał czegoś do wypicia. Nie znajdując trunku, raczył nas jakimś rymem. Oto jeden z nich: »Gdybym był księżycem, to skończyłbym z picem, świeciłbym dwojako, trzeźwym i pijakom. Pijakom na całego, trzeźwym niezupełnie«. Pogroziwszy nam palcem, wysunął się z namiotu, potykając się o kołki i wędrując dalej w poszukiwaniu alkoholowego towarzysza. Na szczęście była pełnia księżyca”<sup>51</sup>.

W Palestynie organizowano Broniewskiemu wieczory autorskie, na których pojawiali się emigranci z kraju. Czasami stawało się to przyczyną kłopotliwych pytań wielbicieli, szczególnie w przypadku *Syna podbitego narodu*, którego przekład w jidysz był dość popularny wśród tamtejszych polskich Żydów. Poeta tłumaczył się z nieaktualnych już zwrotów o „sierpie i młocie niepodległym”, twierdząc, że wprawdzie wiersza się nie wypiera, ale „go po prostu dzisiaj nie lubi”...



W Jerozolimie Broniewski pracował jako redaktor techniczny dwutygodnika „W drodze”. Przydało się doświadczenie wyniesione z „Wiadomości Literackich”, poeta bez problemów wypełniał swoje obowiązki. Inna sprawa, że pracował praktycznie tylko przez cztery dni w miesiącu, dostawał jednak stałą pensję, a do tego jeszcze dotację z Funduszu Kultury i honoraria autorskie. Jednak „nigdy groszem nie śmierział”, wszystko bowiem wydawał na alkohol i karty, narzekał przy tym, że ciągle „chodzi niedopity”. Ważną pozycję w jego wydatkach stanowiły również eleganckie bukiety kwiatów, którymi hojnie obdarowywał różne panie. Pozostał bowiem mężczyzną wrażliwym na wdzięk płci pięknej, inna sprawa, że od kilku lat nie miał stałej partnerki, nic również nie wiedział o losach Marii Zarębińskiej.

„Raz po raz słyhać było o jego komplikacjach sercowych – wspominał Wiktor Weintraub. – Ponieważ bohaterki ich zmieniały się tu wcale często i w sumie jak na okres dwuletni było ich sporo, na pierwszy rzut oka robiło to wrażenie cynicznego stosunku do tych spraw. [...] A jednak nie był w tych sprawach cynikiem”<sup>52</sup>.

Faktycznie, przydarzyło się również prawdziwe uczucie, a jego adresatką stała się młodsza o 18 lat malarka, Krystyna Domańska (z domu Stojanowska). Urodziwa plastyczka zrobiła na poecie ogromne wrażenie, pisał dla niej wiersze publikowane na łamach „W drodze”, a niektóre z nich weszły w skład jednego z jego zbiorów poetyckich.

Broniewski miał 46 lat i zakochał się z całą gwałtownością, ale otoczenie poety uznawało, że piękna malarka odgrywała wyłącznie „rolę Maryli w życiu biednego Władka”. Pozwalała się adorować, zabiegi poety sprawiały jej przyjemność, ale nic do niego nie czuła. Wiersze Broniewskiego stawały się coraz bardziej melancholijne i gorzkie, powoli uświadamiał sobie, że był dla plastyczki tylko pewnym urozmaiceniem życia na obczyźnie.

W ostatnich miesiącach wojny Krystyna wyjechała do Włoch, gdzie poślubiła Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Przez pewien czas korespondowała jednak z Broniewskim, poeta najwyraźniej nie miał jej za złe zawartego małżeństwa.

„Widzisz, czarna noc idzie na świat, chamstwa i podłości – pisała do niego z Rzymu – począwszy od polityki, a skończywszy na życiu indywidualnym. Do takich ludzi jak ty będzie należało przechować pewne wartości, poezję i wiarę w lepsze życie i przekazać je dalszym pokoleniom”<sup>53</sup>.

Krystyna po przeprowadzce do Londynu pracowała jako modelka, a gdy przyznano jej stypendium, to powróciła do malarstwa. Mąż dostał jednak etat w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i stypendium cofnięto, uznano bowiem, że Grudzińscy posiadają wystarczające środki do życia. Dla Krystyny był to ogromny cios, nie potrafiła się z tym pogodzić, a na jej zły stan psychiczny nałożyły się również inne emigracyjne problemy. W listopadzie 1952 roku popełniła samobójstwo, a Herling-Grudziński długo nie mógł dojść do siebie po tej tragedii.

## POWRÓT

W marcu 1945 roku Broniewski otrzymał wiadomość o śmierci Marii Zarębińskiej w Auschwitz. Popadł w depresję i zdecydował się nie wracać do kraju. Tym bardziej że zdawał sobie sprawę z politycznego położenia Polski i zdrady aliantów zachodnich, którzy wydali kraj na łup Sowietom. Nie bez powodu w swoich wierszach przyrównywał spotkania Churchilla, Roosevelta i Stalina do Targowicy.

Pisał również o zbrodni katyńskiej, cenzura brytyjska zatrzymywała jednak publikacje jego wierszy na ten temat. Podobnie jak tych dotyczących przyszłych granic Polski:

Rozmowa będzie króciutka  
o Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie.  
Nie damy też Nowogródka.  
Dlaczego? – niech Adam odpowie.

Z niewiadomych względów poeta nawiązał jednak współpracę z jerozolimskim oddziałem Związku Patriotów Polskich, a jego zażyłość z komunistami była tak wielka, że uwiódł jedną z aktywistek. Dziewczyna wprawdzie miała męża i dziecko, ale związała się z poetą, tłumacząc, że przy niej może spokojnie pić, a ona „będzie butelki sprzedawać”.

Pan Władysław przyjął nawet posadę korektora w wydawanym przez komunistów „Biuletynie Wolnej Polski”, nie miał jednak zwyczaju przemęczać się pracą. Z reguły przedkładał wódkę nad obowiązki redakcyjne, co jednak jego przełożeni tolerowali. Nie myślał o powrocie do kraju, wystąpił o brytyjską wizę i chciał pozostać na emigracji. Osobiście poznał sowiecką wersję komunizmu i nie zamierzał po raz drugi popełniać tego samego błędu.

Wszystko to uległo zmianie z chwilą, gdy dostał informację, że Zarębińska jednak obóz przeżyła. Zdecydował się na wyjazd do Polski, uznał bowiem, że gdy ukochana kobieta została ocalona, to ustrój w kraju nie ma dla niego większego znaczenia.

„Pamiętam – wspominała Majka – że [mama] przez dwie noce pisała wtedy list do Władka. W grubym brulionie, w granatowej ceratowej oprawie. W odpowiedzi przyszła depesza: *Kocham. Przyjeżdżam.* [...] Broniewski wrócił w listopadzie 1945 roku na urodziny Anki. Doskonale pamiętam ten wieczór. Nie chciał żadnych gości, chciał go spędzić tylko z nami – swoją odzyskaną rodziną. Anka i ja dostałyśmy piękne sportowe golfy”<sup>54</sup>.

Poeta uważał, że ma jedną dużą rodzinę, ale nie ukrywał zadowolenia, gdy dowiedział się, iż Janina „Gadomskiego puściła w trąbę”. Niebawem jednak los miał się upomnieć o niego, nie było mu dane spokojne powojenne życie.

Maria Zarębińska nigdy już bowiem nie powróciła do zdrowia po obozowych przeżyciach. Prześladowały ją różne choroby, pojawiły się problemy z sercem, aż

wreszcie zdiagnozowano u niej białaczkę. Broniewski załatwił jej pobyt w klinice Hirslanden w Zurychu, ale tamtejsi lekarze nie dawali szans na wyzdrowienie.

„Kuracja w szwajcarskiej klinice była bardzo droga – opisywał Mariusz Urbanek. – Za droga na kieszeń Broniewskiego. Robił więc wszystko, żeby zdobyć pieniądze: pisał propagandowe wiersze, przemawiał podczas wieców, jeździł po kraju, przekonując do nowego ustroju. Zarabiał, ale to ciągle było za mało. W dodatku musiał składać coraz bardziej upokarzające prośby: o zgodę na wyjazd do Marii, o dofinansowanie leczenia przez rząd”<sup>55</sup>.

Maria Zarębińska zmarła w Zurychu w lipcu 1947 roku, a poeta ze łzami w oczach osobiście przywiózł urnę z jej prochami do kraju. Rok później napisał wiersz *Do umarłej*, utwór tak wyjątkowy, że jego lektura wzruszyła nawet zajadłego wroga kolaboracji z komunistami, Jana Lechonia. Skamandryta bowiem wrogo odnosił się do wszystkich, którzy po wojnie wrócili do kraju, ale nawet on nie pozostał obojętny na poetycki ból Broniewskiego:

„Najbardziej wstrząsające, jakie po polsku czytałem – bebechowe, powiedziałyby Witkacy – tak, bebechowe, ale i bebecchy widać trzeba umieć z siebie wypruć [...], wczoraj wciąż beczałem, czytając wiersze Broniewskiego”<sup>56</sup>.

## WANDA

Po śmierci Marii poeta adoptował Majkę, ale dziewczyną zajęła się Janina. Pan Władysław nie miał na to czasu, zresztą postępujące uzależnienie od alkoholu uniemożliwiało mu właściwe wypełnianie ojcowskich obowiązków. Broniewska związana była wówczas z generałem Leonem Bukojemskim i wspólnie wychowywali trójkę dzieci: Ankę, Majkę i Stasia, syna Janiny ze związku z Gadomskim. Stosunki pokrewieństwa w tym domu były czasami trudne do zrozumienia dla osób postronnych, wydaje się zresztą, że sam Bukojemski miał czasami z tym problemy. Gdy bowiem pewnego dnia Broniewska nie mogła pójść na wywiadówkę Majki (miała zebranie partyjne) i wysyłała tam męża, to ten zastanawiał się, jak w szkole ma przedstawić swoje powiązania z dziewczynką. Janina odpowiednio go jednak poinstruowała:

„To bardzo proste. Majka to córka drugiej żony pierwszego męża twojej żony i jej pierwszego męża”<sup>57</sup>.

Broniewski starał się brać udział w wychowaniu obu córek, kompletnie jednak się do tego nie nadawał. Przyznawała to nawet Majka uwielbiająca poetę:

„Był bardzo nierówny jako ojciec. W Łodzi po prostu nas tresował. Nie mógł zrozumieć, że minęło pięć długich lat, każda z nas swoje przeszła, byłyśmy naprawdę dojrzałe i samodzielne. [...]

Był bardzo staroświecki, a przez to uciążliwy i trochę śmieszny. Przychodziło do nas wielu chłopców. Kiedyś Władek stanął w drzwiach i gromkim głosem oznajmił: – Który z panów ma poważne zamiary, może zostać, a reszta, proszę, won!

Wyszli... wszyscy. Zrobiliśmy mu awanturę, że nas kompromituje, że nie ma

prawa wchodzić do pokoju, gdy ktoś jest u nas”<sup>58</sup>.

Lubił, jak dziewczęta „czesały się gładko” i urządził Majce awanturę, gdy zrobiła sobie trwałą ondulację. Wysłał ją, aby natychmiast umyła głowę i nie mógł zrozumieć, że woda jeszcze bardziej skręci jej włosy.

Stosunki z córkami znacznie się skomplikowały, gdy w życiu Broniewskiego pojawiła się Wanda Burawska (z domu Szpilrejn). Poznali się jeszcze przed wojną, a do ponownego spotkania doszło, kiedy była pracownicą Biura Odbudowy Stolicy. Dwa miesiące po śmierci Marii poeta przypadkowo natknął się na Wandę w Zakopanem, po powrocie zamieszkali już razem. Kilka miesięcy później wzięli ślub, a żadna z córek nie potrafiła zrozumieć tego pośpiechu. Natomiast sam Władysław przysięgał później, że biorąc Wandę za żonę, był pijany i nie wiedział, co robi...

Nowa pani Broniewska od samego początku postanowiła zawłaszczyć poetę. Negatywnie odnosiła się do jego zażyłych kontaktów z córkami, drażniły ją dobre stosunki z pierwszą żoną. Do pasji doprowadzały ją również wspomnienia o zmarłej poprzedniczce, na wiersze męża nie mogła jednak nic poradzić. Wyżywała się zatem w sprawach, na które miała wpływ, więc dochodziło do częstych awantur domowych. Podczas rodzinnych wakacji w Ustce w 1950 roku Anka stwierdziła, że „baba jest nie tyle nawet wredna, co po prostu nienormalna. Snobizmy i aspiracje ma takie, że Putramentowa przy niej to kołchoźnica-traktorzystka”<sup>59</sup>. Starsza córka postawiła ultimatum „albo ona, albo ja” i Wanda opuściła Ustkę. Ale to niczego nie rozwiązywało.

Z drugiej jednak strony nowa pani Broniewska starała się chronić męża przed nałogiem, czasami jednak wybierała najgorsze metody. Ingerowała w spotkania towarzyskie, rozpędzała jego przyjaciół. Wokół Broniewskiego zaczęło robić się pusto, nikt nie miał ochoty na starcie z Panią Poetową.

Była natomiast bardzo czuła na kolejne dowody uznania dla męża ze strony władz – apartament w ekskluzywnej stołecznej alei Róż (po sąsiedzku z Gałczyńskim), a następnie willa przy Dąbrowskiego otrzymana w „darze od narodu”. Broniewski mógł zresztą wybrać dowolną lokalizację na terenie całego kraju (!), partyjni decydenci zobowiązali się bowiem zbudować mu dom tam, gdzie będzie sobie tego życzył...

„[...] panowie spotykali się często w »Patrii« – opisywała znajomość swojego ojca z poetą Adela Bednarska-Strycharz. – Nie raz znikali na dwa dni i nikt nie wiedział, gdzie są. Mieli swoje męskie sprawy.

Spotykali się do momentu, kiedy małżonka Broniewskiego, Wanda, omal nie wyrzuciła taty z domu. Zresztą panowie spotykali się na Dąbrowskiego bardzo rzadko, zazwyczaj w większym gronie. Musiało być spokojnie, kulturalnie, taki *bon ton*, bo tak lubiła pani Wanda”<sup>60</sup>.

Która kobieta tolerowałaby częste znikanie męża na dwa dni bez uprzedzenia? Oczywiście Wanda doskonale wiedziała, że wiąże się z alkoholem, ale czy można ją potępiać za to, iż walczyła z nałogiem męża? Inna sprawa, że nie miała łatwego charakteru, a do tego przejawiała bardzo wysokie aspiracje. Władysław był najważniejszym poetą w Polsce, a ona – jego żoną. Tak było i chciała, aby tak pozostało.

Złych stosunków z pasierbicami nie zmieniło nawet to, że obie miały już własne rodziny. Anka i Majka stosunkowo wcześniej wyszły za mąż, jakby chciały uwolnić się

od toksycznej atmosfery domowej.

„Mój młodszy syn [Tomasz] miał ciężką alergię – opowiadała Majka. – Lekarz zalecił mu częste przebywanie na powietrzu, a Wanda codziennie jeździła z ukochanym psem do Lasu Kabackiego. W tym domu Łepek był najważniejszy. Szofer przejeżdżał obok mojego domu. Spytałam ojca, czy mój mały mógłby czekać z nianią o odpowiedniej godzinie na rogu ulicy, a potem wraz z Wandą i Łepkiem jechać do lasu. W jego głosie usłyszałam zdziwienie: – Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś? Oczywiście, jutro za piętnaście jedenasta niech czekają na rogu Dolnej i Sobieskiego. – Następnego dnia za dwadzieścia jedenasta telefon od Wandy: – Co ty sobie wyobrażasz?! Łepek jest przyzwyczajony, by leżeć z tyłu na całym siedzeniu, nie mogę mu tego zrobić.

Nigdy więc Tomek nie pojechał do Lasu Kabackiego z Łepkiem. Chodził do Łazienek”<sup>61</sup>.

## PĘTLA

Przy całym swoim alkoholizmie Broniewski zadziwiał znakomitą kondycją fizyczną. Zachęcał Wandę do jazdy na rowerze, razem przejechali po kraju setki kilometrów. A gdy w 1950 roku organizowano mecz aktorów z literatami, to ku ogólnej konsternacji Józef Prutkowski zaproponował, aby poeta zagrał w drużynie pisarzy. Wszystkim wydawało się to niemożliwe, tym bardziej że piłkarze mieli się spotkać na pierwszym treningu o godzinie dziesiątej rano, czyli jak na standardy Broniewskiego – w środku nocy.

„Zaczęła się rozgrzewka – wspominał Prutkowski. – W bramce stanął Borowski, na obronie Dygat i Putrament, w ataku Staś Zalewski, Konwicki i ja. »Rozgrzewka« była jednocześnie kresem naszych możliwości. Przecież od tuzina lat nie trenowaliśmy. Staś Dygat okulał, a Borowski pobiegł zrobić sobie opatrunek, gdy nagle pięknym sprintem wjechał na środek boiska na rowerze Władysław Broniewski. – Przepraszam za spóźnienie, gdzie szatnia?

I zabrał się do treningu. Do dziś pamiętam (i zapamiętam to na zawsze) jego szaleńcze rajdy na skrzydle, jego ambitną walkę o każdą straconą piłkę. Byliśmy szczerze zaskoczeni jego niewiarygodną kondycją. Jak w swojej poezji – grał na środku ataku.

Po skończonym treningu, kiedy już mocno spuchnięci dyszeliśmy ciężko, on wskoczył lekko na siodełko i odjechał”<sup>62</sup>.

Bywały dni, kiedy poeta próbował ograniczyć nałóg. Nie chciał wówczas z nikim rozmawiać, zamykał się w swoim gabinecie i pracował. Niestety, najczęściej kończyło się to inaczej, niż planował, a jedną z takich prób zbeletryzował Marek Hłasko w opowiadaniu *Pętla*.

„Pewnego dnia Broniewski przestał pić – opowiadał Hłasko – i zaczął pisać nowe wiersze i nawet dobrze mu szło. Po jakiejś godzinie ktoś do niego zadzwonił i zapytał,



co u niego słycać. Broniewski powiedział, że zabrał się do roboty i że ma zamiar miesiąc czy dwa solidnie popracować. Na swoje nieszczęście powiedział przy tym, że nie pije, jego rozmówca pogratulował mu i rozmowa się skończyła. Broniewski znów zabrał się do pisania. Po piętnastu minutach znów telefon. Dzwonił ktoś inny, kto rozmawiał z uprzednim rozmówcą Broniewskiego, i dowiedziawszy się, że Broniewski postanowił nie pić, gratulował mu i prosił, aby wytrwał w postanowieniu. Broniewski podziękował mu i znów zabrał się do pracy. Po dziesięciu minutach znów telefon, znów przestroga i znów podziękowania ze strony Broniewskiego. Ósmy telefon był od towarzysza Jakuba [Bermana, ówczesnego wicepremiera]. Broniewski blady i roztrzęsiony przyszedł do mnie i powiedział: »Idź po wódkę«<sup>63</sup>.

## ANKA

W życiu Broniewskiego było wiele kobiet, ale żadna z nich nie zdobyła takiej pozycji w jego sercu jak Anka. Starsza córka była największą miłością poety, osobą ważniejszą niż wszystkie żony i kochanki razem wzięte.

Anka zdała maturę w czerwcu 1946 roku i jesienią (w wieku 17 lat!) rozpoczęła studia socjologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Okazało się jednak, że nie był to najszczęśliwszy wybór, wobec czego przeniosła się na dziennikarstwo. Niebawem doszła do wniosku, że i ten kierunek nie jest jej powołaniem, zawsze zresztą twierdziła, iż żaden ze znanych jej dziennikarzy nie miał profesjonalnego wykształcenia.

W wieku 18 lat wyszła za mąż za byłego żołnierza AK, reportera Stefana Kozickiego, a po roku urodziła córkę, Ewę. Małżeństwo nie układało się jednak najlepiej, Anka miała romans z pisarzem, Bohdanem Czeszką. A tego ojciec nie zamierzał tolerować.

„Broniewski biegał z pistoletem w rękę za Bohdanem Czeszką – relacjonował Andrzej Żuławski – który uwiódł mu córkę. Był bardzo krewkim człowiekiem – ułanem przecież – a poza tym był w dupę pijany i cały czas groźny i niebezpieczny. Miał pistolet, bo mu wolno było, był kochany przez komuchów i miał pozwolenie na broń. Czeszko się tak okrutnie przecież wystraszył, że uciekł aż do Moskwy. Siedział parę lat w Moskwie, wiedząc, że jak tam Broniewski przyjedzie w delegację, to on będzie z góry wiedział i go wtedy w Moskwie nie będzie»<sup>64</sup>.

Zdecydowanie lepiej układało się Ance życie zawodowe, związała się z „Filmem Polskim”, dostała stypendium w Paryżu. Po ukończeniu kursu operatorskiego znalazła zatrudnienie jako asystent reżysera w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, to właśnie wówczas narodził się pomysł realizacji wraz z ojcem filmu *Brzegiem Wisły*. Projekt był genialny w swojej prostocie, mieli podróżować wzdłuż największej polskiej rzeki, filmując miejsca, o których Broniewski pisał w poemacie *Wisła*, jego recytacje miały stanowić ścieżkę dźwiękową obrazu

Poeta był zachwycony, spełniło się bowiem jego największe marzenie – miał pracować razem z ukochaną córką. Pływali statkiem po Wiśle, jeździli gazikiem wzdłuż

jej brzegów, a w sierpniu 1954 roku filmowali flisaków w Kazimierzu nad Wisłą. Były to ostatnie zdjęcia nakręcone do filmu.

Anka zmarła w swoim warszawskim mieszkaniu 1 września 1954 roku. Tego dnia rano miała wyjechać do Krakowa w sprawach związanych z filmem, nie zjawiła się jednak o umówionej godzinie w wytwórni.

„Znaleziono ją martwą, leżącą w poprzek tapczanu – opisywał Urbanek. – W maleńkim mieszkaniu na warszawskim MDM-ie było pełno gazu. Na kuchence wykypiała kawa, która zalała płomień palnika. Obok ciała Anki leżała książka, na podłodze stały niedopakowane do końca walizki”<sup>65</sup>.

Sekcji zwłok nie przeprowadzono, uznano, że był to nieszczęśliwy wypadek. Broniewski straszliwie rozpaczał, w dniu pogrzebu wyglądał jak wrak człowieka. Cały był „zapuchnięty od płaczu, pijany, zupełnie załamany”, sprawiał wrażenie, że dla niego życie już się skończyło.

„Pogrzeb był laicki, bez księdza i bez przemówień – relacjonował Lesław Bartelski. – Matka stanęła nad rozkopaną mogiłą, do której grabarze spuścili trumnę i zaintonowała *Międzynarodówkę*. Miała kamienną, zaciętą twarz. Ale niewielu z obecnych podjęło śpiew. Wracaliśmy z żoną do autobusu w towarzystwie Tadeusza Kulisiewicza, który znał w młodości Janinę Kuniżankę, nim stała się Broniewską. Nie mówiliśmy jednak o tej tragedii, nie roztrząsaliśmy jej przyczyn. Czy był to odruch rozpaczki młodej, zawiedzionej w uczuciach kobiety, czy nieostrożność? Anka zatrula się gazem i trudno po latach dociec prawdy”<sup>66</sup>.

W chwili śmierci Anki jej córka, Ewa, miała sześć lat i raczej trudno sobie wyobrazić, aby nawet wyjątkowo zawiedziona w uczuciach kobieta zamierzała na zawsze pozbawić własne dziecko macierzyńskiej opieki. Tym bardziej że Anka bardzo kochała także ojca i dobrze wiedziała, że jej śmierć będzie dla niego ciosem, po którym więcej się nie podniesie...

## KOŚCIAN

Trzy dni po pogrzebie córki Broniewskiego przewieziono do Państwowego Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. Sanitariusze niespodziewanie wtargnęli do domu przy Dąbrowskiego, siłą założyli poecie kaftan bezpieczeństwa i wyprowadzili do karetki pogotowia. Na miejscu trafił do luksusowej izolatki (z radiem), gdzie non stop pilnowało go ośmiu zaufanych sanitariuszy. Nazwisko pacjenta utrzymywano w tajemnicy.

Wanda do końca życia twierdziła, że za pobytem męża w Kościanie stała Janina Broniewska, która poprosiła o interwencję Jakuba Bermana. Według Wandy sanitariusze mieli czekać na właściwy moment pod domem, a gdy wyszła na zakupy, to skorzystali z okazji i porwali Broniewskiego. Podobno wracając do domu, widziała, jak poetę wyprowadzano do karetki pogotowia, a następnie w gabinecie męża pojawił się psychiatra z kliniki rządowej, dr Bronisław Kostkiewicz, i telefonicznie złożył

Bermanowi raport o powodzeniu akcji. W rzeczywistości jednak wszystko odbyło się trochę inaczej.

„Wkrótce po pogrzebie Anki – opowiadała wnuczka poety Ewa Zawistowska – do Janiny Broniewskiej [...] zaczęła wydzwaniać Wanda Broniewska, alarmując, iż Władek jest w skrajnej rozpaczycy – zupełnie załamany, nie wstaje z łóżka, pije na umór i Wanda boi się o jego życie. Prosiła Jasię (która przecież wtedy też była w żałobie po stracie córki), żeby zwróciła się do Jakuba Bermana o załatwienie Broniewskiemu pobytu pod opieką lekarską w sanatorium w Kościanie. Jasia przejęła się i prośbę Wandy spełniła”<sup>67</sup>.

Relację wnuczki potwierdza Majka, wszystko przygotowano w porozumieniu z Wandą. Pani Broniewska pod pozorem zakupów wyszła z domu, dając znać sanitariuszom, że można już zabrać męża. Później jednak wszystkiego się wyparła i przed poetą odgrywała komedię niewinności.

„Pacjent popadł w głęboką depresję po niedawnych przeżyciach rodzinnych – instruował swoich podwładnych dyrektor szpitala w Kościanie dr Oskar Bielawski. – Należy baczyć, aby nie targnął się na życie i nie szukał ukojenia w alkoholu, jak to miało miejsce w ciągu kilku dni poprzedzających przywiezienie go do Kościana”<sup>68</sup>.

Broniewskiego pozbawiono prawa do odwiedzin, dostępu do telefonu, nie mógł też prowadzić normalnej korespondencji. Spędzał czas, dużo czytając, grał też z pielęgniarkami w karty, ale protestował przeciwko całodobowemu nadzorowi. Udawało mu się jednak (nie wiadomo, w jaki sposób) wysyłać do żony grypsy. Prawdopodobnie odbywało się to za dyskretną zgodą dyrektora placówki, który w ten sposób dodatkowo kontrolował pacjenta.

„[...] bez ustanku jest przy mnie pielęgniarkę – skarżył się Broniewski – czy siedzę, czy śpię, czy spaceruję. To wpływa na mnie nadzwyczaj przygnębiająco, jątrzy mnie, upokarza! Taka bezustanna obecność obcego człowieka, któremu dano nade mną władzę, może mnie naprawdę doprowadzić do rozstroju nerwowego! [...] Pielęgniarki zresztą są najbliżsi właściwej oceny mojej tu sytuacji, tzn. rozumieją krzywdę mi wyrządzaną, ale muszą robić swoje”<sup>69</sup>.

27 września do Kościana przyjechał jakiś urzędnik z Warszawy, wizyta nie trwała długo, a po jej zakończeniu Broniewski oświadczył, że podejmuje głodówkę.

„[...] zachciało im się upiec od razu dwie pieczenie – pisał do żony – i uchronić mnie od samobójstwa, i wyleczyć z alkoholizmu. Tu jednak i despotyczny Jakub [Berman – S.K.], i zarozumiali, a dość tępi psychiatrzy popełnili i popełniają nadal kapitalne głupstwo: ja bynajmniej nie chcę popełnić samobójstwa i nie palę się do wódki, a niewola, w jakiej się znalazłem, stwarza dopiero ostre rozdrażnienie, poczucie krzywdy i myśl o czynach dziś jeszcze nieobliczalnych”<sup>70</sup>.

Domyślał się, że dyrektor placówki realizuje wyłącznie polecenia ze stolicy i nie może w jego sprawie samodzielnie podejmować decyzji. Dlatego w głodówce widział jedyną szansę na odzyskanie wolności.

„Był w swoim postanowieniu niezwykle konsekwentny – wspominał wiele lat później pielęgniarkę Antoni Wilczewski. – Codziennie wypijał jedynie kilka szklanek wody z cukrem i wypalał wręcz niesamowite ilości papierosów. No i naturalnie z dnia na

dzień podupadał na i tak wątlým zdrowiu”<sup>71</sup>.

Tego chyba jednak Berman i jego współpracownicy nie przewidzieli, śmierć Broniewskiego byłaby dla nich bowiem dość kłopotliwym wydarzeniem. Dlatego po kilku dniach do Kościana przyjechał minister zdrowia Jerzy Sztachelski, przeprowadził długą rozmowę z pacjentem, po czym obaj panowie wsiedli do samochodu i odjechali do Warszawy. Poeta osiągnął swój cel, gorzej, że nadal nie miał żadnego pomysłu na życie.

Nie szukał jednak winnych swojego odosobnienia. Najwyraźniej sam wiedział, że pobyt w Kościanie uratował mu życie. Przynajmniej na pewien czas.

### *PUSTO KOŁO MNIE*

Było to bowiem tylko odroczeniem tego, co nieuniknione. Pan Władysław nie zrobił nic, aby zerwać z nałogiem, właściwie dopiero teraz oddał mu się bez reszty. Otoczenie było przerażone, poeta najwyraźniej bowiem postanowił zapisać się na śmierć.

„W zimie 1955 roku został niemal siłą wywieziony do Zakopanego – wspominał Włodzimierz Sokorski. – Dochodziły słuchy, że zaczął pić. Zaalarmowany pojechałem natychmiast, nie mając zresztą żadnego pomysłu, co dalej robić. Zostałem Władka leżącego w łóżku. W rozchełstanej koszuli, zarośnięty, żałosny, patrzył jednak przytomnie. Kiedy wszedłem, rozplakał się. Nic nie mówiłem. Słowa były zbyteczne. Siedziałem na krawędzi łóżka. Milczałem”<sup>72</sup>.

Broniewski musiał być jednak wyjątkowo ważną osobą dla rządzących Polską komunistów, skoro do Zakopanego pofatygował się osobiście ówczesny minister kultury i sztuki. I stał bezradnie przed zrozpaczonym starym człowiekiem, który „boso, tylko w koszuli i załamującym się głosem” czytał ze „zwitka pomiętych papierów” wiersze poświęcone Ance.

Córeczko moja daleka,  
pusto, pusto koło mnie,  
serce krwawi i czeka,  
ono nie umie zapomnieć.

Umarłaś, lecz niezupełnie:  
nadal razem się trudnim.  
Com ci obiecał – spełnię:  
wiersz mój odniosę ludziom,

by dawał pokój i światło,  
miłość, nadzieję, radość,  
choć niełatwo, córeczko, niełatwo  
nieść wiersz i pod nim upadać...

Ta noc straszliwym ptaszydłem  
siadła na mnie i kracze.  
Oberwę, oberwę jej skrzydła,  
wyrwę się, wyrwę rozpaczy.

„Kiedy skończył – kontynuował Sokorski – siedzieliśmy w milczeniu, nic nie mówiąc, aż w końcu Władek powiedział:

– Idź już. Jesteś mi niepotrzebny.  
Wyszedłem”<sup>73</sup>.

Opublikowany w 1956 roku tomik *Anka* jest niezwykłym dziełem. Siedemnaście wierszy opisujących rozpacz ojca po stracie córki w literaturze polskiej można przyrównać tylko do *Trenów* Jana Kochanowskiego. Broniewski był nałogowym pijakiem, właściwie nigdy nie trzeźwiał, ale talentu nikt nie mógł mu odmówić. Ani uczucia do starszej córki.

„Literatura polska wierszom poświęconym stracie ukochanej istoty nie byle jakie stawia parantele – tłumaczył Jarosław Iwaszkiewicz. – Otóż wydaje mi się, że wiersze Broniewskiego – tak bolesne i wichrem targane – te parantele wytrzymują. Są one tak spontaniczne, tak goryczą i bólem do samego końca nabrzmiałe, że nie znajdują finalnego »maestoso« tonacji majorowej jak *Treny* Kochanowskiego. Cykl *Anka* nie ma w sobie nic z kompozycji, nic z konstruowania i zakładania, sztucznie wymierzonych proporcji uczuć. Od początku do końca przeniknięty jest wichrem rozpaczy”<sup>74</sup>.

Broniewski pił jednak coraz więcej, a przyjaciele zastanawiali się, ile jeszcze alkoholu może w siebie wlać. To właśnie wówczas zaczął prześladować znajomych nocnymi telefonami. Czasami chciał wyrecytować swój nowy wiersz, innym razem zadekklamować coś z poezji romantycznej, a tak naprawdę to przez chwilę poczuć, że nie jest sam. Niektórzy w obawie przed nocną pobudką odłączali telefony, ale byli też tacy, którzy uważali, że Broniewskiemu to się należało.

„Myślałem podobnie – wyjaśniał Ryszard Matuszewski – i nawet zbudzony z najgłębszego snu – starałem się wysłuchiwać z cierpliwością i wzruszonym zaciekawieniem nie zawsze składnych tekstów, które mi przez telefon odczytywał”<sup>75</sup>.

Czasami dzwonił jednak nie jako pijany poeta, ale złamany nieszczęściem człowiek potrzebujący chwili rozmowy z przyjazną duszą.

„Słuchaj, Lesław – mówił nocą do Lesława Bartelskiego – od czterech dni nie mogę sobie znaleźć miejsca. Byłem na jej grobie. Jeśli możesz, wpadnij do mnie koniecznie”<sup>76</sup>.

## DO KOŃCA WIERNY SOBIE

Dla komunistycznych władców PRL Broniewski był w kraju poetą numer jeden, artystą ważniejszym nawet niż Tuwim. Pan Julian wprawdzie należał do legendarnych skamandrytów, był przyjacielem Wieniawy i sanacyjnych ministrów, ale to



Broniewskiego uznawano za poetę proletariatu. Były jednak dwa poważne zastrzeżenia: pan Władysław mówił czasami za dużo, a pewne szczegóły z jego biografii niespecjalnie pasowały do komunistycznego ideału.

Nowym władcom Polski przyszedł z pomocą przypadek, choroba Marii Zarębińskiej zmusiła poetę do zdobywania środków finansowych na leczenie partnerki. Nie zadawał zatem pytań, tylko potulnie realizował wszystkie zalecenia władz. Jak trzeba było poprzeć referendum i namawiać do głosowania „trzy razy tak”, to namawiał do tego społeczeństwo. Pisał o górnikach, hutnikach i chłopach, witał poematem otwarcie stołecznego mostu Poniatowskiego, maszerował na czele pierwszomajowych pochodów. Podczas spotkań z czytelnikami recytował rewolucyjne wiersze, pomijając twórczość z czasów wojny. Nie wspominał również o sowieckim więzieniu czy zbrodni katyńskiej, a także o udziale w wojnie z bolszewikami i Legionach Piłsudskiego.

W zamian korzystał z przywilejów dla wybranych. Poza willą na Mokotowie dostał samochód (pobiedę) z szoferem, nigdy też nie cierpiał na brak pieniędzy. Wydaje się zresztą, że w pewnym momencie szczerze uwierzył w budowę nowego ustroju w Polsce. A w 1949 roku, dwa lata po śmierci Zarębińskiej, napisał poemat, którego przeciwnicy nigdy mu nie wybaczyli.

Było to *Słowo o Stalinie*, utwór powstały z okazji 70. urodzin kremlowskiego dyktatora. Poeta przyznawał, że napisał go w trzy dni, „w jednym ciągu alkoholowym”. Poemat przeznaczono na zamknięty konkurs ogłoszony przez władze, w którym poza Broniewskim wzięli udział: Gałczyński, Tuwim, Jastrun i Różewicz. Rywalizację wygrał oczywiście pan Władysław.

Rok wcześniej Broniewski triumfował w konkursie na wiersz poświęcony życiu i śmierci Karola Świerczewskiego (nagroda 100 tysięcy złotych!), wygrywał zresztą nawet tam, gdzie oficjalnie nie startował. Komisje bowiem z reguły znajdowały jakiś jego utwór pasujący do tematu i poeta „zostawał laureatem mimo woli”.

„Okropność, zgroza – oburzał się Lechoń na emigracji w USA – co za plugawe, zdradzieckie, rynsztokowe rzeczy piszą poeci w Polsce. Mała kanalia o wielkim wariackim talencie, Gałczyński, chwali się w liście do żony, że widział samego Mołotowa. Broniewski, pewnie już zapity do ostatecznego upodlenia, wyrzeka się wszędzie polskiej poezji na rzecz pism Lenina. Naprawdę, że Tuwim przynajmniej w wierszach jeszcze najlepiej się trzyma”<sup>77</sup>.

Gdy jednak w 1952 roku powstawała antologia na cześć Bieruta (z okazji jego 60. urodzin), to Broniewski nic nie napisał do tego zbioru. A swoje utwory zamieścili tam praktycznie wszyscy: Ważyk, Kubiak, Iwaszkiewicz, Słonimski. Zrewanżował się wprawdzie nieco później na łamach „Trybuny Ludu” wierszem *Bolesławowi Bierutowi*, ale nigdy nie zezwolił na włączenie tego utworu do swoich tomików poetyckich.

Inaczej było ze *Słowem o Stalinie*. Upierał się, że to dobry poemat i chciał go nawet opublikować w 1956 roku, już po słynnym XX zjeździe KPZR i referacie Chruszczowa. Ostatecznie jednak zrezygnował, ale podobno do końca życia wierzył, że przyczyną całego zła na Kremlu był Beria. Najwyraźniej zapamiętał, że Wanda Wasilewska powiedziała mu kiedyś, iż to Stalin kazał go wypuścić z Kazachstanu, wbrew woli Berii...

„Ten Iwaszkiewicz to świnia – przytomnie zauważył w Londynie Mieczysław Grydzewski. – Co innego Broniewski, ten przed wojną był komunistą, jemu wolno pisać o Stalinie i o innych rzeczach”<sup>78</sup>.

Broniewski widział jednak, że polski komunizm coraz bardziej odbiega od oficjalnie głoszonej propagandy. Jeszcze gorzej działo się w sąsiednich krajach, poeta z niepokojem słuchał informacji o procesach i egzekucjach działaczy oskarżanych o szpiegostwo na rzecz „zachodnich imperialistów”. Kojarzyło mu się to ze stalinowskimi czystkami, procesami moskiewskimi i śmiercią przyjaciół w ZSRR.

„Pewnego dnia odwiedził mnie Władek o drugiej w nocy – wspominał Sokorski. – Wizyta wyglądała na tyle podejrzanie, że nasza pracownica domowa nie chciała go wpuścić. Słyszając hałas na korytarzu, zerwałem się z łóżka i zabrałem Władka do swego pokoju, wyciągając szybko dla załagodzenia sytuacji butelkę koniaku. Broniewski był nie na żarty wzburzony. Procesy w Bułgarii, na Węgrzech, aresztowania w Czechosłowacji – poruszyły nim do głębi. Domagał się, żebym potwierdził jego opinię, którą wyrażał, jak łatwo się domyśleć w słowach mocno nieparlamentarnych”<sup>79</sup>.

Poeta gotów był uznać, że czystki w latach 30. były koniecznością, chociaż stracono wielu niewinnych ludzi (nie znał jednak prawdziwego zakresu represji). Potrafił nawet wybaczyć śmierć przyjaciół, uważał bowiem, że najważniejszy był późniejszy triumf nad Hitlerem. Ale nie mógł zrozumieć tego, co działo się po wojnie.

„Miałem wielu przyjaciół – mówił – Wandurski, Stande, Jasiński, Pilniak. I nie ma nikogo. Dla dobra sprawy, wspólnej naszej sprawy, przebaczyłem. Wszystko przebaczyłem. Gdy płoną lasy, nie czas żałować róż. Wspaniałych nawet róż. Bo to róże były wspaniałe. Przeżyliśmy piekło wojny. Gorycz klęsk i smak zwycięstwa. Chciałem zwyciężyć i zwyciężałem. Powiedz mi jednak, po co dzisiaj? Po co teraz? Jesteśmy u szczytu potęgi. Nikt nie jest nam w stanie zagrozić. Nikt. Nawet ten kretyn Truman. Więc po co?”<sup>80</sup>.

Broniewski najwyraźniej nigdy nie zrozumiał, czym jest komunizm, i pozostał idealistą wierzącym w propagandowe slogany. Ale tym razem zorientował się jednak, że machina zbrodni ponownie ruszyła. I właśnie to wzbudzało w nim opór.

Na rozczarowanie powojennym porządkiem nałożyła się tragedia osobista: śmierć Marii, a następnie Anki. Poeta powoli odwracał się od realnego świata, kontestował otaczającą go rzeczywistość. Jego wizyty w ZSRR wprowadzały dużo zamieszania, a słowa czasami wzbudzały popłoch wśród partyjnych decydentów. Gdy podczas oficjalnego spotkania w Moskwie zaproponowano Broniewskiemu, aby usiadł, to z czarującym uśmiechem odparł: „Ja już u was siedziałem”. To jednak był tylko drobiazg w porównaniu z innymi postępami.

„Nazajutrz uroczysta akademia – opowiadał Wiktor Woroszyński – w ogromnej, wypełnionej po brzegi sali im. Czajkowskiego. Broniewski już sobie wypił i z trudem siedział przy stoliku. Zasypiał, szczypał się w rękę... Nadeszła pora jego referatu, zatwierdzonego oczywiście przez najwyższe władze w Warszawie. Poeta podszedł do mównicy, wyciągnął kartki i zaczął z nich czytać. Kiepsko mu szło, więc odsunął je jednym ruchem, zmierzył wzrokiem salę i wykrzyknął: »Jeszcze Polska nie zginęła!«. Brawa, burzliwe oklaski. [...] Broniewski uciekł za kulisy. Ambasador robił mu

wyrzuty, że skompromitował siebie i całą polską delegację. Broniewski nie słuchał i nic sobie nie robił z tych zarzutów”<sup>81</sup>.

Czasami potrafił przypomnieć niewygodne fragmenty swojej biografii i nie miało dla niego znaczenia, w jakim wówczas przebywał towarzystwie. Pisarzy sowieckich nieprawdopodobnie to szokowało.

„Utkwił mi w pamięci – wspominał Leopold Lewin – wspólny pobyt w Związku Radzieckim w 1955 roku z okazji stulecia śmierci Adama Mickiewicza. Byliśmy razem na uroczystościach w Mińsku, Nowogródku, a potem w Moskwie. W Nowogródku wybraliśmy się na spacer po mieście. Towarzyszyli nam poeci ze wszystkich republik radzieckich, którzy przyjechali na uroczystości. W pewnym momencie Władysław zatrzymał się, spojrzął na wzgórze po lewej stronie drogi i powiedział: – To wzgórze zdobyłem w 1920 roku na bolszewikach. Zapadła cisza”<sup>82</sup>.

Broniewski miał jednak tak silną pozycję, że mógł sobie pozwolić na więcej niż inni. I w odróżnieniu od kolegów po piórze był człowiekiem odważnym, a osobiste nieszczęścia wpłynęły na jego stosunek do świata. Kompletnie nie zgadzał się z obowiązującym w literaturze realizmem socjalistycznym i tego nie ukrywał. Nie zamierzał w ogóle pisać w tej konwencji, uważając narzucanie artystom tematów za kompletną bzdurę.

„Pod hasłem realizmu w sztuce – mówił w jednym z wywiadów – przemycać się może na przykład tani naturalizm, który przeczy w moim pojęciu dobrej sztuce. Myślę, że realistą socjalistycznym był Francisco Goya, myślę, że był nim słynny karykaturzysta francuski Honoré Daumier. Natomiast malowanie kominów fabrycznych na tle zielonej łąki wydaje mi się artystycznym oportunistem”<sup>83</sup>.

Wywiad nie spodobał się jednak partyjnym decydentom i opublikowano go dopiero 13 lat później, już po śmierci poety. W kręgach władzy PRL niepokój wzbudzało także prowokacyjne zachowanie Broniewskiego. Prześladował Michała Rołę-Żymierskiego, recytując mu wiersz napisany przed laty o Karaszewiczu-Tokarzewskim („wolę w wacie nosić wała/ niż za wodza mieć Michała”), podczas wizyt w Belwederze chciał koniecznie oglądać pokoje Piłsudskiego, domagał się od Bieruta rehabilitacji przyjaciół rozstrzelanych w ZSRR.

„Jak się upijał – wspominał Aleksander Wat – to robił skandale. [...] Kiedy była premiera *Rosenbergów* Kruczkowskiego [*Juliusz i Ethel* – S.K.], to po pierwszym akcie na całe foyer krzyczał, był wstawiony: »Tutaj ze szpiegów robi się bohaterów, robi się sztukę bohaterską, a ja siedziałem na Łubiance i nikt ze mnie nie robi bohatera«”<sup>84</sup>.

Jeszcze gorzej bywało w Domu Pracy Twórczej w Oborach, gdzie praktycznie nigdy nie trzeźwiał i na swój sposób kontestował otaczającą go rzeczywistość.

„[...] leży nagi pod morwą oborską – opowiadał Wat – obok walają się dwie puste półlitrowki. Przywołał młodzież literacką i poucza: »Ważyka mam w dupie. Jak umrę, to napiszcie na nagrobku, [że] tu leży ktoś, kto wszystkich i wszystko miał w dupie«”<sup>85</sup>.

Janusz Atlas nigdy nie zapomniał swojego pierwszego kontaktu z Broniewskim. Miał zaledwie kilka lat, gdy razem z ojcem pojawił się w Oborach i zobaczył, co Broniewski sądzi o świecie:

„Przyjechaliśmy na miejsce w południe, było bardzo ciepło i świeciło słońce. Przed czworakami stało wielu dorosłych z ożywieniem coś komentujących. I wtedy ojciec podniósł mnie w górę i kazał patrzeć w wybrane okno na pierwszym piętrze. Pamiętam to okno, jak dziś, otwarte na oścież, wypełnione czymś, co wydało mi się... dużą pupą. »Tak jest! – przyklasnęła tatuś. – Zapamiętaj synku, to jest pupa największego polskiego poety rewolucyjnego...«.

Tak było w istocie. Sterany przeciwnościami losu, śmiercią ukochanej córki i przymusowym pobytem w wariatkowie sam Władysław Broniewski zdobył się na taki protest wobec świata i ludzi”<sup>86</sup>.

Agonia poety trwała siedem lat, silny organizm nie pozwolił mu się zapaść na śmierć, powalił go dopiero rak krtani. I nawet umierając, do końca pozostał sobą, przyjaciele przemycali mu bowiem alkohol do szpitala. Uznali, że poecie nic już nie pomoże, natomiast ma prawo odejść w taki sposób, w jaki chce.

Władysław Broniewski zmarł 10 lutego 1962 roku i został pochowany w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych. Jego pierwsza żona, Janina, przeżyła go o niemal 20 lat i w odróżnieniu od byłego męża nigdy nie zachwiała się w swojej wierze w komunizm. W latach 50. zasłynęła jako gorliwa propagatorka socrealizmu w literaturze, miała zresztą ogromne wpływy, pełniła bowiem funkcję sekretarza organizacji partyjnej Związku Literatów Polskich. Irena Krzywicka wspominała, że wręcz zmuszała bezpartyjnych pisarzy do wstępowania w szeregi PZPR. Nawet w wewnątrzpartyjnej ocenie określono, że w pracy „stosuje metody bolszewickie”, a Wasilewska przyznawała, iż „Jasia po prostu nie lubi ludzi”. Nic zatem dziwnego, że nazywano ją złośliwie „wdową po Berii”.

Towarzyszkę Janinę cechowała jednak lojalność wobec dawnych przyjaciół. Gdy po śmierci Stalina odsunięto od władzy Bermana, to jako jedna z nielicznych nie zerwała z nim kontaktów. Natomiast w Marcu 1968 roku trzymała się na uboczu. Ostrzegając Ewę (córkę Anki) będącą wówczas w ciąży, aby nie mieszała się do wydarzeń, po czym przygarnęła do swojego domu jej przyjaciółkę z dzieckiem. Mąż dziewczyny został bowiem aresztowany, a ją usunięto z zajmowanego pokoju. Sama Broniewska okres rewolucyjnych uniesień miała już za sobą. Żyła jednak jeszcze dostatecznie długo (zmarła w 1981 roku), aby zobaczyć, jak jej świat powoli odchodzi w przeszłość. Komunizm w Polsce w epoce Gierka miał niewiele wspólnego z ideałami, które wyznawała przez całe życie. A już cykliczne bunty robotnicze z powstaniem Solidarności na czele w ogóle nie mieściły się starym działaczom w głowie.

Majka (Maria) została aktorką, wyszła za mąż za krytyka, reżysera i scenarzystę Lecha Pijanowskiego. Jej synem jest Wojciech Pijanowski – autor i prezenter wielu teleturniejów telewizyjnych z *Kołem Fortuny* na czele.

Natomiast Wanda Broniewska pełniła funkcję dożywotniego kustosza muzeum męża zorganizowanego w ich willi. Uznała, że posiada wyłączność na pamięć o Broniewskim (nazywano ją złośliwie „wdową narodową”), nie wahała się nawet niszczyć dokumentów, które świadczyły, iż kochał inne kobiety. Nic zatem dziwnego, że Janina przed śmiercią przekazała archiwum rodzinne do Muzeum Literatury, zastrzegając, iż w żadnym wypadku nie może trafić do placówki, którą zarządza Wanda.

„[...] mijam willę-muzeum Władysława Broniewskiego – zanotował dziesięć lat po śmierci poety Marian Brandys. – Mimo pięknej tablicy na furtce z godzinami zwiedzania sprawia na mnie wrażenie smutnej i zaniedbanej. Tak samo było zresztą i za życia Władka. Za bardzo ciążyła na atmosferze tej willi samotność i wzajemna nienawiść dwojga jej mieszkańców. Teraz króluje tam ona. Zwyciężyła Władka i syci się swoim zwycięstwem. Spotkałem ją w parę miesięcy po jego śmierci, wyelegantowaną i odmłodzoną. Kiedy spytałem zdawkowo, jak się czuje, odpowiedziała z tryumfalnym błyskiem w oku: »Wiesz, znakomicie! Nigdy tak dobrze się nie czułam!«. Jest potworna, walczy o monopol na eksploatowanie pamięci Władka w sposób wzbudzający wstręt. Ale nie można jej odebrać stanowiska i pozostanie w lekturach szkolnych jako wierna towarzyszka życia Wielkiego Poety (Broniewski przysięgał mi, że ożenił się z nią po pijanemu). Jest ważniejsza od Stefanii Tuwimowej i Natalii Gałczyńskiej, bo one nie mają »własnego« muzeum”<sup>87</sup>.

Wanda Broniewska zmarła w 1991 roku i spoczęła u boku męża. Zapewne to ona spowodowała, że nie spełniono ostatniego życzenia umierającego poety. Broniewski bowiem tuż przed śmiercią napisał list do przewodniczącego Rady Państwa, prosząc, aby ekshumowano zwłoki Anki i pochowano ich razem. Niestety, nigdy do tego nie doszło, Anka spoczywa razem z Janiną, a na grobie jej ojca znajduje się napis: „Władysław Broniewski i żona Wanda”. Pani Poetowa wygrała ostatnią walkę o miejsce u boku męża, spychając w cień największą miłość jego życia...





# **Rozdział 3**

## **Dziwne losy Leopolda T.**



**„Leopold Tyrmand był światowcem z wyboru. Lubił to wszystko, co było modne, czyli to, czym żył świat. No, może nie cały świat, ale pewna elita światowa. No, może nie elita, ale awangarda młodzieżowa zza oceanu. Pewnie Lolo ulegał także pewnym snobizmom. Lubił społeczności dyplomatyczne w starym stylu, lubił jazz, choć nie dałbym grosza za jego muzykalność, lubił sport, jakim go pamiętaliśmy z dawnych eleganckich lat, pewnie miał też słabości w stosunku do interesujących pań”.**  
(Tadeusz Konwicki)



**N**ie był wcale pajacem, a człowiekiem szalenie serio – mówiła druga żona Leopolda Tyrmanda, Barbara Hoff. – Przede wszystkim, niesamowicie pracowitą mrówką. Zorganizowaną, poukładaną, systematyczną i pedantyczną. Wstawał codziennie o 6 rano, w ogóle mało sypiał, cierpiał na bezsenność – nie spał, gdy się kładłam, dawno był już na nogach, gdy wstawałam. Pisał codziennie od 7 do 12, potem wychodził do kawiarni »Czytelnika«, na obiad do »Literatów«, czasem jeszcze na korty, na tenis. Wieczorami – goście, kino, teatr, kolacja w »Bristolu«. Rzeczywiście był skąpy, ale wyłącznie w stosunku do siebie, dla mnie bowiem [...] zamawiał, co tylko chciałam. Dla mnie nie żałował”<sup>1</sup>.

Leopold Tyrmand przeszedł do historii jako „król bikiniarzy”, co jest raczej krzywdzącą opinią. Był to bowiem człowiek o renesansowej osobowości: erudyta, wielbiciel jazzu i sportu. A do tego znakomity pisarz, którego debiutancką powieść *Zły* przetłumaczono na 18 języków, zaś w Warszawie sprzedawano po jednym egzemplarzu na klienta. Natomiast jego słynny *Dziennik 1954* jest chyba najlepszym obrazem polskich elit kulturalnych epoki stalinizmu.

## JAZZ I KOMUNIZM

„Był tylko o jedno pokolenie przesunięty od swoich żydowskich dziadków – opowiadała publicystka Irena Lasota. – To jest ciekawy temat, ale nie tylko dotyczący Tyrmanda. [Bardziej] dotyczący tego, na ile ludzie z asymilowanych rodzin odcinali się od religii, sposobu życia, chcieli być Polakami i uważali, że nie chcą o tym mówić. On pewne rzeczy ukrywał, on tu żył wiele lat, chciał być polskim pisarzem, pisać po polsku”<sup>2</sup>.

Leopold Tyrmand pochodził z dobrze sytuowanej, spolonizowanej rodziny żydowskiej. W 1938 roku ukończył warszawskie gimnazjum imienia Jana Kreczmara, a następnie wyjechał do Paryża, gdzie studiował na wydziale architektury Académie des Beaux-Arts (Akademii Sztuk Pięknych). Po roku przeniósł się jednak na nauki polityczne, nad Sekwaną po raz pierwszy zetknął się także z amerykańską muzyką jazzową.

„W Paryżu istniał tak zwany Hot-Club de France – opowiadał jazzman Jerzy »Duduś« Matuszkiewicz – i Tyrmand zrozumiał, że muzyka jazzowa jest elementem

łącącym ludzi, różnych grup. Różnych ras, różnych narodowości, bez potrzeb używania języka, tylko komunikowania się muzyką”<sup>3</sup>.

Wybuch wojny zastał Leopolda w Warszawie i podobnie jak tysiące innych mężczyzn ruszył na wschód, aby tam zaciągnąć się do nowo formowanych oddziałów Wojska Polskiego. Ostatecznie dotarł do Wilna, gdzie zaskoczyła go sowiecka inwazja. Bolszewicy przekazali jednak miasto Litwinom, co dla miejscowych Polaków miało fatalne konsekwencje. Władze kraju brały bowiem odwet za lata upokorzeń.

„[...] to były dla mnie najczarniejsze lata okupacji – wspominał przyjaciel Tyrmanda, Franciszek Walicki. – Chodziłem wtedy do szkoły. Dobrze pamiętam, jak wyglądała nauka historii Litwy i języka litewskiego. Nacjonalizm, wręcz faszyzm litewski, ostentacyjnie i z satysfakcją tłamsił wszelkie objawy polskości, mszcząc się za lata, gdy Wilno należało do Polski. Dopiero kiedy wrócili Rosjanie, ten nacjonalizm musiał skryć się gdzieś głęboko w norach”<sup>4</sup>.

Okupacja litewska nie przeszkadzała jednak Tyrmandowi w prowadzeniu własnego trybu życia. Nosił wyłącznie krawaty „firmy Byron na Champs Élysées”, był stałym klientem kawiarni U Dormana, gdzie grywał zespół jazzowy Lowki Iligowskiego.

„Był nieprzeciętnie inteligentny – wspominał Walicki – dostrzegali to wszyscy, którzy z nim rozmawiali. Wydawał się lekko nieobecny, a jednak cały czas był bacznie skupiony”<sup>5</sup>.

W czerwcu 1940 roku Sowieci anektowali Litwę, Tyrmand potrafił jednak odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Nagle zapalał miłością do komunizmu i rozpoczął współpracę z „Komsomolską Prawdą”, organem Komunistycznego Związku Młodzieży Litwy.

„[...] zaledwie dwa lata temu – tłumaczył go Tadeusz Konwicki – w trzydziestym ósmym, miastem wstrząsnęły słynne rozruchy antysemityczne, w których ogromny udział miała studenteria wileńska.

Więc gdzież miał szukać schronienia młody student żydowski? Czy w kręgach endeckich, czy w bojówkach Falangi, czy w fanatycznych środowiskach klerykalnych?

Mogłoby być możliwe, że naturalnym biegiem rzeczy Leopold trafił do tych grup młodzieży polsko-białorusko-litewskiej, które komunizowały i demonstracyjnie odrzucały uprzedzenia rasowe oraz narodowościowe”<sup>6</sup>.

Leopold pisywał o sporcie, publikował felietony, został wreszcie redaktorem dodatku młodzieżowego „Prawda Pionierska”. W swoich artykułach popierał ruch stachanowski, przyznawał wyższość „formie towarzysz nad pan”, atakował biurokrację i brud w mieście.

„Można powiedzieć, że sama praca w »Komsomolskiej Prawdzie« nie była tytułem do chwały – uważał Bronisław Wildstein. – Tylko że, chciałem [na to] zwrócić uwagę, że Tyrmand miał wówczas 20 lat. Ja jestem za rozliczaniem, nie należy o tym zapominać, tylko że trzeba to wszystko ustawić w odpowiednim kontekście”<sup>7</sup>.

Młodemu publicyście zdarzały się jednak również typowo propagandowe wypowiedzi, właściwe dla dziennikarzy publikujących pod sowieckimi rządami:

„Żaden z Was, moi paryscy towarzysze, nie miał tego szczęścia co ja. Wam



wojna przyniosła głód, nędzę, może śmierć, nieszczęścia. Mnie przyniosła wyzwolenie”<sup>8</sup>.

Szybko jednak przekonał się o jakości tego „wyzwolenia”, gdyż na wiosnę 1941 roku został aresztowany pod zarzutem udziału w polskiej konspiracji niepodległościowej. Opowiadał później, że skazano go na 25 lat łagru, badania w archiwach litewskich wykazały jednak, iż w jego sprawie nie zapadł żaden wyrok, gdyż śledztwo nigdy nie zostało formalnie zakończone.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej rozpoczął się najdziwniejszy okres w życiu pana Leopolda. Uciekł z transportu na wschód, podobno zdobył sfałszowany paszport (czy też legitymację studencką) i zaczął podawać się za Francuza. Było to konieczne, albowiem hitlerowcy zgotowaliby mu znacznie gorszy los niż Sowieci.

Tyrmand uznał jednak, że „najciemniej jest pod latarnią” i dobrowolnie trafił do Niemiec. Nie wiadomo, czy zgłosił się na roboty, czy też jako Francuz zatrzymał się na terenie Rzeszy w drodze nad Sekwanę. Pracował jako kelner w hotelu we Frankfurcie, romansował z Niemkami, przebywał również w Wiedniu i Szczecinie. Wreszcie zamustrował się na statek płynący do Norwegii, aby uciec do neutralnej Szwecji. Został jednak złapany i resztę wojny spędził w obozie.

„[...] przeżył wojnę w środku Niemiec – pisał Konwicki – pomiędzy SS-manami, SA-manami, między oficerami Wehrmachtu i agentami gestapo. Jego los przez trzy czy cztery lata wisiał na cienutkiej nitce francuszczyzny. O każdej porze dnia i nocy Tyrmand mógł pójść do gazu”<sup>9</sup>.

Wprawdzie przeszła mu już fascynacja komunizmem, to jednak nie myślał o pozostaniu na Zachodzie. Był zdecydowany na powrót do kraju, ale nie spieszył się specjalnie. Przez rok przebywał w Danii i Norwegii, pracował dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, był także korespondentem Polpressu (późniejszego PAP-u). Pełnił również obowiązki kierownika biura prasowego poselstwa w Kopenhadze. Do Polski powrócił w 1946 roku.

## YMCA

„Lata tuż po wojnie to był surrealizm w czystej postaci – wspominał prozaik i scenarzysta Jerzy Przeździecki. – Wszystko, co nas otaczało, było jakąś obłądną mieszanką witalności i śmierci”<sup>10</sup>.

Powojenna Warszawa nie przypominała miasta, które Tyrmand opuścił we wrześniu 1939 roku. Kompletnie zrujnowana, zasiedlona w znacznym procencie ludnością napływową, dopiero budziła się do życia. Ślady niedawnych tragedii sąsiadowały z przejawami normalnego życia, a „zapachy Soir de Paris” przenikały się „z trupimi wyziewami dobywającymi się z kanałów”.

Podstawowym problemem była kwestia mieszkaniowa i tutaj Tyrmandowi dopisało szczęście. Udało mu się dostać pokój (6 metrów kwadratowych, bez żadnych wygód) w hotelu dla działaczy młodzieżowych mieszczącym się w budynku YMCA

(Związku Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej).

„Urządzenie pokoi z lat 60. niewiele zapewne różniło się od tego z lat 50. – opowiadał bywalec gmachu Cezary Prasek – łóżko, niewielki stół pod oknem, jakaś półka... Najbardziej zadziwił mnie wystrój zbiorowej umywalni. Dwie przeciwległe ściany zajmowały zainstalowane w rzędach umywalki, a nad nimi często popękane lustra. Gdy wczesnym rankiem zajrzało się tam przez uchylone na ogół drzwi, widać było rzędy rozebranych do pasa mężczyzn z namydlonymi brodami – odbywały się poranne ablucje”<sup>11</sup>.

W ówczesnej Warszawie trudno było jednak o luksusy, a nowe władze nie uważały, by społeczeństwo zasługiwało na specjalne warunki. Osobiście zresztą pamiętam ośrodki wczasowe w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia, gdzie standardem były domki czy pokoje bez bieżącej wody. Potrzeby higieniczne zapewniały zbiorowe umywalnie, a ich użytkownicy uważali to za sprawę zupełnie naturalną.

Brak wygód nie przeszkadzał Tyrmandowi w prowadzeniu bujnego życia towarzyskiego. Przez jego pokój przewinęło się wiele atrakcyjnych pań, Leopold był bowiem kobieciarzem, zawsze jednak zachowywał dyskrecję. Czasami wręcz nie wpuszczał znajomych do siebie, dbając, by odwiedzające go partnerki pozostały incognito.

Chociaż pokoje w gmachu YMCA były spartańsko urządzone, to w zamian budynek stał w centrum miasta, a jego mieszkańcy dysponowali wieloma udogodnieniami.

„[...] mieszkam w dawnym gmachu polskiej YMCA – wspominał Tyrmand w swoim *Dzienniku 1954* – przy ulicy Konopnickiej, tuż obok placu Trzech Krzyży [...]. Zaraz po wojnie [...] gmach ten był centrum towarzyskim i rozrywkowo-kulturalnym Warszawy [...] zasobny w wygodne pomieszczenia sportowe, krytą pływalnię, sale odczytowe i teatralną, sprzężycie i atrakcyjnie administrowany przez tę znakomitą bogatą instytucję stanowił istne błogosławieństwo młodzieży i w ogóle warszawiaków, którzy gnieźdząc się w urągających najczęściej wymogom ludzkim mieszkaniach, garnęli się do czystej, cieplej, ożywionej YMCA”.

Polski oddział organizacji zlikwidowano w 1949 roku, ale Tyrmand mieszkał w YMCA jeszcze przez sześć lat. I podobnie jak jego sąsiedzi ignorował zabiegi władz miasta usiłujących pozbyć się lokatorów gmachu.

„Wymyślne szykany – pisał w *Dzienniku 1954* – od watah młodych zetempowców, bijących przez cały dzień na korytarzach w werble i odgrywających godzinami ogłuszające pobudki na trąbkach, poprzez wyłączanie światła i wody, aż do aktów gwałtu z włamywaniem się do pokoi i wynoszeniem łóżek – miały załatwić sprawę, przy pobłażliwym przymrużeniu oka organów porządkowych, z milicją y *compris*. [...] Ale nie tak łatwo jest wyrzucić ludzi na bruk w Warszawie, gdzie mieszkanie jest kwestią życia i śmierci; połowa słabszych i bardziej zastraszonych wyprowadziła się, ale połowa nie mających dokąd pójść – wśród nich ja – została. W tym czasie zmieniał się wielokrotnie obraz stosunków: efemeryczność różnych instytucji w komunizmie jest tak charakterystyczna, że wczorajsi wrogowie, po zdobyciu pokoju w gmachu i po wyrzuceniu ich z pracy, stawali się automatycznie

naszymi sojusznikami [...]. Reszty dokonuje kwitnące życie, ludzie żenili się, pojawiały się dzieci, zapachniało praniem, gotowaniem i zmywaniem [...] w tej chwili mieszka się tu w dość obskurnym domostwie o strukturze hotelowo-korytarzowej, znanym mi dobrze z przedmieść Paryża [...]”<sup>12</sup>.

Największą pasją Tyrmanda w tym okresie był jazz. Został jego gorliwym propagatorem, chociaż ten rodzaj muzyki traktowany był przez władze z najwyższą podejrzliwością.

„Dotarły do nas wiadomości – wspominał Matuszkiewicz – że on w warszawskiej YMCE organizuje jazz club, »Jazz Club YMCA Warszawa«. Nie wszyscy jeszcze wtedy wiedzieliśmy, co to jest jazz, bo to jeszcze była wtedy bardzo tajemnicza sprawa. Natomiast on nas nauczył formy jam session”<sup>13</sup>.

Wprawdzie Leopold nie grał na żadnym instrumencie, to jednak doskonale znał każdego muzyka. Uważany był za głównego animatora polskiego ruchu jazzowego i „protektora studenckich zespołów jazzowych”. Został nawet autorem pierwszej polskiej publikacji na ten temat (*U brzegów jazzu*), a kilka lat później zorganizował słynny festiwal jazzowy w Sopocie.

## KONTESTACJA

Tyrmand mógł być inteligentny i utalentowany, ale gdyby nie wojna, to nigdy nie zrobiłby takiej kariery. Dziennikarstwo polskie poniosło wówczas ogromne straty, a wielu przedwojennych publicystów pozostało na Zachodzie. W krajowych redakcjach pojawili się młodzi adepci zawodu, a jednym z nich był właśnie pan Leopold.

Na początek trafił do zespołu „Słowa Powszechnego” – organu Stowarzyszenia PAX. Odszedł jednak stamtąd po konflikcie z wszechwładnym Bolesławem Piaseckim, co wyszło mu tylko na dobre. Dołączył bowiem do redakcji krakowskiego „Przekroju”, najlepszego w tym czasie czasopisma w Polsce.

„Tyrmanda stworzył Marian Eile – twierdził Ludwik Jerzy Kern. – Leopold pisywał coś wcześniej w »Słowie Powszechnym«, »Expressie Wieczornym«, ale dopiero »Przekrój« stał się dla niego prawdziwą trampoliną”<sup>14</sup>.

Pan Leopold miał jednak na ten temat własne zdanie, nie byłby bowiem sobą, gdyby o krakowskiej redakcji nie wypowiedział się z dużą dozą ironii.

„Wstąpiłem też do »Przekroju«, twierdzy pocziwych cyników niewysokiego lotu. Są jak zawsze kochani, rozmiłowani w swojej poezji i w swojej plastyce. Zarabiają grubą forszę w służbie komunistycznej propagandy i sprowadzają za nią z Paryża i Londynu antymarksistowską rozkładowość w dobrych książkach, pismach ilustrowanych, płytach jazzowych i długogrających, bajecznych krawatach i obuwiu”<sup>15</sup>.

W maju 1946 roku „Przekrój” zamieścił debiutanckie opowiadanie Tyrmanda *Niedziela w Stavanger*. Publikował reportaże, felietony (*Leopold o sporcie*), był również animatorem akcji „Otyli żyją krócej”. A gdy rozpoczął się sezon urlopowy, to przyjeżdżał na dłużej z Warszawy, aby pomagać w redagowaniu pisma. Na

mieszkańcach podwawelskiego grodu wywierał jednak dziwne wrażenie.

„Czasami był po prostu w złym tonie – uważał Kern. – Sprawiał na mnie wrażenie subiekta ze sklepu z sukniami na Bielańskiej. Takiego, który przed wojną chodził raz na tydzień do Adrii i zamawiał coś najtańszego, żeby choć chwilę posiedzieć obok stolika skamandrytów”<sup>16</sup>.

W sierpniu 1948 roku Tyrmanda, jako wysłannika „Przekroju”, dokooptowano do zespołu prasowego obsługującego Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. Przeprowadził wówczas wywiady z Pablem Picassem i Julianem Huxleyem, a w kularach kongresu wzbudzał swoim zachowaniem zgrozę wśród innych dziennikarzy.

„Tyrmand szalał – wspominał Zygmunt Broniarek – zamawiał najdroższe potrawy, kawitory i łososie, egzotyczne owoce, wyrafinowane lody, trunki, jakich nigdy w życiu nie widziałem (a były!), i nic – tylko podpisywał”<sup>17</sup>.

Uczestnicy kongresu dostawali wszystko gratis, wystarczał wyłącznie podpis na rachunku. Tyrmand nie zamierzał jednak brać tych ekstrawagancji na siebie i podpisywał rachunki jako Jerzy Borejsza, wszechwładny szef Czytelnika i główny animator imprezy...

Zapewne odreagowywał w ten sposób usunięcie go ze Związku Zawodowego Dziennikarzy RP (późniejszego SDP), z czym wiązała się utrata pewnych przywilejów. Relegowany został na własne życzenie, w odwecie za demonstrację urządzoną podczas pewnego wydarzenia sportowego.

„[...] był mecz jakiś wielki – opowiadał Stefan Kisielewski – ze Związkiem Radzieckim chyba. Na meczu był Bierut, cały rząd miał przyjść. Otóż Mikołajczyk, wicepremier, wykombinował sobie, że się spóźni, żeby mieć osobne wejście, osobną owację. I rzeczywiście, jak przez głośnik podano, że wszedł do łoży wicepremier Mikołajczyk, to stadion zerwał się z miejsc, zaczął klaskać, a w łoży prasowej tylko jeden człowiek wstał i klaskał – to Tyrmand. I wylali go ze Stowarzyszenia Dziennikarzy zaraz, za parę dni”<sup>18</sup>.

Nie był to odosobniony przypadek, posadę w „Przekroju” również stracił za demonstrację polityczną. Gdy podczas meczu bokserskiego ze Związkiem Radzieckim (czy też turnieju bokserskiego z udziałem sowieckich pięściarzy) publiczność skandowała „Lej Iwana za Katyń”, to Tyrmand napisał w swojej relacji, że wznoszono patriotyczne okrzyki...

Przygarnął go Jerzy Turowicz do „Tygodnika Powszechnego”, ale był to trudny czas dla Tyrmanda. Zarabiał niewiele, a do tego groziło mu jeszcze usunięcie ze Związku Literatów Polskich, co mogło ostatecznie pogрузić go finansowo. Zniżkowe obiady „po siedem złotych” w stołówce stowarzyszenia były bowiem wielkim przywilejem...

„Lolo był światowcem z wyboru – uważał Konwicki. – Lubił to wszystko, co było modne, czyli to, czym żył świat. No, może nie cały świat, ale pewna elita światowa. No, może nie elita, ale awangarda młodzieżowa zza oceanu. Pewnie Lolo ulegał także pewnym snobizmom. Lubił społeczności dyplomatyczne w starym stylu, lubił jazz, choć nie dałbym grosza za jego muzykalność, lubił sport, jakim go pamiętaliśmy z dawnych eleganckich lat, pewnie miewał też słabości w stosunku do interesujących pań”<sup>19</sup>.

Kontestacja Tyrmanda nie ograniczała się bowiem wyłącznie do imprez sportowych. Na przekór szarej, zgrzebnej rzeczywistości postanowił być inny i cel ten osiągnął. W efekcie gdy przy stole siedziało ośmiu mężczyzn, to siedmiu z nich miało na sobie identyczne szare marynarki. Natomiast tym ósmym, odmiennie ubranym, był oczywiście Tyrmand.

„W ubogiej stalinowskiej Polsce – tłumaczył Cezary Prasek – widomym znakiem buntu i niezgody oraz prozachodnich sympatii był przede wszystkim sposób ubierania się. [...] Prawdziwy elegant nie nosił [koszul] dostępnych powszechnie w MHD. Te pożądane były albo zbyt drogie, albo trudno dostępne. Pozostawało więc artystyczne cerowanie starych, a gdy przecierał się kołnierzyk, niosło się taką koszulę do zaprzyjaźnionego krawca, który z dolnej części pleców wyczarowywał nowy – modnego kroju, a w wycięte miejsce wstawiał łąkę z innego materiału, której i tak pod modną samodziałową marynarką nie było widać”<sup>20</sup>.

Krawcy bywali wprawdzie chimeryczni, ale Lolek znalazł idealnego specjalistę. Działał bowiem w Warszawie niejaki Bitkowski, który bez dyskusji brał pod uwagę wszelkie sugestie klientów.

„W przeciwieństwie do głupiej i niczym nie uzasadnionej zarozumiałości wszystkich na świecie krawców – entuzjazmował się Tyrmand – nie pytany nigdy nie wypowiadał swego zdania, ani nie dziwił się niczemu. [...] Gdybym powiedział mu: »Panie Bitkowski, zrobi mi pan spodnie z tej szarej gabardyny, tylko na lewym kolanie nie zapomni pan wstawić dużej, żółtej łąty...« – wtedy Bitkowski odpowiedziałby bez chwili wahania i krzty zdziwienia: »Tak jest, panie Tyrmand, to może nawet ładnie wyglądać...« – i zrobiłby według zamówienia. Ta wzniosłość krawieckiego charakteru zadecydowała o karierze Bitkowskiego [...] Wykonując bez szemrania wszystkie nasze kaprysy, Bitkowski nauczył się mnóstwo, zdobył sobie klientelę, którą ściągnęliśmy mu obficie ze środowisk muzyków jazzowych, sportowców, hulaszkiej inicjatywy prywatnej, dziennikarzy, bokserów, czarnogiełdziarzy, aktorów, pływaków, światowych alkoholików, »cyganerii urzędniczej«, a nawet – z początku – dyplomacji”<sup>21</sup>.

Problem stanowiły również koszule, rzadko można było bowiem kupić coś naprawdę oryginalnego. Ale Lolek i na to znalazł sposób, a pomógł mu kolejny stołeczny fachowiec, niejaki Dyszkiewicz.

„[...] przyniosłem [...] groszową, tandetną koszulę, kupioną w domu towarowym za nędzne 30 złotych. Materiał dość mocny, robota ohydna, straganiarska, klasyczny przykład brzydactwa tak zwanej masowej produkcji; natomiast wzorek jest znośny – niebieskie paseczki na białym tle, niezbyt wulgarne. [...] Usiedliśmy tedy z panem Dyszkiewiczem do szczegółowego, długotrwałego, drobiazgowego omówienia modelu, w atmosferze wyszukanej grzeczności – rozważaliśmy różne koncepcje kroju,



rysowaliśmy, zastanawialiśmy się nad każdym pascykiem i każdym guziczkiem”<sup>22</sup>.

Pierwsze pary kolorowych skarpet przywiózł Leopoldowi z Moskwy (!) Eryk Lipiński. Miały pasiasty wzór: czerwone, zielone, pomarańczowe, czarne, Lipiński dołączył do nich kwit z sowieckiego sklepu. Dzięki temu Tyrmand mógł twierdzić, że „jego skarpety są jak najbardziej ideologicznie słuszne, bo kupione w Moskwie”.

Skarpety wymagały odpowiedniego wyeksponowania, zatem pan Leopold nosił zbyt krótkie spodnie, do tego dochodziły dobrej jakości marynarka, koszula z kołnierzykiem na guziczki (po przeróbkach Dyszkiewicza) i właściwy krawat. Tyrmand nie nosił jednak krawatów z palmami (aluzji do atolu Bikini, gdzie przeprowadzano próby jądrowe), ceniał bowiem stonowaną kontestację.

Elegancki mężczyzna powinien być w modnych miejscach: w kawiarni Czytelnika, w Kameralnej czy na basenie Legii. Tyrmand unikał jednak alkoholu, w zamian ceniał niekończące się dyskusje o polityce, literaturze i sztuce.

„Lolo chętnie sprawiał wrażenie erudyty – wspominał Konwicki. – Ale ja przez 10 lat nie widziałem Lolka z książką w ręku. Wydaje mi się, że w młodości Tyrmand, tak jak każdy z naszej generacji, pochłoniął wszystkie lektury, jakie nam, naszemu etosowi były przypisane. Później już chyba poprzestał na tak zwanym »oczytaniu skrzydełkowym«, to znaczy zaglądał na skrzydełka obwolut książkowych, gdzie wydawcy zwykle podawali streszczenie tomu. Jednakże fenomenalna pamięć i wrodzona bystrość pozwalały Lolkowi zapuszczać się w najbardziej ryzykowne dysputy erudycyjne”<sup>23</sup>.

## LEGENDA PLAYBOYA

„Leopold był przede wszystkim człowiekiem bardzo dobrze wychowanym – opowiadała Danuta Kętrzyńska. – Kimś, kto najlepiej pasowałby do towarzystwa Starszych Panów, Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory. Oni także starali się uchronić tę prawdziwą urodę życia, nieco staroświecką, ale pełną sympatii dla ludzi”<sup>24</sup>.

Obiektywnie Tyrmand nie miał warunków na playboya. Nie był przystojny, nosił mocne szkła, nie posiadał pieniędzy ani własnego mieszkania. A do tego przekroczył już 30. rok życia i wydawać się mogło, że raczej będzie poszukiwał partnerek w gronie rówieśniczek. Ale nic z tych rzeczy: pan Leopold uchodził za wyjątkowego kobieciarza, a u jego boku widywano dużo młodsze dziewczęta. Szczególnie zaś gustował w studentkach warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, podobno wybierał te najbardziej inteligentne.

Wprawdzie nie był przystojny czy zamożny, ale uchodził za światowca, studiował przecież w Paryżu, a podczas wojny przebywał na Zachodzie. A do tego fantastycznie tańczył, co dawało mu ogromną przewagę nad innymi mężczyznami. Gdy trafił na imprezę klasową swojej ówczesnej dziewczyny, 18-letniej Krystyny S., to początkowo potraktowano go tam jak „wujka”. Niebawem jednak pokazał znacznie młodszymi rywalom ich miejsce w szeregu.

„[...] usłyszałem muzykę, o jaką mi chodziło. Wszedłem, spokojnie zabrałem jednemu z tańczących dziewczynę – nie zdziwił się nawet – myślał, że to dowcip – i zacząłem tańczyć. Tańczę dobrze *boogie-woogie*. Za młodych lat, za granicą, amerykańscy żołnierze potrafili robić mi owacje, kiedy, złapawszy dobrą partnerkę, pokazywałem w pełni, na co mnie stać w dziedzinie jazzu i *swingowej* choreografii. Teraz też nie mogło być inaczej. Wprawdzie dziewczyna była drewniana, ale to mi nie przeszkadzało, na jej tle wychodził mój kunszt z młodych lat tak właśnie, w jakim stopniu był mi w tej chwili potrzebny. Chłopcom wyszły oczy na wierzch z podziwu. Ich obojętna niechęć wobec faktu, że tańczę, zmieniła się stopniowo w zazdrosny entuzjazm. Otaczali mnie kołem i klaskali w dłonie. Zacząłem naraz uosabiać ich ideały urody życia, najważniejsze dla nich ideały. Kiedy płyta się skończyła, pożegnałem się ze wszystkimi, podziękowałem za miły wieczór z uśmiechem, który mówił, że naprawdę jestem bardzo zadowolony – i wyszedłem. [...] Kiedy chłopcy podawali mi rękę, wiedziałem, że uznają się za pokonanych”<sup>25</sup>.

Umiejętności taneczne Tyrmanda były powszechnie znane, w efekcie często padał on ofiarą zazdrości kolegów. Ośmieszano go w każdy możliwy sposób, nie cofano się nawet przed żartami na łamach prasy.

„W owym czasie tygodnik »Nowa Kultura« – wspominał Konwicki – na ostatniej stronie pomieszczał króciutkie noty polemiczne, a także zwykłe plotki. Otóż i ja wysmażyłem na tej stronie któregoś dnia lakoniczną wiadomość o tym, że Leopold Tyrmand podczas pobytu w Jastarni udał się do miejscowego domu zdrojowego na dancing i tam uległ wypadkowi, kopnąwszy się w czoło w trakcie prób nowego pas w modnym tańcu. Plotka ta miała swój początek w rzeczywistym zdarzeniu. Tyrmand naprawdę zwichnął nogę w tym słynnym domu zdrojowym”<sup>26</sup>.

Przez strony *Dziennika* 1954 przewijają się liczne dziewczęta (najczęściej nazywane tylko imionami lub inicjałami), z którymi Tyrmand łączyły bliższe stosunki. Zapewne pisarz nieco koloryzował, ale relacje świadków potwierdzają, że cieszył się autentycznym powodzeniem u płci pięknej. Uważano zresztą, że „idzie na te dziewczyny jak czołg”.

„[To] jest jak z chodzeniem po bagnie – tłumaczył pisarz. – Skaczesz z kępy na kępę i próbujesz, jak daleko jeszcze możesz dojść. Jak dostaniesz w mordę, to wiesz, że trzeba się cofnąć. I idziesz do następnej”<sup>27</sup>.

Był pewny siebie, zdecydowany, ale czasami też niezbyt wybredny. Zapewne potwierdzał w ten sposób własną męskość, przyznawał też zresztą, że zachwyty kolegów nad jego partnerkami poprawiały mu humor.

„Jaka wspaniała dziewczyna! Ten Tyrmand! Stary łotr!... Ten zawsze ma coś takiego przy boku... Jak on to robi, skąd on to bierze, ten niski, niemłody, wyzbyty pieniędzy i perspektyw facet...”<sup>28</sup>.

Miał jednak swoje zasady, nie szukał przygód z warszawskimi lolitkami. I nie pochwalał takiego postępowania swoich znajomych, inna sprawa, że koledzy Tyrmanda chętnie korzystali z okazji.

„Basen kąpielowy Legii – opisywał Konwicki. – Upał, wrzawa kąpiących się, tłumy zażywających słońca. Nadchodzi brzegiem cembrowiny basenu kolega ze śliczną

warszawską lolitą.

Tyrmand powiada ze zgrozą:

– Cukier, bój się Boga, ona ma ze trzynaście lat.

– Ja nie jestem przesądny”<sup>29</sup>.

## RYSIA

W tym czasie w życiu Tyrmanda pojawiła się wielka miłość, niestety romans ten nie miał happy endu. Przez pięć lat spotykał się z Rysią, której nazwiska wprawdzie nie ujawnił, ale dziewczynę można jednak zidentyfikować. Jej ojciec to Józef Stemler, były dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej, członek konspiracyjnej Delegatury Rządu na Kraj, jeden z oskarżonych w moskiewskim procesie szesnastu.

„Rysia zasługiwała na miłość – pisał Leopold po rozstaniu – jak nikt dotąd w moim życiu. Ta śliczna, smukła brunetka o szarych, świetlistych oczach była jednocześnie wysoce odpowiedzialnym wobec siebie i innych człowiekiem, zdecydowanie nakreśloną indywidualnością, zgodną ze mną w poglądach na życie, na wartości ideowe, na obowiązki społeczne człowieka, na małżeństwo, na dom rodzinny”<sup>30</sup>.

Dlaczego zatem poniósł porażkę? Związał się z ideałem kobiety i pozwolił jej odejść? Chyba do końca sam tego nie potrafił zrozumieć, a przecież ich związek trwał aż pięć lat.

„Była mocno osadzona w swej pracy zawodowej, zajmowała w niej znaczną pozycję, miała wpływy, bliskie mi zainteresowania, uznanie ludzkie. Była świetną gospodynią, byłaby zapewne dobrą żoną i jeszcze lepszą matką. Raz tylko dane mi było napotkać w życiu taką kobietę, którą w dodatku kochałem, rozbudziłem płciowo i przywiązałem do siebie. Co najważniejsze – Rysia kochała mnie aż do poświęceń. Kiedy ją poznałem, była po nieudanym małżeństwie i wieku 24 lat przestała już trochę wierzyć, że coś takiego może się w życiu udać. Wtedy los zetknął nas ze sobą i udało się – na pięć lat, po których – mówiąc dramatycznie, zwichnąłem sobie życie, tracąc ją z własnej winy”<sup>31</sup>.

Po latach panna Stemler przyznała, że Tyrmand „był jedynym mężczyzną w jej życiu, z którym nigdy się nie nudziła”. Stwierdziła jednak, że pisarz popełnił podstawowy błąd: nigdy bowiem nie złożył jej oficjalnej deklaracji na temat wspólnej przyszłości. Mijały kolejne lata, Rysia chciała mieć dom i dzieci, uznała wreszcie, że „cyganeria w życiu kobiety nie może trwać wiecznie”. Podjęła decyzję o rozstaniu, a jej rodzina, bardzo tradycyjna w poglądach, przyjęła to z ulgą.

## „TYGODNIK POWSZECHNY”

Pan Leopold zdecydowanie odróżniał się od swoich redakcyjnych kolegów

z „Tygodnika Powszechnego”.

„[...] robił wrażenie przybysza z zupełnie innego świata – przyznawała Józefa Hannelowa. – Interesował się sportem, modą i jazzem. Jakby ta ponura aura, w której wtedy żyliśmy, w ogóle go nie dotykała. Robił wszystko, aby nie poddać się poczuciu zagrożenia i chyba mu się to udawało”<sup>32</sup>.

Pensje w „Tygodniku” nie były wysokie, a zespół toczył nieustanne boje z cenzurą. Na spotkaniach redakcyjnych trwały ciągłe dyskusje na temat granic kompromisu wobec władzy. Pan Leopold chyba nie był tym specjalnie zainteresowany, wydaje się, że traktował pracę w „Tygodniku” jak etap bez większego znaczenia.

„Coraz częściej odbywały się dyskusje, co dalej – wspominała Hannelowa – ale nie przypominam sobie, żeby Tyrmand w nich uczestniczył. Spotykaliśmy się zwykle w mieszkaniu Antoniego Gołubiewa albo u Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, bo byliśmy przekonani, że w redakcji jest podsłuch”<sup>33</sup>.

Podsłuch zapewne faktycznie zainstalowano, była to bowiem zwyczajowa metoda działania komunistów. A do ostatecznej rozprawy z „Tygodnikiem” władze przystąpiły niezwłocznie po śmierci Stalina. Znalezione wygodny pretekst, redakcja odmówiła bowiem zamieszczenia panegiryku na cześć zmarłego, poprzestając na własnym nekrologu. I to wystarczyło do zamknięcia pisma.

Dziennikarzy rozpedzono, a „Tygodnik” wznowił działalność pod redakcją Jana Dobraczyńskiego. Aby rozbić grupową solidarność, część zespołu otrzymała propozycję dalszej współpracy, większość jednak odmówiła. Należał do nich Tyrmand, który również odszedł, co oznaczało dla niego bezrobocie i zakaz publikacji.

## TRUCIZNY LITERATA

„Młodsze kręgi towarzyskie czczą Tyrmanda jako proroka antykomunizmu – zauważył Konwicki. – Ale ja w tym względzie mam sporo wątpliwości. Rzeczywiście Tyrmand napisał wiele gorzkich słów pod adresem komunizmu albo raczej przeciwko tej formie totalitaryzmu, którą dla wygody nazywano komunizmem. Rzeczywiście nasz reżym nie był łaskawy dla Leopolda, dokuczał mu często i dotkliwie. Tyrmand odgryzał mu się, gdzie mógł i kiedy mógł.

Moim zdaniem Tyrmand był człowiekiem nie ideologicznym. Nawet jako katolik nie wykazywał szczególnej pobożności. Tyrmand był pragmatykiem, żył dniem codziennym w gąszczu naszego życia. A jeśli był antykomunistą, to tak, jakby należał do yacht klubu”<sup>34</sup>.

Prawdziwym antykomunistą pan Leopold został dopiero w 1954 roku, gdy na kilka miesięcy zabrakło mu środków do życia. Od stycznia do kwietnia regularnie prowadził wówczas swój słynny dziennik (przynajmniej jego pierwotną wersję), który po latach okazał się niezwykłym dokumentem epoki. Wprawdzie nie ma w nim krwi, tortur i prześladowań, ale jest to chyba najcelniejszy wizerunek ówczesnego środowiska literackiego.

Pisarz przedstawiał swoich kolegów w ciemnych barwach, a jego opinie są wyjątkowo bezkompromisowe. Jako człowiek bezrobotny został skazany na rolę obserwatora i dostrzegał to, czego wcześniej nie zauważał:

„Obiad u Literatów wśród ciągle tych samych, tępych twarzy. W tym klubie panuje nastrój przedwojennego żydowskiego pensjonatu w Otwocku, tylko że jest drożej i gorzej dają jeść. Wszyscy się tu znają i nie lubią”<sup>35</sup>.

W stołowce pojawiali się również przedwojenni wrogowie komunizmu stojący obecnie w pierwszym szeregu „postępowych przemian”. I jak przystało na prawdziwych neofitów, na każdym kroku podkreślali swoje głębokie przywiązanie do ustroju „sprawiedliwości społecznej”.

„Z satysfakcją obserwowałem tych wszystkich, których nie było wczoraj w podręczniku literatury polskiej Krystyny, z którego uczyliśmy się o Dwudziestoleciu. Iwazkiewicz, Andrzejewski, Jastrun na przykład. No bo jak wytłumaczyć uczniom dzisiejszą *prosperity* tych ówczesnych formalistów faszystów, artystowskich estetów? Spadaniem bielma? Okazałoby się tedy, że trzy czwarte dzisiejszych zelotów planu sześćoletniego chorowało przed wojną na egipskie zapalenie oczu, a takich epidemii w Polsce nie notowano”<sup>36</sup>.

Tyrmand krytykował również plastyków, dostrzegając ich służalczość wobec władzy przy próbach zachowywania pozorów wobec środowiska. A w rzeczywistości chodziło im tylko o pieniądze i wygodne życie, czyli o to, czego on sam został pozbawiony.

„[...] zajrzałem do »Lajkonika«, jednej z modniejszych kawiarni warszawskich, uczęszczanej głównie przez plastyków, architektów, grafików. Siedzieli właśnie różni Lipińscy, Srokowscy, Hryniewieccy, Lengrenowie – dobrze ubrani, zadowoleni z siebie, z życia, z kilkunastu tysięcy złotych zarabianych miesięcznie za talenty i serwilizm. Każdy z nich rozgoryczony, każdy uważa, że toczy walkę o wolność sztuki, walczy z socrealizmem, nadgorliwością, komunistycznym obskurantwem, ale walka ta nie musi być groźna dla postulatów plastycznych *régie’mu*, skoro w ogniu jej kupują sobie oni auta, urządzają luksusowo mieszkania i jeżdżą na urzędowo sankcjonowane wojaże – za granicę”<sup>37</sup>.

Dostrzegał zmierzch mistrzów literatury polskiej, których socrealizm wytrącił z normalnego procesu twórczego. I chociaż próbowali pisać w obowiązującej konwencji, to jednak nie potrafili publikować utworów na poziomie swoich wcześniejszych osiągnięć:

„Dlaczego nie potrafiła napisać przez te lata ani jednej książki Maria Dąbrowska, wybitna pisarka Dwudziestolecia? Dlaczego Jarosław Iwazkiewicz po napisaniu kilku nowel na samym początku kulturalnego »bezhołowia« potem wystąpił jedynie z nędzną sztuką teatralną, po czym umilkł i tylko od czasu do czasu nuci w tygodnikach kabotyńskie strofki wierszy i okolicznościowych przemówień? Dlaczego milczy Zofia Nałkowska? – Benvenuto Cellini polskiej prozy – po dwóch pozycjach z pierwszych dwóch lat »wyzwolenia«. Są to pisarze, którzy zaakceptowali, łączy ich wiek dojrzały i potencjał twórczy oraz rozpływanie się męki twórczej w apanażach, zaszczytach i satysfakcji autorytetów. Wszyscy oni uprawiają pisanie do »szuflady« – to inna rzecz



i zagadnienie”<sup>38</sup>.

Iwaszkiewicza potraktował zresztą na oddzielnych zasadach, dziwiąc się schizofrenii władzy w stosunku do skamandryty:

„W 1954 roku komunistyczny rząd fetuje Iwaszkiewicza uroczystościami urodzinowymi, akademiami, najwyższymi odznaczeniami, rentami, apanażami, orderami. Poza tym pozwala mu na posiadanie pałacu pod Warszawą, który to pałac został wybudowany i wyposażony za posag, jaki otrzymał Iwaszkiewicz w czasach ucisku burżuazyjnego od rodziców swej żony, znanych krwiopijców Lilpopów. Do pałacu tego przywozi się francuskich i włoskich idiotów, uważających się za postępowych intelektualistów, by pokazać im, w jakich warunkach żyją nie marksistowskie pisarze w Polsce”<sup>39</sup>.

Tyrmand uważał Iwaszkiewicza za „spryciarza”, który wprawdzie oficjalnie nie należał do partii komunistycznej, ale wszystkie jej polecenia „wykonywał posłusznie, bez szemrania”, tak „jakby skonstruowany był z samych marionetkowych sznurków”. I gdy trzeba było mówić o pokoju, to pan Jarosław głosił pokój na świecie, a gdy „trzeba będzie pisać o wojnie, Jarosław napisze z równym żarem i czuciem, w równie mistrzowskiej formie wiersz o wojnie”.

Lektura *Dziennika 1954* jest ponurym przeżyciem, gdyż obrażony na cały świat Tyrmand krytykował praktycznie wszystkich znajomych literatów, dziennikarzy czy artystów. Uważał ich za oportunistów i karierowiczów, często używając określeń typu: „cham”, „głupiec” czy „dureń”. Właściwie pozytywnie pisał tylko o Herbercie i Kisielu, chociaż temu ostatniemu zarzucał, że lubi dłubać w nosie...

Kultura to jednak nie wszystko, Tyrmanda doprowadzały także do szału absurdy codzienności. Zastanawiał się, jak ma funkcjonować kraj, w którym nie można wyprodukować normalnych szczoteczek do zębów.

„[...] komuniści chcą, aby wszystkim ludziom powypadały wszystkie zęby. Czy ja bredzę? Spójrzmy na fakty: w Polsce nie robi się szczoteczek do zębów. Robi się – skłamałbym – ale zupełnie nie do użytku, takie, które po kilku dniach musi się wyrzucić, a przez te kilka dni sprawiają nieskończoną przykrość w używaniu. Natomiast można u sprzedawców pokątnych, ulicznych, nabyć – uwaga! – szmuglowane szczotki amerykańskie. A więc – uwaga! Jestem zdrow na umyśle i mam chłodną głowę! – istnieje zorganizowany szmugiel do Polski – czego? Szczoteczek do zębów... Taka szmuglowana szczotka kosztuje obecnie około – uwaga! Nie piłem alkoholu od paru miesięcy! – 40 złotych! Kawalek nylonu z napisem po angielsku ma w tym kraju równowartość czterech dobrych obiadów, dwudziestu ciastek i ozdobnego wydania jakiegoś klasyka literatury narodowej. Co za upadek dla klasyka!”<sup>40</sup>.

Sprawa szczoteczek była tylko wierzchołkiem góry lodowej, a pisarz ze zdumieniem notował skutki socjalistycznego zarządzania gospodarką. Zauważył, że pojawiła się już grupa ludzi, którzy z komunistycznych absurdów urządzili sobie całkiem dochodowy proceder. Należał do nich jeden z jego znajomych, pracował jako geodeta i wykorzystywał lokalne niedobory rynkowe.

„[...] w Warszawie brak jest kabli gumowych, nawet przedsiębiorstwa państwowe zaopatrują się w nie na czarnym rynku i po spekulanckich cenach.

Tymczasem w Rzeszowie oficjalnie, państwowe sklepy zawałone są zwojami kabli, które każdy w dowolnych ilościach, może kupić za grosze. Cóż więc prostszego, jak kupić kilkanaście metrów kabla w Rzeszowie, kilkanaście metrów rurek gazowych w Nowym Targu czy amerykańskie »ciuchy« z paczek w Jaśle i sprzedać to wszystko z kilkusetprocentowym zyskiem w Warszawie, w której ludzie błagają, modlą się o rurki gazowe i wyrywają sobie »ciuchy« z rąk. Głowa pracuje! Zepchnięci zostaliśmy w erę najwcześniejszego prymitywizmu handlowego, gdzie zwykle przewiezienie towaru na pewną odległość dawało zyski. Zmienił się tylko rodzaj niebezpieczeństwa. Kiedyś byli to zbójcy na rozstajnych drogach, czyli wrogowie porządku, dziś jest nim milicja, czyli obrońcy porządku”<sup>41</sup>.

Tyrmand użalał się nad sobą i Polską przez trzy miesiące, a proces ten przerwała oferta z wydawnictwa Czytelnik. Pan Leopold podpisał umowę na „powieść sensacyjną o chuliganach i bikiniarzach” i od razu zainkasował blisko 7 tysięcy złotych zaliczki. Natychmiast też przystąpił do pracy, książka ukazała się w grudniu 1955 roku i z miejsca stała się bestsellerem.

## ZŁY

Była to pierwsza w powojennej Polsce powieść kryminalna nienapisana w konwencji socrealistycznej. Została tak znakomicie osadzona w realiach Warszawy, że ponoć można było jej używać jako przewodnika po mieście. Intrygująca fabuła, wyraziste postacie oraz trafne obserwacje obyczajowe spowodowały, że *Zły* był czytany praktycznie przez wszystkich. A jego autor osiągnął błyskawiczny sukces porównywalny z dokonaniem Marka Hłaski.

„Sięgnąłem po egzemplarz zaczytany już do ostatka – wspominał Konwicki – i nie wypuściłem go z ręki przez dzień i noc, póki nie skończyłem lektury. Co tu kryć, padłem do tyłu z zachwytem. Zobaczyłem tużpowojenną Warszawę ze wszystkimi osobliwościami miasta zmartwychwstającego, poznałem z bliska to dziwne społeczeństwo, co obsiadło ruiny i próbowało wykrzesać z nich iskielki życia, utożsamiałem się z tym odwiecznym etosem bohatera ludowego, który wymierza sprawiedliwość w niesprawiedliwym świecie. Spodobały mi się i szczególnie dar narracji, i poczucie humoru, i owa znana mi skądś stylistyka [...]”<sup>42</sup>.

Podobnego zdania była Dąbrowska, której nikt nie mógł posądzać o koniunkturalizm. Pani Maria, tak jak wielu innych, uległa talentowi Tyrmanda, do czego uczciwie się przyznawała:

„Do trzeciej w nocy czytałam »Złego« Tyrmanda. Wszyscy się z tego wyśmiewają, a ja uważam to za ważną książkę 10-lecia. Może równie ważną, jak w swoim czasie »Dzieje grzechu« Żeromskiego; niższa klasa arcyzmu, ale tak samo szmirowato-melodramatyczna; lecz rzeczywistość jest szmirowata i to powinno było znaleźć swój ekwiwalent w literaturze. Pisane, mimo pewnych dłużyzn, z takim talentem, że w miarę czytania robiło mi się słabo i dostawałam bicia serca. Czułam, że

sobie szkodzę, a jednak czytałam”<sup>43</sup>.

Nazwisko autora przez wiele miesięcy nie zniknęło z pierwszych stron gazet. Z dnia na dzień stał się idolem, nie miał już problemów z dalszymi publikacjami. W „Kurjerze Warszawskim” drukowano w odcinkach jego powiastkę filozoficzną *Wędrówki i myśli porucznika Stukułki*, w księgarniach pojawił się zbiór opowiadań *Gorzki smak czekolady Lucullus*, a następnie monografia *U brzegów jazzu*.

Sukces literacki nie przysłonił bowiem Tyrmandowi miłości do muzyki. Jazz wreszcie wyszedł z podziemia, a pan Leopold pozostał jego gorliwym propagatorem. Oprócz festiwalu w Sopocie organizował liczne imprezy na terenie całego kraju, w tym cykl koncertów pod wspólnym tytułem „Leopold Tyrmand przedstawia”.

Uważał, że zdobyta sława zobowiązuje go do podtrzymywania oryginalnego sposobu bycia, co nieraz odczuwali jego przyjaciele. Tyrmand zawsze bowiem potrafił zaskakiwać ich swoim zachowaniem.

„[...] kiedy na przykład szedł do mnie – relacjonował Konwicki – i kupując gazetę, zamiast reszty dostawał pudełko zapalek, przynosił mi to pudełeczko w prezencie, a później długo objaśniał niezwykłą wartość emocjonalną tego prezentu i magiczną moc tych zapalek, w których posiadanie wszedł przy interwencji sił wyższych, jeśli nie najwyższych. Lolo lubił powiększać i umetafizyczniać naszą codzienną pospolitość”<sup>44</sup>.

Z dnia na dzień Lolo stał się również ulubieńcem nowych władz i z puli premiera Cyrankiewicza dostał talon na samochód (wartburga). Duże zmiany nastąpiły także w jego życiu prywatnym.

Jeszcze przed wydaniem *Złego*, w kwietniu 1955 roku, ożenił się ze studentką ASP Małgorzatą Rublówną. Wraz z żoną zamieszkał na Bielanach, związek nie przetrwał jednak długo.

„Dołował mnie coraz bardziej – wspominała pierwsza żona pisarza – tak że straciłam wiarę w siebie, nic mi już nie wychodziło. Przed wszystkim studia na ASP, gdzie przestałam się pojawiać, przestałam malować w domu, bo krytykował, choć dotychczas słyszałam, że mam talent – dostałam się na Akademię bez problemów. Przestałam nawet jeździć na nartach, bo był zazdrosny, że jeżdżę lepiej od niego”<sup>45</sup>.

Wkrótce po rozwodzie zaczął interesować się Barbarą Hoff, przyszłą dyktatorką mody PRL. Znali się już od pewnego czasu, a teraz pisarz uznał, że Hoff zostanie jego kolejną żoną. Do realizacji planu zabrał się w sposób sobie właściwy, zaprosił ją na kolację i oficjalnie poinformował o swoich zamiarach.

„Sporządziłem listę najbardziej atrakcyjnych dziewczyn w Polsce – powiedział – i cóż, trudno ukryć – jesteś na pierwszym miejscu! Będziemy idealną parą – przekonywał. – No, nie patrz na mnie z takim wstrętem – żartował”<sup>46</sup>.

Hoff uległa perswazji, pobrali się w 1958 roku w Katowicach. Był to ślub kościelny, Tyrmand przeszedł już wcześniej na katolicyzm. I chociaż nigdy nie zachowywał się jak neofita, to jednak demonstracyjnie nosił krzyżyk na szyi.

Barbara i Leopold zamieszkali na eleganckim strychu kamienicy przy ulicy Dobrej, odkupionym od Kazimierza Rudzkiego. Aktor chciał go oddać w „dobre ręce” i najwyraźniej nie potrafił gniewać się zbyt długo na Tyrmanda. Lolo uwielbiał bowiem

dręczyć bliźnich, a jedną z jego ofiar był właśnie Rudzki, któremu przez dwa lata wysyłał anonimowe listy:

„Nasz Kaziczek coraz bardziej do Ciebie podobniejszy, przyślij alimenty za lipiec, bo chcę pojechać z dzieckiem nad morze”<sup>47</sup>.

Po latach Hoff uznała swój związek z Tyrmandem za bardzo udany. Partner fascynował ją swoją osobowością, mieli też podobne zainteresowania. Nie podzielała jednak jego sportowych pasji, a szczególnie upodobania do gry w tenisa.

Leopold okazał się bardzo troskliwym mężem, zapewne nawet uratował jej życie, gdy poważnie zachorowała na płuca. Lekarze zalecili jej pobyt w ciepłym klimacie, wobec czego mąż załatwił jej wyjazd do Izraela. Mieszkała tam bowiem jego matka (ojciec zginął podczas wojny na Majdanku), która na prośbę syna zaprosiła Barbarę do siebie. Kilka miesięcy spędzonych na Bliskim Wschodzie przyniosło zbawienne skutki dla jej zdrowia, nigdy natomiast nie potrafiła zrozumieć swojej teściowej. A na pewno już jej wyzwolonych poglądów.

„[...] była szalenie sympatyczna, bezpośrednia, pogodna i beztroska, co właśnie – jak podkreślała – pozwoliło jej przeżyć Holocaust. Była inteligentna, ale – trudno ukryć – powierzchowna, pusta. Interesowała się wyłącznie własnym wyglądem, strojem, powodzeniem i życiem towarzyskim. Godzinami plotkowała przez telefon ze swoimi przyjaciółkami, opowiadając, kogo dziś spotkała, na kim zrobiła wrażenie, jaki sobie kupiła kapelusz itd. I choć Barbara Hoff była żoną jej syna, nieustająco ją z kimś poznawała, a raczej usiłowała. Ten i tamten znów o ciebie pytał, najwyraźniej wpadłś mu w oko – mówiła – może cię z nim umówię? No i co z tego, że jesteś żoną Leopolda, nie bądź taka zasadnicza!”<sup>48</sup>.

Tyrmand okazywał żonie dużo przywiązania, co nieco dziwiło jego przyjaciół pamiętających kawalerskie lata pisarza. Być może zatem rację miał Tadeusz Konwicki, uważając, że Leopold wprawdzie lubił pozować na playboya, ale w rzeczywistości zawsze szukał kobiety, na której mógłby się oprzeć, gdyby dopadł go kryzys.

„[...] czasem, w osobliwych chwilach napięcia albo raptownej depresji, w krótkich momentach zagubienia się Leopold nagle pokazywał się taki, jaki mógł być naprawdę: sentymentalny, poczciwy, trochę bezbronny, mocno naiwny, potrzebujący obecności i ciepła drugiego człowieka. Jawił się po prostu taki, jakimi byliśmy wszyscy, jeśli nam odejmowano nasze lęki, urazy, kompleksy, a zatem agresję wobec znienawidzonego świata, nonszalancję pokrywającą niepewność wynikłą ze strasznych doświadczeń, szyderstwo, które jest dzieckiem bezradności”<sup>49</sup>.

## DROGA W DÓŁ

Odwilż w Polsce nie trwała długo, Gomułka mocno uchwycił władzę i kontestatorzy nie byli mu już potrzebni. Przekonał się o tym boleśnie Marek Hłasko, podobny los miał spotkać również Tyrmanda. Pisarz przez długi czas nie dostrzegął jednak niebezpieczeństwa, zapewne uwierzył, że „socjalizm z ludzką twarzą” będzie

trwał bez końca. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że jego mieszkanie było na podsłuchu – w rozmowach z żoną twierdził, że jest to niemożliwe.

Był przekonany o swojej bezkarności, utwierdzał go w tym zresztą fakt, iż publicznie wypowiadał wyjątkowo krytyczne opinie na temat władz i nie spotykały go żadne szykany.

„On mówił takie rzeczy – opowiadała Barbara Hoff – że ludzie chowali się pod stolik [...] bali się, że będą mieli przykrości, że słuchali, a nie donieśli. [...] Byli nawet tacy, którzy myśleli, że on jest prowokatorem, bo gadał takie rzeczy głośno, [dziwili się], że nie boi się tak mówić”<sup>50</sup>.

Szczególnie irytował Tyrmanda brak możliwości wyjazdów zagranicznych. Prawo do posiadania paszportu i podróży po świecie uważał za podstawowy warunek normalnego życia, za coś przypisanego każdemu człowiekowi. Publicznie złorzeczył na odmowy wydania mu paszportu, irytowały go również absurdy codziennego życia. W ogóle nie zdawał sobie sprawy z faktu, że komuniści traktowali go jak wentyl bezpieczeństwa dla środowiska literackiego. Publicznie przecież krytykował rządzących krajem i nikt z tego powodu nie sprawiał mu kłopotów. Ale partyjni decydenci nie zwykli zapominać o swoich przeciwnikach, o czym pisarz miał niebawem się przekonać.

Nie zapomniano mu również artykułu opublikowanego w tygodniku „Świat”, gdzie zaatakował Bolesława Piaseckiego, sugerując, że głównym celem jego działalności jest zniszczenie polskiego Kościoła. Przy okazji wyciągnął prawicową przeszłość przewodniczącego PAX-u, co dla władz było wyjątkowo niewygodne.

Pisarz miał przeciwko sobie również większość środowiska literackiego. Irytował „burżuazyjnym stylem życia”, zazdrozczono mu popularności, mieszkania i samochodu. Szczególnie stało się to widoczne, gdy z Wielkiej Brytanii (ostatecznie wydano mu paszport) przywiózł reprezentacyjnego opla rekorda, co w tych czasach stanowiło wyrafinowany luksus. Za złe miano mu również zażyłe kontakty towarzyskie z pracownikami zachodnich ambasad.

Władze uznały wreszcie, że nadszedł czas działania i rozpoczęto marginalizowanie Tyrmanda. Nie pojawiały się wznowienia jego książek (łącznie ze *Złym*), odrzucono projekt ekranizacji *Niedzieli w Stavanger*. Cenzura ingerowała w treść jego nowych utworów, blokowano ich publikacje, po długich bojach ukazała się w ograniczonym nakładzie tylko powieść *Filip*. Natomiast *Siedem dalekich rejsów* zatrzymano już po wydrukowaniu (!), zarzucając pisarzowi szereg „pornografii i popieranie inicjatywy prywatnej”.

W 1961 roku Tyrmand podpisał umowę na powieść *Życie towarzyskie i uczuciowe*, zamierzając przedstawić warszawskie środowisko artystyczne. Plan zrealizował, pod fikcyjnymi nazwiskami ukrył autentyczne osoby, jednak można je było rozszyfrować bez problemów. Szczególnie dostało się Irenie Krzywickiej prowadzącej wówczas salon literacki, do którego zresztą Tyrmand nie był zapraszany. Fragmenty powieści opublikowano na łamach tygodnika „Kultura” i wybuchł głośny skandal.

Pisarzowi nie układało się również życie osobiste. Wprawdzie Barbara twierdziła, że w tym czasie inne kobiety specjalnie go nie interesowały, ale nie było to prawdą. Z dokumentów IPN<sup>51</sup> wynika, że utrzymywał wówczas zażyłe kontakty



z młodszą o 12 lat Hanną Reiff, żoną reżysera radiowego. Barbara zresztą przyznawała, że w tym czasie ich „małżeństwo zaczęło już rozłazić się w szwach”.

W 1962 roku Tyrmandów dotknęła tragedia, w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach stracił życie ojciec Barbary, znany katowicki prawnik.

„W początkach lat 60. władze postanowiły zastraszyć adwokatów – opowiadała Hoff – a zwłaszcza tych z przedwojennym stażem, niezależnych. Organizowały pokazowe procesy, żeby spacyfikować nastroje społeczne. Tatuś był adwokatem cywilnym, z reguły nie bronił w sprawach karnych, ale parę razy się zgodził występować w nich. Bronił m.in. jednego z dyrektorów kopalni, w której doszło do wybuchu gazu. Władze śrubowały normy wydobywania, a gdy doszło do katastrofy, to kozłem ofiarnym miał być jeden z jej dyrektorów. Tatuś bronił swojego klienta pazurami i wybronił, choć przed procesem dobrze poinformowani mówili w kuluarach sądu, że ma dostać karę śmierci. Tatuś był nieostrożny, słuchał zachodnich radiostacji i się z tym nie krył, mówił to, co myśli. W końcu trafił na czarną listę SB w Katowicach. Ktoś go ostrzegł, że powołano ubecki zespół, który miał coś na niego znaleźć”<sup>52</sup>.

Przeciwko Hoffowi wszczęto postępowanie karne, nie informując go jednak o stawianych zarzutach. Zdesperowany adwokat szukał pomocy u zięcia.

„[...] Hoff przyjechał do Warszawy w dniu 28 stycznia – pisano w notatce SB – powiadamiając zięcia, że od trzech tygodni toczy się przeciwko niemu dochodzenie, ale nie bardzo wie, o co jest podejrzany, gdyż przeprowadzona [...] kontrola nie wykazała żadnych nieścistości. Tyrmand w sprawie swego teścia rozmawiał z posłem na Sejm PRL Stefanem Kisielewskim, który skierował go do Konstantego Łubieńskiego (poseł na Sejm PRL)”<sup>53</sup>.

Teść odwiedził Tyrmanda po raz drugi kilkanaście dni później, informując, że „sprawa przyschła”. Pisarz podobno odgrażał się, iż znajdzie sposób na prokuratora prowadzącego sprawę, który „odegrał w tym nieprzeciętną rolę”. Nie zdążył jednak, dziesięć dni później Hoff został aresztowany, a po dwóch dniach zawiadomiono rodzinę, że prawnik powiesił się w celi. Miał targnąć się na życie za pomocą liny zrobionej z kawałków własnej koszuli, co okazało się nieprawdą, gdyż na zwłokach wciąż było ubranie, w którym zabrano go do więzienia. Zresztą powieszenie się na wysoko umieszczonych kratkach było dla sędziwego mężczyzny po ataku serca niemożliwe do realizacji.

Rok po śmierci Hoffa wycofano z kin film Jana Rybkowskiego *Naprawdę wczoraj* (na podstawie *Siedmiu dalekich rejsów*), pisarza poinformowano również, że *Życie towarzyskie i uczuciowe* nigdy się nie ukáže. Tyrmand zrozumiał, że w Polsce nic już więcej nie opublikuje, obawiał się zresztą, że może podzielić los teścia.

## EMIGRACJA

Władze nie dążyły jednak do konfrontacji, kilka lat wcześniej pozbyto się z kraju Hłaski, a teraz podobną metodę zastosowano wobec Tyrmanda. Wydano mu paszport,

mając nadzieję, że wyjedzie i więcej już nie powróci. Podobne życzenia wyrażało wielu jego kolegów pisarzy, nad którymi Tyrmand uwielbiał się znęcać.

„Postanowił wyjechać, a ja uważam, że to była bardzo mądra decyzja – tłumaczyła Barbara Hoff. – Tu się dusił, życie mijało i nikt nie mógł przewidzieć, co będzie dalej. Byli ludzie, którzy kładli się trupem, by jego książki nie mogły wychodzić, skazano go na śmierć przez zapomnienie, a on nie mógł się bronić. Żył z dojmującym poczuciem krzywdy, które nie opuszczało go nigdy, cierpiał na bezsenność”<sup>54</sup>.

Leopold opuścił kraj swoim oplem w marcu 1965 roku. Przez kilka miesięcy podróżował (miał na koncie parę tysięcy dolarów za zachodnie przekłady *Złego*), odwiedził w Izraelu matkę, nawiązał kontakty z Jerzym Giedroyciem. Po kilku miesiącach uznał, że jego powrót jest niemożliwy i odesłał żonie wyremontowany samochód. W styczniu 1966 roku znalazł się w USA, niebawem też przez prawników przeprowadził rozwód.

„Tu w Warszawie rozstanie mogłoby być bolesne – mówiła Hoff – ale on zachował się tak, że nie musiałam mieć uczucia porzuconej żony. To zawsze powinno odbywać się właśnie tak. Ludzie, którzy się rozchodzą, zaczynają po prostu żyć w innych krajach”<sup>55</sup>.

W 1967 roku w Paryżu ukazało się *Życie towarzyskie i uczuciowe*, pisarz publikował też regularnie na łamach „Kultury”. Wkrótce jednak pokłócił się z Giedroyciem, pan Leopold miał przecież trudny charakter i współpraca z nim nie była łatwa. Zarzucił Giedroyciowi zbyt kompromisową postawę wobec komunistów (!), na co ten reagował oburzeniem:

„[...] uważa Pan, że postępowanie Gomułki przekreśla cały wielowiekowy dorobek czy historię Polski. Z Pana oświadczenia wynika identyfikowanie reżimu ze społeczeństwem, co jest, łagodnie mówiąc, nieścisle. [...] Pana gest zawisa dosyć w próżni. Nie sądzę, by było celowe ogłaszanie go w »Kulturze«”<sup>56</sup>.

Giedroyc uważał również, że Tyrmand zbyt agresywnie lansuje własną osobę, współpracę ostatecznie zerwano, a szef „Kultury” poradził pisarzowi, aby „poszedł do psychoanalityka” i na poważnie „wziął się do swojej chorej wyobraźni i kompleksów”...

Poczynania pisarza pilnie obserwowała Służba Bezpieczeństwa. Elżbietę Czyżewską po powrocie z USA wezwano na przesłuchanie, wiadano bowiem, że w Nowym Jorku kontaktowała się z Leopoldem.

„[...] co do źródeł utrzymania Tyrmanda – zeznawała aktorka – to sądzę, że stanowią je honoraria autorskie. Na podstawie osobistych obserwacji wnioskuję, że Tyrmand nie należy do ludzi dobrze sytuowanych. Zamieszkuje w dzielnicy dla średniozamożnych, adresu nie znam. Z przyjaciół jego jest mi znana niewiasta o nazwisku Beverly de Lucia, która jest z zawodu krytykiem teatralnym”<sup>57</sup>.

## „THE NEW YORKER”

Tyrmand zawsze miał szczęście do kobiet, a poznanie Beverly de Lucii było dla

niego prawdziwym darem niebios. Dziewczyna pracowała w tygodniku „Time”, to właśnie jej zawdzięczał kontakty w świecie amerykańskich mediów, ona też redagowała jego pierwsze teksty w języku angielskim. Tyrmand posiadał zresztą nieprawdopodobne zdolności lingwistyczne, już kilka tygodni po przybyciu do USA prowadził notatki po angielsku. Uznał, że skoro ma zamiar zostać tam na stałe, to musi dobrze poznać język. I cel osiągnął, chociaż do końca życia mówił z silnym akcentem.

W listopadzie 1967 roku konserwatywny i wpływowy tygodnik „The New Yorker” zamieścił pierwszy tekst Tyrmanda, *Dziennik amerykański*. Leopold znalazł się w gronie takich sław jak: Truman Capote, John Updike, Isaac Singer, Władimir Nabokow czy Borys Pasternak.

W następnych latach na łamach pisma pojawiły się jeszcze cztery eseje Tyrmanda (ukazały się później jako *Zapiski dyletanta*), a jego publikacje spotkały się z dużym uznaniem czytelników. Nagle niemal wszyscy chcieli poznać tego nieznanego pisarza, pytano o jego wcześniejsze dokonania. Na amerykańskich uniwersytetach wykorzystywano publikacje z „The New Yorkera” podczas wykładów, Tyrmand zapraszano do programów telewizyjnych. Publikował również w czasopiśmie: „Interplay”, „Reporter” i „The New Leader”, stał się osobą popularną i rozpoznawalną.

„Mnie już nie obchodzi Warszawa i tamtejsza socjeta – mówił Tadeuszowi Konwickiemu podczas spotkania w 1973 roku. – Zerwałem wszystkie więzy i nie chce mi się wracać tam nawet myślami. Jestem Amerykaninem, dobrze się czuję w Ameryce i teraz właśnie ukończyłem pierwszą swoją książkę napisaną po amerykańsku”<sup>58</sup>.

Dobrze rozwijająca się kariera uległa nagłemu załamaniu, gdy redakcja „The New Yorkera” odrzuciła esej *Cywilizacja komunizmu*. Uznano bowiem, że czytelnicy pisma uznają tekst za zbyt radykalny w krytyce komunizmu, a redakcja „The New Yorkera” z założenia była apolityczna. Możliwe jednak, że zadecydowały o tym także zupełnie inne sprawy.

„Miał doskonałe przyjęcie – wspominała działaczka emigracyjna Zofia Korbońska – po czym odmówił napisania do »New York Timesa« [»The New Yorkera«? – S.K.] takiego jasnego stwierdzenia, że w Polsce panuje jaskrawy antysemityzm. W tym momencie Leopold Tyrmand skończył się jako gwiazda na gruncie amerykańskim”<sup>59</sup>.

## ROCKFORD

Tyrmand z dnia na dzień wypadł z głównego nurtu miejscowego dziennikarstwa. Pozostawiony sam sobie bez skutku usiłował stworzyć opiniotwórcze czasopismo polsko-amerykańskie, nie powiodła mu się również próba zainteresowania wydawców powieścią moralistyczną, którą zamierzał napisać.

Był już wówczas po raz trzeci żonaty, w 1971 roku poślubił swoją wielbicielkę, Mary Ellen Fox, doktorantkę iberystyki z Uniwersytetu w Yale. Żona i jej rodzina pomogli przetrwać mu ciężkie chwile, jedynymi śladami jego ówczesnej aktywności

wydawniczej są publikacja na łamach londyńskich „Wiadomości” *Dziennika* 1954 i pierwsze polskie wydanie (nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej) *Siedmiu dalekich rejsów*.

O jego dalszych losach zdecydowała publikacja eseju *The Media Shangri-La* (*Bajkowy raj mass mediów*) na łamach „The American Scholar”. Z Tyrmandem skontaktował się były rektor college’u z Rockford w stanie Illinois, John A. Howard. Poszukiwał publicystów o konserwatywnych poglądach do „bardzo poważnego, literackiego” periodyku mającego być przeciwwagą dla „organów liberalnej kultury”. Tyrmand przyjął jego propozycję i wraz z żoną przeprowadził się do Illinois. Objął tam stanowisko wiceprezesa Rockford College Institute, a rok później rozpoczął wydawanie konserwatywnego pisma „The Chronicles of Culture”.

„Zaczynała się era Reagana – wspominał Aaron D. Wolf, ówczesny redaktor »Chronicles« – i redagowane przez Tyrmanda »Kroniki Kultury« wpływały znacząco na intelektualistów konserwatywnych, którzy jak Tyrmand chcieli promować tradycyjne wartości”<sup>60</sup>.

Tyrmand był konsekwentny, jego poglądy ewoluowały, szczerze uwierzył w konserwatywne wartości. Dla ludzi znających go z kraju musiało to być ogromnym zaskoczeniem.

„Dziennik »Washington Post« – mówił dziennikarz Henryk Dasko – który Tyrmand w Polsce uważał za ucieleśnienie tego, co w demokratycznej prasie najlepsze, teraz stał się dla niego siedliskiem sowieckich wtyczek. [...] Micka Jaggera, solistę grupy Rolling Stones, którym zachwycił się w Polsce, oraz pisarza Gore Vidala uważał za osobników równie zezwierzęconych co masowi mordercy – Charles Manson i pastor James Jones ze Świątyni Ludu w Gujanie. O homoseksualistach wyrażał się per dewianci i inwertyci, twierdząc, że cierpią na rodzaj choroby [...]. Pisarz, który z autentyczną miłością opisywał oglądane w zaplutyh salkach warszawskich kin hollywoodzkie filmy lat dwudziestych i trzydziestych, w USA uznał współczesny Hollywood za jaskinię zła”<sup>61</sup>.

Wpływ na to zapewne miała również jego sytuacja osobista. Żona pochodziła z tradycyjnej rodziny i pod jej wpływem powrócił do judaizmu. Doczekał się bliźnięt (Rebecca i Matthew), a późne ojcostwo wywarło ogromny wpływ na jego poglądy. Poczł się pełnoprawnym publicystą amerykańskim i obywatelem Stanów Zjednoczonych, a w skrajnym konserwatyźmie widział obronę kraju przed zagrożeniami. I akceptował wszelkie odmienności kulturowe.

„Nigdy nie było większego amerykańskiego patrioty od Leopolda Tyrmanda – mówił John A. Howard. – I sędę, że był tak skoncentrowany na działaniu na rzecz Ameryki, że łatwo mu było zostawić całe minione życie za sobą. On naprawdę kochał ten kraj, a nie znosił jego nieprzyjaciół”<sup>62</sup>.

Leopold Tyrmand zmarł na atak serca na Florydzie w marcu 1985 roku, podczas swoich pierwszych od lat wakacji. Pochowano go na cmentarzu Wellwood w Pinelawn na Long Island.

Kilka lat później Agnieszka Osiecka chciała odwiedzić jego grób i skontaktowała się w tym celu z wdową po pisarzu. Od Mary Ellen usłyszała, że nie zna ona dokładnie

lokalizacji grobu męża i zaproponowała, żeby poetka zapytała Elżbietę Czyżewską.

„Są w naszych kulturach ogromne różnice za życia – mówiła Osiecka – więc odmienne jest także podejście do śmierci. Wytłumaczono mi, że nie w każdym kręgu nowojorczyków kultywowane jest odwiedzanie grobów”<sup>63</sup>.



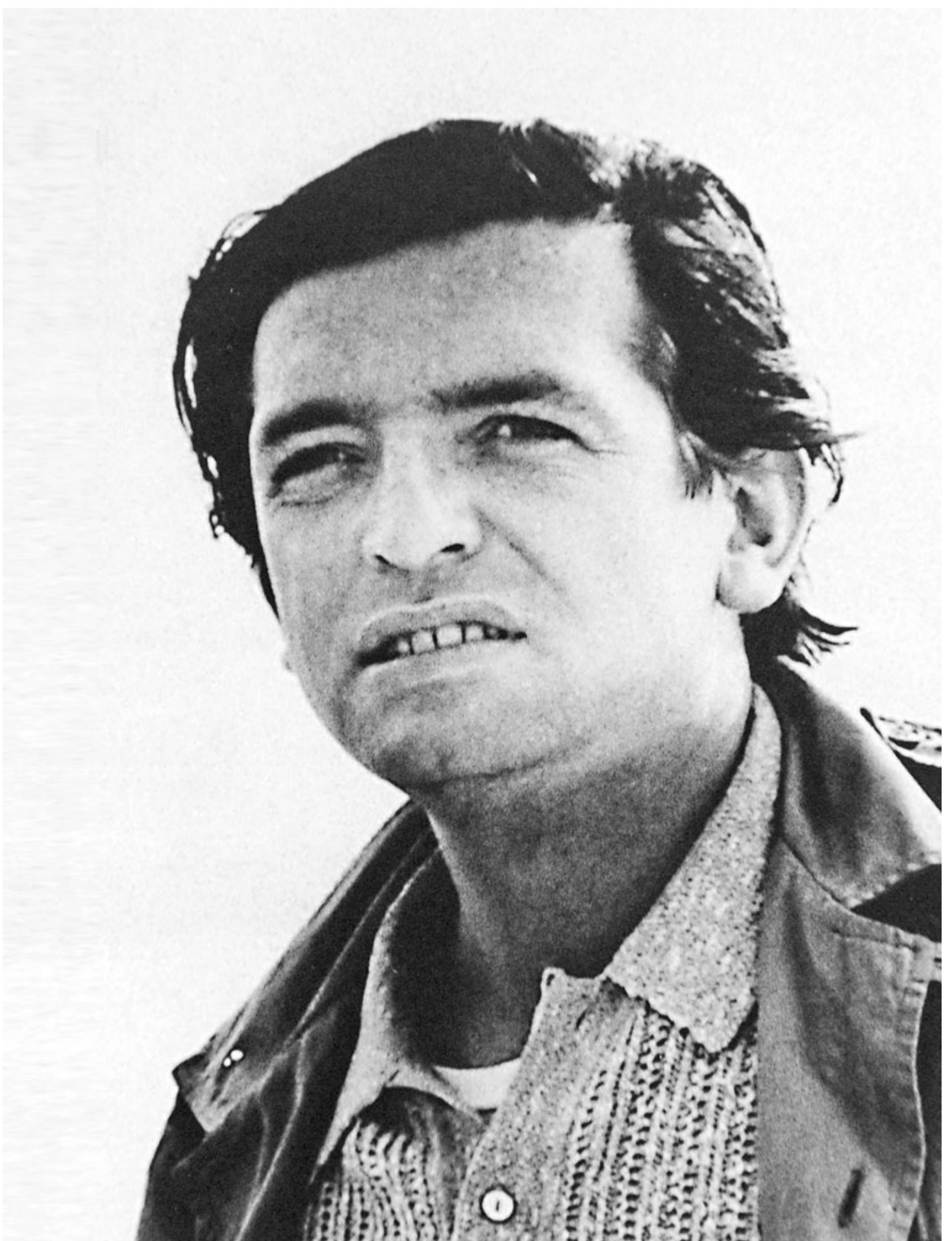


# Rozdział 4

## Król życia



**„Wojciech Frykowski uważał pośpiech za znak złego smaku. Drażniło go i budziło odrazę podobieństwo ludzi do mrówek i pszczoł. Tych nie znosił. Kiedyś nad ranem wracał z libacji na dachu triumpha, krzycząc do idących dziewcząt: »Robotnice łódzkie! Dlaczego tak rano wstajecie?«”.**  
(Krzysztof Kąkolewski)



**K**tóregoś dnia Agnieszka [Osiecka] zagadnęła mnie: »Co ty tak ciągle o tym Frykowskim opowiadasz?« – wspominał Wojciech Solarz. – Zacząłem o nim mówić: jaki to jest łobuz, jak on wódkę popija, jak traktuje kobiety, że z jednej strony jest genialnym kierowcą rajdowym, a z drugiej potwornym leniem. Ona słuchała, aż powiedziała: »To ja go muszę poznać«. Dałem jej jego adres i telefon. I stała się rzecz straszna. Pięć, sześć tygodni później dostałem pocztówkę z Kazimierza: »Tu jest cudownie, całujemy serdecznie – Agnieszka i Wojtek«<sup>1</sup>.

Wojciech Frykowski był jedną z największych legend PRL, człowiekiem przewijającym się przez niemal wszystkie wspomnienia z tego okresu. Postać niezwykle malownicza, osobnik obdarzony ogromną fantazją i zawsze dysponujący dużą gotówką. A do tego nigdy nie żałował jej dla przyjaciół i znajomych.

## JAN FRYKOWSKI

„Ojciec Wojciecha urodził się na milionera – pisał Krzysztof Kąkolewski – i był nim. Cokolwiek zobaczył, stawało się towarem. Pieniądze – mówiono – ścigają go nieustannie, prześladują. Miał talent posiadania, ale uważał się za człowieka pracy, który pracuje w pieniądzu”<sup>2</sup>.

Jan Frykowski pochodził z Poznania, przed wojną zajmował się drobnymi interesami, a budowę swojego imperium rozpoczął w latach okupacji. Największe sukcesy osiągnął jednak już w czasach Polski Ludowej.

Tuż po wojnie założył firmy na Pomorzu, w Wielkopolsce i Łodzi, specjalizował się w transporcie oraz produkcji wyrobów chemicznych i tekstylnych. Gdy komuniści ograniczyli działalność prywatnych przedsiębiorców, Frykowski przeniósł się do podziemia gospodarczego i nadal znakomicie prosperował.

„Stworzył [...], jak ją nazywano, organizację zaufania, w której mieli etaty i pełnili funkcje członkowie jego rodziny i przyjaciele. Była to organizacja patriarchalna, feudalna, ale podobna w strukturze do kapitalistycznego koncernu. Wszystko opierało się na autorytecie i zaufaniu do szefa, który był zarazem patriarchą, opiekunem, a wymagał tylko nieustannej gotowości na rozkazy i mobilności, na przykład jeden z członków brał wielkie pieniądze za to, że jest na posadzie państwowej: służył na wypadek, gdyby potrzebny był człowiek pracy. [...] Jak mówi się, miał własne

zasoby dolarowe, bank podziemny, który był tak potężny, że jego decyzje kupna i sprzedaży walut miały wpływ na notowania rynku czarnogiełdowego w Polsce. Jego agenci skupu dolarów przemierzali cały kraj. Jedna z kurierek przewoziła dolary w beciku swojego rocznego synka. Gdy stworzył koncern – pokochał go. I oni kochali go nie jak krewnego, ale jak ojca, opiekuna, który kierował ich krokami”<sup>3</sup>.

Zorganizował system wzajemnych powiązań, sieć niejawnych znajomości i zależności, dzięki czemu zawsze wiedział, kogo i kiedy należy skorumpować. W jego chustach i krawatach nie tylko „chodziła cała Polska”, produkował je również na eksport. Wprawdzie mówiono, iż „jego dramatem było, że aby choć w części być sobą, robić interesy, musiał łamać prawo”, to jednak potrafił znakomicie wykorzystywać sytuację. Były to przecież czasy socjalistycznej gospodarki niedoboru i nie istniała konkurencja.

„Z natury rzeczy taki człowiek jak mój ojciec był wrogiem klasowym – wspominał Jerzy Frykowski, brat Wojtka. – Miał przeciwko sobie Państwową Izbę Handlową, inspekcje kontrolno-rewizyjne, izby skarbowe, komisje specjalne do walki ze spekulacją. Wszystkich trzeba było przekupywać. Straszło widmo obozu pracy dla spekulantów w Mielęcinie”<sup>4</sup>.

Rodzinie jednak znakomicie się powodziło, do dyspozycji było zawsze kilka samochodów, a synowie chodzili do renomowanych szkół. Ojciec przygotowywał ich do przejęcia rodzinnego interesu, poniósł jednak spektakularną porażkę wychowawczą. Jerzy zamiast studiować chemię, wybrał prawo (obecnie jest producentem filmowym), a Maciej ukończył socjologię (zamiast szkoły handlowej). Tylko Wojciech początkowo nie zawodził, ukończył studia na Politechnice Łódzkiej, niebawem okazało się jednak, że on również nie spełni oczekiwań ojca. Bardziej odpowiadało mu „towarzystwo »chuliganów« i studentów szkoły filmowej”, a swoje kontakty z naukami technicznymi ograniczył do udziału w imprezach organizowanych przez studentów politechniki. Związał się wówczas z „polską Brigitte Bardot”, późniejszą modelką, Ewą Morelle.

## EWA

Dziewczyna była wówczas w drugiej klasie liceum. Poznali się w bardzo romantycznych okolicznościach., Frykowski pojawił się przed nią w roli rycerza broniącego damy przed bandytami.

„[...] została otoczona przez chuliganów – relacjonował Kąkolewski – którzy zaczęli zdzierać jej sukienkę i szarpać za włosy. W tej chwili usłyszała pisk opon, na chodnik wjechał samochód amerykańskiej marki, roztrącając bandę. Z wozu wyskoczył barczysty młody chłopak, który straszliwym ciosem rzucił jednego chuligana na ziemię, a drugiego kopniakiem złożył na dwie połowy, po czym jak księżę, z rykiem silnika, zarzucając potężnym wozem, uwiózł ocaloną”<sup>5</sup>.

Ewa zakochała się w barczystym i wysportowanym młodzieńcu. Wprawdzie Frykowski miał już opinię playboya i lekkoducha, to jednak uznała, że będzie dla niej



tym jedynym. Gdy zaszła w ciążę, pobrali się, a ich ślub w łódzkiej katedrze był znaczącym wydarzeniem towarzyskim.

Młoda pani Frykowska szybko się jednak przekonała, że życie u boku takiego męża nie będzie łatwe. Zaraz po ślubie „Wojtek od razu uciekł gdzieś”, a potem nie było wcale lepiej. Na domiar złego Frykowski okazał się damskim bokserem.

„Spotkałem ich pierwszy raz razem na koncercie jazzowym w Filharmonii – opowiadał Henryk Kluba. – Piękną Ewę w czasie koncertu Wojtek, delikatnie mówiąc, karciał, a dokładniej tłukł ją”<sup>6</sup>.

To nie był wyjątek, Wojtek był bowiem chorobliwie zazdrosny i potrafił pobić żonę za taniec z innym mężczyzną czy też uśmiech posłany nieznanemu. Problem stanowiły również stosunki z teściową.

„Matka Wojtka podejrzewała mnie – opowiadała Ewa – że żyję z jego braćmi, z jej mężem, że widzę w nich jak kurwa oddział wojska, jak nauczycielka klasę, a ja widziałam w nich Wojtka, tylko doskonalszego”<sup>7</sup>.

Obracali się w łódzkim środowisku artystycznym, Wojtek uwielbiał przesiadywać w kawiarni Honoratka w gronie studentów szkoły filmowej. Często widywano go w towarzystwie Romana Polańskiego, którego poznał na balu gałganiarzy.

„Nie wpuściłem go wtedy – wspominał reżyser – lubił rozrabiać, poza tym nie miał zaproszenia. Omal nie doszło do mordobicia, lecz później, gdy spotkałem go w jakimś barze na mieście, wystąpił z kieliszkiem wódki. Tak się zaczęła nasza długotrwała przyjaźń”<sup>8</sup>.

Polańskiemu Frykowski imponował, był zamożny, przystojny i wysportowany. Wieczorami paradował po Piotrkowskiej jak udzielny książę, schodzono mu z drogi. Sam nie szukał zaczepki, przyłączał się do rozrób, czasami również stawał w obronie słabszych.

„Wojtek z nosem boksera i lekkim grymasem ust – opowiadał Polański – miał w sobie coś supermęskiego i wyglądał jak wykidajło z nocnego lokalu. Pod powierzchownością brutala kryła się natura łagodna, złote serce graniczące z sentymentalizmem i absolutna lojalność”<sup>9</sup>.

Zażyłość Frykowskiego ze środowiskiem filmowców była tak wielka, że został nawet studentem szkoły filmowej. Jego studiowanie nie trwało jednak zbyt długo, bowiem relegowano go z uczelni za przedstawienie kupionej pracy. Ale świat filmu go zafascynował. Sfinansował (oczywiście za pieniądze ojca) pierwszą powojenną prywatną produkcję w bloku wschodnim. Była to krótkometrażówka Polańskiego *Ssaki*.

## SCENY Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO

Frykowscy zamieszkali na zapleczu manufaktury ojca, skąd Wojtek miał nadzorować produkcję zakładu. Nie był jednak tym specjalnie zainteresowany i bardziej odpowiadała mu rola króla życia towarzyskiego.

Jedna z organizowanych przez niego imprez przeciągnęła się o 10 dni. W tym

czasie przez mieszkanie Frykowskiego „przewinęły się dwie ekipy filmowe oraz tabuny bliższych i dalszych znajomych”. Z powodu ograniczonego metrażu balanga „wylała się” na dach, gdzie jej uczestnicy „zaliczali nowe towary, które sprowadzali z miasta”. Wkrótce u Wojtka pojawiła się „delegacja kobiet” z pobliskiej fabryki protestujących przeciwko „gorszącym scenom na dachu, odciągającym ich mężów od pracy”. Imprezy nie był w stanie przerwać nawet Jan Frykowski, któremu „musiało być nie na rękę”, że „na dziesięć dni stanęła [...] produkcja chusteczek”. Członkowie ekipy filmowej, ponaglani telefonami z wytwórni, jeździli wprawdzie na plan filmowy, „lecz po paru godzinach wracali, solidarnie dostarczając napoje alkoholowe”. W takiej sytuacji Frykowski senior „machnął ręką i odjechał zrezygnowany”.

„Godzinę po jego wyjściu – wspominała Ewa – podjechała taksówka z dwoma kelnerami z Grand Hotelu, którzy wnieśli dwie ogromne tace kanapek z tatarskim i dwa półmiski karpia po żydowsku. Do tego cztery półlitrowki czystej i ze czterdzieści kieliszków. Zamówił to oczywiście mój Małżonek na koszt swojego starego. Tym razem poszedł na całość. Zbuntował się. Nie chciał być inżynierem, a już na pewno nie właścicielem fabryki chustek. Postanowił zostać artystą, ale jeszcze nie zdecydował, jak i kiedy zrealizuje to marzenie”<sup>10</sup>.

Frykowski nie ograniczał się do urządzania hucznych imprez. Regularnie grał hazardowo w karty, a wygrane stanowiły stałą pozycję w jego budżecie.

„Świetnie grał w pokera – przyznawał Andrzej Kostenko. – Wyglądał zawsze na dużo bardziej trąconego alkoholem, niż był w rzeczywistości. Zachowywał pełną koncentrację i wygrywał całkiem spore sumy. Grało się wtedy albo po prywatnych domach z przywaciarzami, albo na zapleczu knajp, Wojtek upodobał sobie nocną knajpę w kinie Włókniarz, otwartą do szóstej nad ranem. Kiedyś trzy dni nie przychodził na zajęcia w Szkole Filmowej, aż pojawił się z zegarkiem, który zastawił jego kolega. Oświadczył: »Ja już ten zegarek siedem razy wygrałem, siedem razy przegrałem, ale na końcu wygrałem«”<sup>11</sup>.

Zamiłowanie do hazardu wykazywał praktycznie przez całe życie, jeszcze w latach 60. rzucał wyzwanie zawodnikom Legii, pokonując ich na dystansie 50 metrów. Długość dwóch basenów przepływał pod wodą, przyznawał jednak, że nie miał już kondycji na dłuższy wyścig. Zakładał się zresztą zawsze i wszędzie.

„Wybierał w restauracji stolik zajęty przez cztery osoby i obstawiał: »Jakie rozwiną się układy męsko-damskie, w którą stronę się kto upije, kto lewoskrętnie, czy będzie łupanina«. Kiedy kiwał się stolik, Wojtek wkładał czasem pod krótszą nogę pięćsetzłotówkę, którą ostentacyjnie składał, zgadując, kto ją porwie, i śledząc reakcje tych, którzy oczekiwali na jego wyjście”<sup>12</sup>.

Wyznawał filozofię „zwisu”, uważał, że zabawa i przyjemności są jedynym celem w życiu. Miało to zastąpić pracę zawodową i wszelkie inne nudne obowiązki.

„Uważał pośpiech za znak złego smaku. Drażniło go i budziło odrazę podobieństwo ludzi do mrówek i pszczoł. Tych nie znosił. Kiedyś nad ranem wracał z libacji na dachu triumpha, krzycząc do idących dziewcząt: »Robotnice łódzkie! Dlaczego tak rano wstajecie?«”<sup>13</sup>.

Miał niezwykle powodzenie u kobiet, decydował o tym nie tylko zasobny portfel,

ale również wolny czas, którym z reguły dysponował.

„[...] mógł zawsze go ofiarować kobiecie – pisał Kąkolewski – towarzyszyć jej wszędzie, nieustannie: do krawcowej, modystki, czekać u fryzjera, opiekować się nią, choćby z nudów – był dobry, doskonaląc w miarę mijania lat swój kunszt, w czasie gdy inni tracili czas na pracę”<sup>14</sup>.

Zawsze dysponował dużą gotówką i potrafił szokować stosunkiem do dóbr materialnych. Gdy pod Chęcunami zatarł silnik swojego forda taurusa, to poprosił o pomoc przypadkowych przechodniów. Razem zepchnęli pojazd do rowu, a Wojtek „zatrzymał jakiś służbowy samochód i kazał się wieźć do Łodzi”.

W Łodzi wszyscy opowiadali o jego imprezach zwanych „wojtkowiskami”. Brały w nich udział „przędki z kawiarni Honoratka”, czyli odwiedzające lokal piękne panie, a drobnomieszczańska moralność mieszała się wtedy z epoką wyzwolonej miłości. Jedną z najśłynniejszych uczestniczek balang Frykowskiego była niejaka „Dziewica Nowo-Orleańska”, której narzeczony wymagał, „żeby do ślubu była dziewicą”. Wobec tego stała się „mistrzynią miłości zwanej u nas francuską”<sup>15</sup>.

## NÓŻ W WODZIE

Frykowski senior miał jednak już dosyć wybryków syna i odbył z nim poważną rozmowę. Zabrał go wraz z Ewą do Warszawy, aby pokazać im kupiony niedawno dworek w Radonicach, a podczas podróży odwoływał się do sumienia Wojtka. Na próżno, w czasie obiadu w Hotelu Europejskim syn „po prostu się urwał”, a w drodze powrotnej Ewa oznajmiła teściowi, że chce rozwodu.

Frykowski zniknął z Hotelu Europejskiego, aby dołączyć do Romana Polańskiego kręcącego na Mazurach *Nóż w wodzie*. Większość akcji rozgrywała się na jeziorze, a Frykowski jako świetny pływak dostał angaż ratownika. Szybko zdobył uznanie członków ekipy filmowej, gdy bowiem „złamał rękę, ci ustalili jednogłośnie w drodze plebiscytu, że »ryzykujemy życie«, ale nie godzimy się na zmianę ratownika”.

Po miesiącu dołączyła do męża Ewa. Z przyczyn kwaterunkowych musiała spać razem z Wojtkiem (w końcu wciąż pozostawali małżeństwem), był to już jednak łabędzi śpiew ich związku. Przez pewien czas małżonek rościł sobie jeszcze pretensje do wyłączności na jej wdzięki, aż wreszcie interweniowali koledzy z ekipy.

„Mogłam pokazywać się, z kim chciałam, nie narażając się na podbite oko. To koledzy wytłumaczyli Mężowi, dla własnej wygody, bo byli mną zainteresowani, że powinien [...] wyzbyć się drobnomieszczańskich nawyków, które dyskwalifikowały go w ich oczach”<sup>16</sup>.

Niebawem orzeczono rozwód, ale Ewa długo jeszcze nie przestała kochać Wojtka. Miała nadzieję, że wrócą do siebie, okazało się to jednak niemożliwe.

„Wciąż nas jednak coś do siebie przyciągało, czasami widywaliśmy się parę razy na dobę. Życie toczyło się w rytmie nieustającej balangi. Żyliśmy zachłannie, jakby za chwilę miał nastąpić jakiś kataklizm lub wybuch III wojny światowej”<sup>17</sup>.

Wyruszyła „w Polskę”, przez pewien czas wędrowała nawet z taborem cygańskim, a potem zamieszkała u Zofii Komedowej. Z Wojtkiem widzieli się jeszcze kilka razy, zapraszał ją nawet na Zachód, ale coraz mniej ich łączyło. Żadne z nich nie zajmowało się małym Bartkiem, który pozostał pod opieką dziadków. Ukrywali przed nim jego pochodzenie, tak że chłopiec w pewnym momencie nawet zapytał, czy jest synem Agnieszki Osieckiej – drugiej żony ojca.

## RADONICE

Gdy Wojtek się rozwodził, jego ojciec po raz kolejny przekonał się, że los biznesmena w kraju komunistycznym bywa czasami niebezpieczny. Kilka lat wcześniej kupił transport kradzionej przędzy i teraz wydano nakaz aresztowania.

„Wojtek poprosił mnie, żebym pomógł przerzucać ojca z miasta do miasta – opowiadał Andrzej Kostenko. – Raz wiozłem go do Sochaczewa, raz gdzieś koło Błonia. To było jak w komedii. Szyfrowany telefon Wojtka, gdzie mam się stawić. W tym miejscu pojawiał się stary Frykowski w kapeluszu i w czarnych okularach słonecznych. Nie odzywał się przez całą drogę. Ja coś opowiadałem, on napominał mnie, że lepiej nie mówić za dużo. Był bardzo przystojny. Góralska uroda, orli nos, amerykańska twarz bez grama tłuszczu, dobrze ubrany, jak nie z Łodzi, ale z Londynu: marynarka w pepitę, płaszcz. Czuło się w nim siłę. Wojtek miał respekt przed ojcem”<sup>18</sup>.

Biznesmen ostatecznie trafił do więzienia, gdzie spędził dwa lata. Zza krat nadzorował interesy, a wolny czas spędzał, wyplatając wiklinowe koszyki. Po przedterminowym zwolnieniu ponownie stanął na czele swojego imperium, postanowił również ostrzec podwładnych, którzy nie dochowali mu lojalności. Scena przypominała filmy o włoskiej mafii:

„Niebawem wydał przyjęcie w Radonicach – relacjonował Mieczysław Jahoda – suto zastawione stoły kazał ustawić w parku przed pałacem, a na polanie otoczonej gazonami wspaniałych róż. Zaproszeni goście dość długo musieli czekać na gospodarza. Mimo objawów gościnności jednak lękali się, jak wypadnie konfrontacja z »szefem«, którego przecież tak łatwo opuścili w trudnej sytuacji. Wreszcie zjawia się ojciec Wojtka z sekatorem w rękę. Jedna po drugiej ścina róże, same główki... W grobowej ciszy słyhać tylko szczęk sekatora... W końcu zwraca się do swoich osłupiałych gości: »I z wami tak będzie, jeżeli jeszcze raz mnie opuścicie w potrzebie...«”<sup>19</sup>.

W tym czasie Wojtek był już związany z Agnieszką Osiecką. Poetka uległa jego urokowi, inna sprawa, że zawsze miała słabość do skandalistów. Jednym z poprzedników Wojtka był przecież Marek Hłasko.

„Wojtek był postacią tak malowniczą – wspominała po latach – że w wielu ludziach, nie tylko we mnie, wzbudzał fascynacje literackie. Posiadał swoisty dar uwodzenia ludzi, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Każdy miał wrażenie, że w chwili poznania Wojtka otwierał się przed nim baśniowy świat kolorowych przygód”<sup>20</sup>.

Pobrali się w Zakopanem latem 1963 roku, a świadkami na ślubie byli Bogumił

Kobiela i Krzysztof Komeda. Pan młody wystąpił w smokingu, do ślubu jechali białym oplem Frykowskiego. Uroczystość miała niecodzienny charakter.

„Do dziś nieraz wzdragam się na myśl o restauracyjnym charakterze tego ślubu – opowiadała Osiecka. – Ten smoking w upalną niedzielę, ten biały opel, to towarzystwo pensjonatowe... Jeszcze dziś czuję jakby zapach sałatki francuskiej. Aż dziw bierze, że kelner nie przyniósł rachunku na ołtarz. Przez cały czas miałam poczucie grzechu. To śmieszne, ale wydawało mi się, że to może sen, że się przerwie...”<sup>21</sup>.

Zamieszkali w Radonicach, które stary Frykowski traktował „jako dobrą lokatę kapitału”. Przyjmowali wielu gości, bywali tam: Dygatowie, Morgensternowie, Cybulski, Kobiela, Skolimowski, Czyżewska. Na ich cześć urządzano huczne zabawy zwane „frykowiskami”, pod tym względem na Wojtka zawsze można było liczyć.

Frykowski miał jednak artystyczne aspiracje, podobno „w środku zżerała go ambicja”. Marzył o karierze scenarzysty, w Radonicach z pomocą żony napisał nawet scenariusz. Dostał zaproszenie na rozmowy od jednej z wytwórni, ale skończyło się jak zwykle w jego przypadku. Wystarczyło, że tego dnia padał deszcz, a postój taksówek był pusty, aby Wojtek zrezygnował ze spotkania.

Okazał się również fatalnym gospodarzem. Poleciał rozpędzić własne stado owiec (irytowało go ich beczenie), drażniły go również pszczoły z pobliskich uli. Na koniec zwolnił zarządcę majątku zanudzającego go przyziemnymi sprawami. Osiecka również nie mogła się tam odnaleźć:

„Latem w Radonicach, kiedy był Bartek [syn Frykowskiego z pierwszego małżeństwa – S.K.] i pies – zaczynałam się przyzwyczajać. Słońce. Twaróg. Sen. Ale kiedy spotykałam dawnych kolegów, ogarniało mnie przerażenie. Krępowałam się tego, w jakiej sztuce gram. Może aż nadto. Ta rodzina naprawdę się kochała [...]. Pojawiały się koło mnie jakieś (jego) ciotki i babki, i służąca, i »mama« i »tata«, i ich sprawy tajemnicze, w które wprowadzali mnie z naiwną prostodusznością, a ja czułam się obok, całkiem obok tego wszystkiego, i całkiem przypadkiem”<sup>22</sup>.

Obyczaj Frykowskich były jej obce, ona, córka artysty, poetka z inteligenckiej rodziny nie potrafiła zrozumieć interesów teścia i nienormalnego świata gospodarki PRL. Pomimo to usiłowała tworzyć, w Radonicach powstały teksty do spektaklu *Niech no tylko zakwitną jabłonie*. Małżeństwo z Frykowskim układało się jednak coraz gorzej, Wojtek okazywał pogardę dla jej pracy i regularnie nadużywał alkoholu. Irytował żonę swoją „pijacką mitomanią”, w efekcie niedzielne przedpołudnia często upływały „na płacziwym kacu”. Bywał zazdrosny o swoich poprzedników, ale przywłaszczył sobie kozuch otrzymany przez żonę od Hłaski. Kiedy jednak po kolejnej awanturze (tym razem o Andrzeja Jareckiego) Agnieszka musiała uciekać z pędzącego samochodu, to zdecydowała się na rozwód.

Po jej odejściu Frykowskiemu nudziło się jeszcze bardziej. Nie nadawał się na „pana na włościach”, a narzędzia „bardziej skomplikowane od łopaty określał – »ta rzecz«, udając, że nie może spamiętać nazw”. Zapłacił za doprowadzenie do dworu specjalnej linii telefonicznej, a potem wydawał ogromne sumy na rachunki. To jednak nie pomogło mu zwalczyć nudy, tym bardziej że z nieukrywaną zazdrością obserwował początki kariery Romana Polańskiego na Zachodzie. I sam też postanowił opuścić



## ABIGAIL

Właściwie nie wiadomo, co dokładnie planował Frykowski. Chciał współpracować z Polańskim? Jeżeli tak, to w jaki sposób? A może po prostu pragnął coś zmienić i zabić nudę dostatniego życia? W Polsce miał praktycznie wszystko, Zachód zaś stanowił dla niego wyzwanie. Niebawem okazało się jednak, że będzie skazany niemal wyłącznie na samego siebie, imperium Frykowskich runęło bowiem kilka miesięcy później, gdy w wypadku samochodowym zginął jego ojciec.

Wojtek miał ponad 30 lat i nie przypominał już sprawnego, przystojnego młodzieńca. Hulaszcze życie pozostawiło na nim ślady.

„Wysportowana sylwetka zmieniała się w rozlazłe ciało – opisywała Ewa byłego męża. – Twarz miał czerwoną i spuchniętą. Psychicznie rozpadał się w strzępy. Na kacu potrafił szlochać. Byłam jedynym świadkiem jego mazgajstwa, w które nikt by nie uwierzył. Upijał się pod pretekstem urojonego nieszczęścia. Chętnie wcielał się w romantycznych bohaterów książek Hemingwaya, Faulknera czy Fitzgeralda, fascynowało go też skandaliczne życie Hłaski”<sup>23</sup>.

Na początku trafił do Francji, w Marsylii przez pewien czas towarzyszył Hłasce. Żaden z nich nie miał pieniędzy, snuli zatem plany zaciągnięcia się do Legii Cudzoziemskiej. Ostatecznie jednak Marek grzecznie powrócił do zamożnej żony, natomiast Frykowski wybrał się za Atlantyki. W Nowym Jorku dopisało mu szczęście.

„Jeśli, jak mówili piewcy losów Wojtka – pisał Kąkolewski – wyobrażał on sobie wszechświat na obraz i podobieństwo gigantycznego SPATiF-u łódzkiego, to w tym się nie mylił. Na pierwszym party w Nowym Jorku otrzymał zaproszenia na inne. Szedł od jednego do drugiego przyjęcia jak zdobywca. Od razu wyrobił sobie opinię wschodniego playboya, brutalnego i czulego – siła fizyczna była jednym z atutów Wojtka”<sup>24</sup>.

Dzięki dobrze już zdomowionemu w USA Jerzemu Kosińskiemu poznał absolwentkę historii sztuki, Abigail (Gibby) Folger. Dziewczyna pochodziła z niezwykle zamożnej rodziny, była córką „księcia kawy”, prezesa Folger Coffee Company. Frykowski zrobił na niej duże wrażenie, najwyraźniej z wiekiem nic nie stracił ze swojego uroku. A chociaż twierdził, że Abigail jest zbyt bogata, aby mógł ją poślubić, to jednak korzystał z jej pieniędzy. Wprowadził się do nowojorskiego mieszkania dziewczyny, przedstawiał ją jako żonę, a ona nie protestowała.

W USA panowały jednak nieco inne obyczaje niż w Polsce. „Córka księcia kawy” była dziedziczką gigantycznego majątku, ale ojciec uważał, że sama powinna na siebie zarabiać. Wprawdzie miała okazały dochód z tytułu spadków (130 tysięcy dolarów rocznie, równowartość obecnego miliona dolarów), ale duże sumy wydawała na finansowanie kampanii wyborczych demokratów i cele charytatywne. W efekcie Frykowski prosił rodzinę w Łodzi o paczki żywnościowe, stanowiły one znaczące podreperowanie jego budżetu. Zapewne był jedynym emigrantem z bloku wschodniego,

który otrzymywał podobne przesyłki, zamiast je wysłać.

Zdecydował się wreszcie poprosić o pomoc Polańskiego odnoszącego sukcesy w Hollywood.

„Uwijał się wokół Romka Polańskiego – opowiadał Kostenko. – Pamiętam, jak Romek pokazał mi kiedyś wylewny list Wojtka i pytał: »Czy on chce się ze mną żenić?«. A to był list człowieka zestresowanego, liczącego, że nadejdzie pomoc. I Romek mu pomógł”<sup>25</sup>.

W sierpniu 1968 roku Abigail i Wojtek przenieśli się do Kalifornii. Przejechali cały kraj samochodem, a w Los Angeles zamieszkali w wynajętym dwupiętrowym domu po sąsiedzku z Cass Elliot z grupy The Mamas and The Papas. Całą imprezę sfinansowała oczywiście Abigail.

Niektórzy świadkowie pobytu Wojtka w Kalifornii uważali, że zachowuje się jak typowy łowca posagów. Związek z Abigail miał być dla niego szansą na zdobycie majątku, podobno za wszelką cenę chciał się z nią ożenić. W tego rodzaju informacjach szczególnie celowała Zofia Komédowa, warto jednak pamiętać, że nie było jej w tym czasie w Los Angeles. Jej małżeństwo z Krzysztofem Komédą rozpadło się i Zofia powróciła do kraju. Osobiście zaś nie lubiła Frykowskiego.

Abigail zatrudniła się w pomocy społecznej, zainwestowała jednak dużą sumę w nowy salon fryzjerski przyjaciela żony Polańskiego, Jaya Sebringa, w San Francisco. Natomiast Wojtek usiłował znaleźć sobie miejsce w świecie filmu. Polański zachęcał go do pisania scenariuszy, ale chyba jednak nie wierzył, że Frykowskiemu wreszcie coś się uda. Tym bardziej że do jego legendarnego lenistwa i upodobania do alkoholu doszło jeszcze uzależnienie od narkotyków. Zdesperowany reżyser zatrudnił go wreszcie do prac przy dekoracjach, ale po kilku dniach Wojtek stwierdził, że „nie ma zamiaru wbijać gwoździ w jakieś pieprzone dechy” i zrezygnował z pracy.

Pan Roman pamiętał jednak, że to Frykowski sfinansował przed laty jego krótkometrażówkę. I teraz dał mu posadę ochroniarza swojej ciężarnej żony, Sharon Tate. Frykowski zajmował się nią, gdy Polański pracował w Londynie, razem z Abigail przenieśli się do posiadłości reżysera. Mieszkał tam również Jay Sebring.

„Niektórzy z naszych gości na Cielo Drive – wspominał Polański – rozdrażnieni jego [Frykowskiego – S.K.] stałą obecnością u nas, nazywali go pieczeniarem, żigolakiem, a także zarzucali mu, że wyleguje się bez przerwy koło basenu z nieodłączną szklaneczką wina w ręce. Nie zamierzałem we własnym domu żałować przyjacielowi wina”<sup>26</sup>.

## LOS ANGELES

Wojtek próbował pisać opowiadania, podobno popełnił nawet kilka wierszy (!), do dzisiaj zresztą w amerykańskich mediach funkcjonuje jako pisarz. Wszedł do kręgu towarzyskiego Krzysztofa Komédy, łączyły go też bliżej nieokreślone kontakty z ówczesną partnerką kompozytora, Iloną Kuper. Według Zofii Komédowej Frykowski

i Kuper usiłovali wykorzystać muzyka do napisania kilku chwytliwych przebojów dla dziewczyny, które miały zagwarantować jej sukces.

„Jedna z małych wytwórni muzycznych – pisał pasierb Komedy, Tomasz Lach – wyspecjalizowana w produkcji płyt do szaf grających, zgodziła się wydać singiel z dwiema balladami śpiewanymi przez Ilonę. Z przeznaczeniem dla szaf grających na całym świecie. Był to znakomity, stuprocentowo pewny i dający dwustuprocentowy zysk interes, a do tego genialny start, ponieważ obecny w setkach tysięcy szaf grających wykonawca stawał się automatycznie gwiazdą!”<sup>27</sup>.

Ilona napisała już teksty piosenek, producentem miał zostać Frykowski, ale sprawa rozbiła się o niechęć Komedy. Nie chciał ryzykować zerwania umowy z Paramountem, wytwórnia miała bowiem wyłączność na jego nowe kompozycje. Zofia Komédowa twierdziła jednak, że Ilona i Wojtek zachowywali się jak para złodziei próbująca okraść kompozytora ze wszystkiego, co posiadał.

„Była tam niejaka Ilona Kuper – wspominała po latach – początkująca piosenkarka z Izraela, która postanowiła zrobić karierę w Hollywood, a którą początkowo fascynował się stary pan Kaper, kompozytor przeboju *Lili*. A pan Kaper, jak się znudził, podrzucił ją Krzysiovi i ona mając nadzieję na zrobienie kariery, stawała na głowie, by poderwać, zresztą ze skutkiem, Krzysia. Może to ona skumała się z Frykowskim? Efekt tego był taki, że z domu zginęło pięć kołysanek jazzowych, nie mówiąc już o innych kompozycjach [...], pieniądzech, złotej zapalniczce, zegarku dobrej marki”<sup>28</sup>.

Niechęć żony kompozytora do Ilony i Wojtka nie powinna jednak specjalnie dziwić. Ostatecznie mąż porzucił ją dla tej dziewczyny, a Frykowski był z nią zaprzyjaźniony. Dlatego też Zofia zrobiła z Wojtka potwora w ludzkiej skórze, który okradł Komédę, gdy ten leżał w śpiączce po wypadku.

„[...] to właśnie Ilona, zabiegająca o Krzysia wsparcie w branży filmowej aktoreczka, i Wojtek Frykowski wywieźli Krzysia »skarby«. Zarówno intelektualne, jak i materialne, Bóg wie, ile sobie po tym obiecując. Faktem jest, że Krzysia książeczka płatnicza została wielokrotnie użyta, a konto »dienne« w banku kompletnie wyczyszczone. I ślad po tym tajemniczym użytkowniku zaginął. Kolejne raty za mustanga, gdy Krzysio leżał bez przytomności, a samochodem »woził« się Fryko z Iloną [...], nadal były płacone, tak jak i tankowania paliwa – z Krzysia konta. Aż trudno sobie taką perfidną podłość w stosunku do umierającego przyjaciela wyobrazić. Gdy leżał w śpiączce, jeszcze przed moim przyjazdem w tajemniczy sposób zniknęły z mieszkania prawie wszystkie nowe nuty i szkice nutowe, taśmy z nagraniami, nie mówiąc już o innych, bardziej prozaicznych »dobrach«. Włamanie i kradzieży nie było. A klucze miał Fryko...”<sup>29</sup>.

Pani Zofia nie wspomniała jednak, że Ilona mieszkała z Komédą i muzyk mógł ją upoważnić do dysponowania kontem bankowym. Nie mamy zresztą bliższych informacji o jego relacjach z dziewczyną ani też nie znamy szczegółów kontaktów z Frykowskim. Osobą dobrze zorientowaną był Polański, ale w jego wspomnieniach nie ma śladu na temat oskarżeń rzucanych przez Zofię. Reżyser zresztą wiedział, że Komédę uznał swoje małżeństwo za zakończone i zapewne dlatego nie chciał w ogóle poruszać tego tematu.

## MASAKRA PRZY CIELO DRIVE

Polański był w Londynie, gdy otrzymał tragiczną wiadomość z Los Angeles.

„Właśnie miałem wyjść na spotkanie z Victorem Lownesem, kiedy zadzwonił telefon – wspominał po latach. – Od razu poznałem Billa [Tennanta, swojego agenta – S.K.] i zapytałem, jak się czuje.

– Źle – zabrzmiała odpowiedź.

Jego głos wydawał mi się daleki, przytłumiony. Zdziwiło mnie to, ponieważ zwykle przy połączeniach z Ameryką miało się wrażenie, że rozmówca siedzi w sąsiednim pokoju.

– W domu wydarzyło się nieszczęście – powiedział.

Sądziłem, że ma na myśli jakąś rodzinną awanturę u siebie – wiedziałem, że jego małżeństwo przeżywa kryzys – ale na wszelki wypadek zapytałem:

– W którym domu?

– W twoim. Sharon nie żyje. Wojtek, Gibby i Jay też. Wszyscy nie żyją.

Usłyszałem swój własny głos: »Nie, nie, nie«<sup>30</sup>.

W nocy z 8 na 9 sierpnia 1969 roku do posiadłości Polańskich wdarli się członkowie sekty Rodzina Charlesa Mansona. Przed domem zastrzelili 18-letniego Stevena Parenta, gościa ogrodnika, któremu chciał sprzedać radio z zegarem (zbierał pieniądze na studia). Będąca w ósmym miesiącu ciąży Sharon Tate otrzymała 16 ciosów nożem, Jay Sebring został ugodzony siedem razy i dodatkowo postrzelony, ich ciała znaleziono związane razem sznurem. Wojtek bronił się do upadłego, na jego ciele było 51 ran kłutych, dwukrotnie zraniono go z broni palnej, dostał też wiele razy tępym narzędziem w głowę. Abigail otrzymała 28 ciosów nożem. Ciało Frykowskiego i Folger znaleziono na trawniku koło domu, najwyraźniej w ostatniej chwili próbowali uciec.

Cały budynek nosił ślady masakry, na drzwiach zabójcy wypisali krwią ofiar słowo „pig” (świnia), napisy były też wewnątrz domu. Następnego dnia ofiarą zbrodniarzy padli małżonkowie LaBianca, zamordowano również nauczyciela muzyki, Gary’ego Hinmana.

## PRAWDZIWA NIENAWIŚĆ

Najbardziej zadziwiająca była reakcja mediów na tragedię, przez pierwsze dni trwał bowiem seans nienawiści do zamordowanych. Sugerowano, że ofiary przedawkowały narkotyki i same się pozabijały, a kiedy wreszcie zidentyfikowano zbrodniarzy, to zaczęto mówić o związkach Frykowskiego z dilerami narkotykowymi. Przez pewien czas krążyła modna teoria, że Wojtek był winien handlarzom ogromną sumę, wobec czego naślano na niego bandę Mansona. Do tego wyciągano upodobanie Polańskiego do satanizmu i czarnej magii, oczywiście dodawano również wątki seksualne.

„Podstawą melodramatu były narkotyki – pisano na łamach »Newsweeka« –

niektórzy podejrzewają, że tego wieczoru towarzystwo zabawiało się w praktykowanie czarnej magii przy ich użyciu; wspomina się o rodowitym Jamajczyku, wyznawcy voodoo, który dołączył niedawno do prowadzonej przez Frykowskiego operacji przemytu narkotyków. Tego typu salonowe rytuały mogą tłumaczyć fakt, że Sebring miał na głowie kaptur i był sznurem związany z Tate. Oto część przyjaciół dopuszcza możliwość, że zbrodnie były wynikiem odegrania parodii rytualnej egzekucji. Uczestnicy, odurzeni środkami halucynogennymi, stracili kontrolę nad wydarzeniami”<sup>31</sup>.

Inne tytuły nie pozostawały w tyle za „Newsweekiem”. Nawet poważne pisma („Life”, „Time”) publikowały niesprawdzone informacje, a prasa bulwarowa wręcz szalała. Rozpisywano się o rzekomo odciętej piersi Sharon, o kabalistycznych znakach wyciętych na jej ciele, twierdzono, że Sebring przed śmiercią został wykastrowany. Zbrodnie miała być efektem narkotykowej orgii seksualnej z użyciem czarnej magii, a wszystko idealnie pasowało do „scen z filmów Polańskiego, w których zapuszczał się on w najbardziej mroczne, ponure zakamarki ludzkiej duszy”.

W równie obrzydliwy sposób zareagowała polska prasa. Krajowi dziennikarze prześcigali się w opisywaniu zgnilizny zachodniego stylu życia, dając przy tej okazji upust nienawiści do Frykowskiego. Powszechnie uznawano, że Wojtka spotkała zasłużona kara za prowadzony przez niego tryb życia.

„Prasa szerzy pogłoski – pisano na łamach »Życia Warszawy« – jakoby celem morderców miał być jedynie Frykowski, który rzekomo popełnia jakieś oszustwo przy zakupie większej ilości narkotyków. Na przyjęciu w willi Cielo Drive zabawa nie była purytańska. Mówi się o seansie czarnej magii połączonym z demaskowaniem czarownic, o seansie narkomańskim, o pijaństwie połączonym z orgią seksualną. Rankiem po orgii służące znalazły pięć zmasakrowanych trupów. Pani domu w bikini, nawiasem mówiąc znajdowała się w ósmym miesiącu ciąży. Wojtek Frykowski handlował narkotykami. Uważa się go za bezpośredni powód wydarzeń tragicznej nocy. Pozostałe cztery trupy to ponoć tylko niepotrzebni świadkowie. Zgnilizna moralna, wyuzdanie, zwyrodnienie, alkohol, narkotyk, czarna magia, seks należą do codziennych sposobów zabijania nudy”<sup>32</sup>.

Według artykułu w „Panoramie Północy”, Sharon Tate i Jay Sebring mieli należeć do sekty The Swingers – klubu dla zamożnych erotomanów, narkomanów i sadystów, a zostali zamordowani za zdradę tajemnic.

Wszystkich jednak przelicytował felietonista tygodnika „Kultura” publikujący pod pseudonimem Hamilton (Jan Zbigniew Słojewski). W rok po tragedii opublikował bowiem felieton pod tytułem *Fiku-miku i po Fryku (!!!)*, w którym odwoływał się do socjalistycznych wartości:

„Żyjemy w świecie, gdzie obowiązuje zasada JAKA PRACA, TAKA PŁACA (przynajmniej teoretycznie). Ale jednak jakże pociągające wydają się przykłady osób, które nie pracują, a jedzą, i to dobrze. Długo by mówić, dlaczego skądinąd nieposzlakowany obywatel PRL woli czytać o hochsztaplerach niż przodownikach pracy i dlaczego bardziej imponuje mu na przykład uwodziciel niż poważna, wzorowa i wzorcowa głowa rodziny. W każdym razie byłoby naiwnością sądzić, że przeciętny



czytelnik pochyła się nad epopeją o Frykowskim po to, by nawąchać się zgnilizny moralnej i w ten sposób nabrać wstrętu do pasożytnictwa społecznego i występku”<sup>33</sup>.

Po latach Roman Polański w przekonujący sposób wyjaśniał, skąd wziął się mit o powiązaniach Frykowskiego z dilerami narkotykowymi.

„[...] Wojtek nie miał w sobie nic podejrzanego, dwuznacznego czy tajemniczego. Reputacja wielkiego handlarza narkotykami zrodziła się w dużej mierze z opowieści, według której miał interesy ze znanymi dostawcami. Otóż kiedy w kwietniu wydaliśmy z Sharon wielkie przyjęcie, pojawili się na nim również, jak to często bywa w Hollywood, nieproszeni goście. Trzy takie typy zaczęły rozrabiać i zostały wyrzucone, między innymi przez Wojtka. Jeden znał Wojtka i poprzysiągł zemstę. Okazało się, że wszyscy trzej to płotki w handlu narkotykami, ale ten drobny incydent dał początek teorii »polskiego łącznika«. Policja przeprowadziła dokładne śledztwo w sprawie trzech mężczyzn, ale na noc morderstwa wszyscy mieli żelazne alibi”<sup>34</sup>.

Prawda o masakrze w Cielo Drive nie była bowiem specjalnie skomplikowana. Jej zleceniodawca, Charles Manson, drobny złodziej i sutener, stał wówczas na czele własnej sekty. Jej członkowie wierzyli, że ich szef jest wcieleniem „Jezusa i Szatana” (!), a ich działalność miała wywołać rewolucję, po której czarna ludność (z bandą Mansona na czele) będzie rządzić Ameryką. Sam „prorok” czerpał swoje inspiracje z filozofii Nietzschego i piosenek Beatlesów (szczególnie *Helter Skelter*), a jego poziom umysłowy mógł przerażać. Gdy bowiem pierwszy raz usłyszał o obozach zagłady, to „wyraził jedynie żal”, że nie on je wymyślił...

W domu wynajmowanym przez Polańskich wcześniej mieszkał producent, który odmówił Mansonowi wydania jego płyty, „prorok” miał bowiem ambicje muzyczne. Z zemsty wysłał zatem swoje komando (trzy kobiety i mężczyznę) – zresztą cel zbrodni był mu obojętny, liczyło się tylko to, by zamordować ludzi znanych i zamożnych. Bandydzi zaskoczyli domowników i rozpoczęła się rzeź.

W ciele Frykowskiego znaleziono ślady: kokainy, meskaliny, LSD, marihuany i haszyszu. We krwi miał jednak tylko 0,6 mg amfetaminy, nie był zatem kompletnie odurzony narkotykami, jak sugerowali dziennikarze.

Ciało Wojtka poddano kremacji, a prochy przewieziono do kraju, gdzie spoczęły na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej w Łodzi.

## BARTEK I „FRYTKA”

Zbrodniarze zostali skazani na karę śmierci, ale zmiany w kalifornijskich regulacjach prawnych spowodowały, że nie wykonano egzekucji. Manson dopiero w więzieniu spełnił swoje muzyczne aspiracje, a tantiemy, jakie otrzymywał za teksty piosenek, oscylowały w granicach kilku milionów dolarów.

Rodzina Frykowskich postanowiła ten fakt wykorzystać. Po kilku procesach sąd amerykański przyznał Bartkowi, synowi Wojtka i Ewy, dożywotnią rentę w ramach

odszkodowania za śmierć ojca. Chłopak wybrał karierę operatora filmowego, pracował przy ekranizacji *Ogniem i mieczem* oraz *Pana Tadeusza*. W czerwcu 1999 roku, 30 lat po tragedii w Beverly Hills, zginął od ciosu nożem w dworku w Głuchach, należącym do Karoliny Wajdy. Podobno było to samobójstwo, ale śledztwo prowadzono wyjątkowo niedbale (na nożu znaleziono odciski palców policjanta) i wątpliwości pozostały do dzisiaj.

Rodzinne tradycje skandalistów kontynuuje córka Bartłomieja, Agnieszka (Maja) Frykowska. W całym kraju stała się znana, gdy w programie reality show odbyła stosunek seksualny w jacuzzi. To wystarczyło, aby przez następną dekadę gościć w serwisach plotkarskich.

„Kiedy wyszłam z domu Wielkiego Brata – mówiła »Frytka« – szybko zaczęłam się zastanawiać, skąd bierze się takie halo wokół mojego nazwiska. Kim są ci Frykowscy, o których ciągle pytają mnie dziennikarze? Wcześniej się tym nie interesowałam. Żyłam jak każda przeciętna dziewczyna”<sup>35</sup>.

Z rodzicami spędziła pierwsze dwa lata życia, potem wychowywała ją babcia, do której zresztą zawsze mówiła „mamo”. Po występie Agnieszki w *Big Brotherze* członkowie klanu Frykowskich uznali, że nie chcą mieć z nią nic wspólnego, ale przy tej okazji dowiedziała się, że należy jej się jedna czwarta odszkodowania za morderstwo dziadka. To kilkaset tysięcy dolarów, z których nie zamierza zrezygnować, bez względu na to, jakie jest stanowisko rodziny Frykowskich...



# **Rozdział 5**

## **Poeta przeklęty**



**„Na samym początku studiów wszystko jeszcze wyglądało normalnie: Wojacek korzystał z bonu stołówkowego, chodził na zajęcia, ale nagle któregoś pięknego dnia, jesienią, przyszedł w gumofilcach i jakiejś kufajce. Pytam: »Rafał, co ci się stało?«. »A wiesz, wymieniłem sobie ubranie«. Potem okazało się, że pozbył się też bonu stołówkowego, bo mu nie odpowiadało takie jedzenie, więc postanowił żywić się na mieście. Na koniec zrezygnował z akademika. Pytałem go: »Gdzie nocujesz?«. »A wiesz – odpowiadał – wsiodam w pociąg do Zakopanego i się prześpię, a potem wracam i idę na zajęcia«”.**

*(Marek Prochaska)*





**K**tóregoś dnia wychodziłem z [...] knajpy naprzeciwko kamienicy, w której mieszkał – wspominał Roman Jamroz, znajomy Rafała Wojaczka – kiedy nagle zobaczyłem, że w jego mieszkaniu lecą szyby. Pobiegliśmy na górę. Otworzyła jego mama i powiedziała, że Rafał wpadł w amok. Rzeczywiście, szalał w pokoju. Próbowaliśmy go przydusić do ziemi, ale nie daliśmy rady, wyrywał się, złapał wielki stół, podniósł go i jego nogami zahaczył o okno, wybijając dwie szyby. Niesamowicie to wyglądało! Dopiero po pewnym czasie udało nam się go uspokoić”<sup>1</sup>.

Podobne opisy przewijają się stale we wspomnieniach znajomych poety. Wojaczek miał tak złą opinię, że żadna ze szkół, do których uczęszczał, nie została nazwana jego imieniem. I nic w tej sprawie nie zmieniły upływający czas ani to, że był jednym z najbardziej utalentowanych poetów epoki PRL.

## W MIKOŁOWIE

Tak dziwnie się złożyło, że skandaliści czasów Polski Ludowej często pochodzili z rodzin, których członkom obce było łamanie norm obyczajowych. Podobnie było też z Rafałem Wojackim, twórcą zaliczanym do poetów wyklętych, outsiderów skłóconych ze społeczeństwem. Ale nawet w tym doborowym towarzystwie śląski poeta był osobistością wyjątkową.

Na świat przyszedł w Mikołowie, niewielkim mieście w pobliżu Katowic. Był synem Edwarda Wojaczka, powszechnie szanowanego nauczyciela języka polskiego, oraz Elżbiety Sobeckiej, tłumaczki i korektorki. Miał znacznie starszego brata o imieniu Piotr, a dwa lata po Rafale przyszedł na świat kolejny potomek Wojacków, Andrzej.

Ojciec poety dobrze zapisał się w pamięci uczniów. Wspominano, że na jego zajęciach panowała „niebywała atmosfera ciepła, bezpieczeństwa oraz wiary w młodego człowieka, który jest na tyle odpowiedzialny, by wiedzieć, że od niego zależy, ile będzie chciał wynieść z lekcji”. Wątpliwe jednak, aby pan Edward stosował podobne metody wychowawcze w domu.

„[...] jeżeli wujek chował chłopaków tak samo jak wszyscy inni Wojackowie swoje dzieci – mówiła kuzynka poety, Ilona Wojaczek-Szczęśna – to musiało to być super-surowe wychowanie. Wszyscy, tzn. mój dziadek i ojciec, stosowali naprawdę zimny wychów – byli bardzo surowi i narzucali ostrą dyscyplinę. Z dziadkiem nigdy nie

miałam łatwych kontaktów, ponieważ było to po prostu niemożliwe – odpychał mnie. Kiedy tylko miałam okazję, darł się okropnie o byle co. [...] Jeżeli więc wujek Edward miał taki sam charakter jak mój dziadek, a raczej miał, to wychowanie chłopaków było naprawdę ostre, [...] chłód i dystans, zamknięcie w sobie. Ukrywanie uczuć i brak wylewności...”<sup>2</sup>.

Dodatkowym problemem dla młodych Wojaczków były nie najlepsze stosunki pomiędzy ich rodzicami. W latach 50. pan Edward nie mieszkał z żoną w Mikołowie, lecz w Kędzierzynie-Koźlu. Uczył w tamtejszym liceum, a do domu przyjeżdżał jedynie na weekendy. Separacja była spowodowana awanturami, jakich nie brakowało w małżeństwie, a Edward tłumaczył nawet, że nie mieszka z żoną, gdyż „ona ma w Mikołowie adoratora, więc on nie chce tam być”.

Wprawdzie Wojaczkowie nigdy się nie rozwiedli, a po latach mieli ponownie zamieszkać razem, to jednak kryzys w ich związku przypadł na okres dojrzewania Rafała. Chłopak wychowywał się praktycznie bez ojca, a matka, „kobieta niezwykle pogodna”, była osobą zbyt tolerancyjną. Nie przeszkadzało jej, gdy „po powrocie z pracy mieszkanie było pełne urwisów, kolegów syna, i niezupełnie w takim stanie, w jakim zostawiła je rano”.

Rafał był bardzo przywiązany do matki, a do ojca czuł niechęć. Nigdy właściwie nie miał z nim dobrych relacji, unikał także kontaktu, gdy ten przyjeżdżał do domu.

„Myślę, że matkę podziwiał – wspominała Stefania Cisek, powierniczka Rafała. – Była elegancką, kulturalną i ciepłą kobietą. Ojciec, z tego, co mi wiadomo, starał się chłopców wychować twardą ręką. Nie oznaczało to bynajmniej kar cielesnych, ale po prostu dyscyplinę i rygor. Matka była dla chłopców czuła, ojciec zaś wymagający”<sup>3</sup>.

Podobno pan Edward odreagowywał swoją nieobecność, regularnie bijąc w weekendy synów solidną laską...

Z upływem lat w życiu młodych Wojaczków pojawił się kolejny problem. Pozycja społeczna rodziny spowodowała, że dorastający chłopcy mogli poszukiwać przyjaciół jedynie wśród dzieci elity Mikołowa. Niestety, miejscowa inteligencja była nieliczna i Wojaczkowie właściwie nie znali nikogo w swoim wieku. Matka zauważyła problem, dopiero gdy bracia byli już nastolatkami, więc zachęcała ich, aby wstąpili do harcerstwa.

Rodzice pozostawili jednak chłopcom dużą swobodę w kwestii rozwoju intelektualnego. Bracia chętnie z niej korzystali, dużo czytali i „zajmowali się takimi rzeczami jak konstruowanie maszyny do pokrywania skomplikowaną techniką popielniczek warstwą srebra”.

„[...] rodzice w najmniejszym stopniu nie sterowali naszym losem – opowiadał Andrzej Wojacek. – Ku niczemu specjalnemu nas nie przeznaczali. Nie marzyli o tym, by ich synowie byli twórcami, pisarzami, poetami, aktorami czy inżynierami. Starali się tylko, by uzyskali należne w szanującej się rodzinie wykształcenie. Dbali [...] w taki sposób, w jaki było to możliwe, by wszystko działało się jakby poza przymusem”<sup>4</sup>.

Początek separacji rodziców Rafała „zbiegł się z okresem jego niepowodzeń w szkole”. Wrażliwy chłopak fatalnie przyjmował rozpad rodziny i agresywne zachowania ojca. Na domiar złego pracująca w Katowicach matka także nie miała zbyt

dużo czasu dla dorastających synów.

„[...] wypijałem butelkę jabcoka [najtańszego wina owocowego – S.K.], a Rafał w tym czasie trzy – wspominał Roman Jamroz. – Upijaliśmy się często, bo szpanowaliśmy, kto więcej wypije, kto ma mocniejszą głowę, a na drugi dzień zdychaliśmy. Ale z Rafałem mało kto mógł się równać. Wielki był i silny. Dotrzymanie mu tempa w picciu było niemożliwe; poza tym ja jeszcze wtedy nie mogłem wrócić do domu kompletnie pijany, bo mieszkałem z rodzicami”<sup>5</sup>.

Atrybutem młodzieńczego buntu były również papierosy, które Rafał palił nałogowo do końca życia. Matka nie reagowała, zapewne zresztą ukrywał przed nią swoje upodobania.

## ZESPÓŁ ASPERGERA?

Chociaż Wojacek zachowywał się jak przeciętny zbuntowany nastolatek, to jednak wyróżniał się spośród kolegów z liceum. Z nauką wprawdzie bardzo rozmaicie bywało, ale chłopak miał nieprawdopodobną pamięć.

„Nieraz przychodził do mnie do kuchni – wspominała matka – i podając mi jakąś książkę, mówił: »Mama, popatrz, ten rozdział, ja ci go teraz powtórzę, a ty uważaj, czy się pomylę, czy opuszczę choćby przecinek czy kropkę«. Nigdy nie opuścił, choć mówił z pamięci długie fragmenty”<sup>6</sup>.

Nie był jednak lubiany przez nauczycieli, potrafił bowiem zachowywać się w wyjątkowo irytujący sposób. Z niektórymi pedagogami toczył „coś na kształt psychologicznej wojny”, a nauczyciela matematyki „potrafił tak rozjuszyć, że cała klasa zamierała”. Zdenerwowany pedagog „ratował swój prestiż zadawaniem coraz trudniejszych pytań”, a Rafał bez problemu rozwiązywał wszystkie zadania dyktowane przez nauczyciela.

Fotograficzna pamięć czy też zdolności matematyczne nie świadczą jeszcze o zaburzeniach rozwoju, natomiast w połączeniu z innymi relacjami sugerują, że Wojacek mógł cierpieć na zespół Aspergera.

Zaburzenie to zaliczane jest do łagodnych form autyzmu i powoduje czasami niezwykle uzdolnienia przy jednoczesnym braku przystosowania społecznego. Niezwykłą pamięć i kłopoty w kontaktach z nauczycielami można uznać za poszlaki, natomiast wyraźnym śladem są relacje Wojaczka z rówieśnikami.

„Nasza polonistka mawiała: »Wy, dziewczęta, nie jesteście inteligentne« – wspominała jego koleżanka z klasy Halina Kubacz. – I muszę przyznać, że w porównaniu z Rafałem rzeczywiście nie miałyśmy czym się popisać na lekcjach polskiego. Dlatego też zawsze pomagałam sobie jakimś brykiem. Któregoś dnia napisałam wypracowanie, za które otrzymałam wysoką ocenę. Polonistka, pani Wittlin, czytała je na głos w klasie. W pewnej chwili Rafał wstał i oświadczył, że to nie może być samodzielna praca. Argumentował, że nie użyłabym takich górnolotnych wyrażeń. Nauczycielka, dla której Rafał był idolem, obniżyła mi ocenę”<sup>7</sup>.

Uczniowie dotknięci zespołem Aspergera często denuncjują kolegów, którzy ściągają lub korzystają z innej niedozwolonej pomocy. To dla nich normalne postępowanie, nie potrafią bowiem zrozumieć, że donosicielstwo nie mieści się w zakresie akceptowanego społecznie zachowania. Potrafią jednocześnie osiągać doskonałe wyniki w nauce ulubionych przedmiotów, co często przekłada się na ich późniejsze sukcesy zawodowe. Pod warunkiem że potrafią zaadaptować się w środowisku, co nie zawsze jest możliwe.

Podjęcie zespołu Aspergera u Wojaczka potwierdza to, że przyszły poeta był raczej typem samotnika i bardzo ostentacyjnie wyrażał swoje poglądy. W szkole miały miejsce bowiem znacznie poważniejsze sprawy niż kłótnie z nauczycielem matematyki.

„W ósmej klasie został przewodniczącym samorządu klasowego – pisał jego biograf i przyjaciel Bogusław Kierc. – Kiedy nie przyszedł na zebranie samorządu szkolnego, poproszony przez dyrektora o wyjaśnienie nieobecności – odpowiedział szczerze: »Bo mi się nie chciało«”<sup>8</sup>.

Podobnie było w przypadku nauki religii, z której demonstracyjnie zrezygnował. Skończyło się tym, że rozwścieczony katecheta wymierzył Rafałowi na korytarzu szkolnym „zamaszysty policzek”, co podobno miało być „reakcją na rozpoznanie w dwunastoletnim apostacie obecności złego”...

Zespół Aspergera został wprawdzie opisany już w 1944 roku, ale lekarze dopiero od lat 80. ubiegłego stulecia diagnozują to zaburzenie. Wcześniej podobne zachowania uważano za przykład ekscentrycznego charakteru ucznia (lub objawów młodzieńczego buntu), a nie zaburzonej osobowości.

Jeżeli Wojacek faktycznie miał zespół Aspergera, to wiele faktów z jego późniejszej biografii wydaje się bardziej zrozumiałych. Niektórzy lekarze uważają jednak, że zaburzenie to wyklucza możliwość abstrakcyjnego myślenia, zatem człowiek nim dotknięty nie mógłby zrozumieć, a tym bardziej pisać wierszy. A jak było naprawdę w przypadku Rafała Wojaczka, tego nigdy się już nie dowiemy.

## CIERPIENIA MŁODEGO RAFAŁA

Chłopak nie miał jednak zaburzeń ruchowych. Grał w piłkę nożną, uprawiał lekkoatletykę, regularnie wyjeżdżał na wyprawy żeglarskie. Razem z innymi członkami jachtklubu pływał po Bałtyku, planował nawet udział w rejsie na pokładzie Zawiszy Czarnego wokół Wysp Brytyjskich. Z powodu konfliktu z władzami klubu pomysł ten nie doczekał się jednak realizacji.

Kolegom imponował warunkami fizycznymi, miał blisko dwa metry wzrostu, był bardzo silny.

„Kiedyś ktoś mnie agresywnie zaczepił na Rynku – wspominał Roman Jamroz. – Nawet nie wiedziałem, kiedy Rafał złapał go za frak, podniósł do góry i przycisnął do witryny sklepowej. »Masz szczęście, że to jest szyba« – powiedział, po czym rzucił typa na chodnik. Taki potrafił być!”<sup>9</sup>.

Szukał swojego miejsca w życiu, interesował się (bardzo dogłębnie) różnymi dziedzinami. Nie zdarzały mu się jednak praktycznie równoległe zainteresowania (symptom zespołu Aspergera), pasjonował się fizyką, matematyką, a później fotografią. Jedno z jego zdjęć zamieszczono nawet na okładce czasopisma studenckiego „itd”.

Przeżył również fascynację twórczością Goethego, Stendhala i Tomasza Manna, aż wreszcie zainteresował się poezją. Wtedy też pojawiły się u niego skłonności do autodestrukcji, to właśnie w czasach licealnych miały miejsce jego pierwsze samookaleczenia (za pomocą żyłki lub cyrkla), zdarzyło się również podcięcie żył w wannie. Ocalili go brat z kolegą, którzy przypadkowo pojawili się w domu.

Chyba jednak jego celem nie było zwrócenie na siebie uwagi, nie rozmawiał bowiem na ten temat z rówieśnikami, oni też nie zadawali pytań.

„Mieliśmy kiedyś pojechać na obóz kajakowy do Wisły – wspominał jego kolega z liceum Paweł Targiel. – Rafał nie dotarł. Dwa dni później przyjechał z zabandażowanym przegubem. Byliśmy zaintrygowani, ale nikt nie pytał, co się stało. To był temat tabu. Wiedzieliśmy jednak, że to nie była żadna manifestacja wobec nas. W każdym razie ani wtedy, ani teraz nie wierzę, że zrobił to dla ostentacji”<sup>10</sup>.

Andrzej Wojacek uważał jednak, że starszy brat reżyserował swoje życie. I chyba miał nieco racji, znał przecież Rafała jak nikt inny. W miarę upływu lat stawało się to dla niego coraz bardziej widoczne.

„[...] scenograficznie się przyozdabiał – twierdził Andrzej Wojacek. – Konstruował swoją sylwetkę w bardzo precyzyjny sposób, aby wywierała takie, a nie inne wrażenie. Tylko że niestety często tracił kontrolę. [...] Znamy wybitnych poetów, którzy przy biurku, w przyzwoitej koszulce z krawatem, skrobą wybitne wiersze. Natomiast Rafał równie wybitne wiersze (bo trudno mu odmówić znakomitości literackiej) pisał inaczej. Była w nim dziecinna niewiara, że to może być za mało, że trzeba to wszystko podkolorować. [...] Byłem wtedy [w drugiej połowie lat 60. – S.K.], co prawda, początkującym aktorem, ale umiałem już dostrzec momenty zrzucenia maski. Zdarzały się bowiem chwile, kiedy wracał przy mnie do naszych domowych relacji, które zawsze wyglądały tak samo: był dla mnie po prostu lepszym, mądrzejszym, bardziej utalentowanym bratem. Poza tym, co tu kryć, zazdrościłem mu łatwości kreacji, która nie zawsze była w najlepszym guście, ale na ogół robiła piorunujące wrażenie”<sup>11</sup>.

Kiedy Rafał był w czwartej klasie szkoły średniej, ojciec podjął decyzję o przeniesieniu go do liceum wieczorowego w Kędzierzynie, gdzie sam nauczał. Po latach twierdził, że powodem był konflikt syna z gronem pedagogicznym szkoły w Mikołowie, co wydaje się jednak tylko pretekstem. Bardziej niepokoiły go bowiem wiersze Rafała:

„[Jego poezja] była brutalna, a jednocześnie charakteryzowała ją zbytnia szczerłość [...]. Niedługo później zacząłem się po prostu o niego bać. Był zapatrzony w Kafkę i Rimbauda. Pisał do mnie nawet: »Ja, Kafka« i to budziło mój poważny niepokój”<sup>12</sup>.

Przeniesienie do Kędzierzyna było dla Rafała ciosem, długo nie mógł się otrząsnąć. Odseparowało go bowiem od środowiska, w którym dorastał i które go



w mniejszym lub większym stopniu akceptowało. A osobnicy dotknięci zespołem Aspergera nie tolerują żadnych zmian w ustalonym rytmie życia.

„Bo te podcięte żyły w dziesiątej klasie – twierdził jego kolega Witold Dudek – to, mówię panu, myśmy wszyscy tak robili... No, prawie wszyscy. Więc gdyby ojciec nie zabrał go wtedy z Mikołowa, gdyby »powalczył« z nauczycielami, tym bardziej że chodziło tylko o sprawowanie, a wiedzę, jaką miał – wiadomo, to mielibyśmy Rafała wśród żyjących do dziś. On tutaj był pełen życia. Przeniesienie sprawiło, że tak skończył”<sup>13</sup>.

Ojciec miał jednak na ten temat zupełnie inne zdanie:

„Ponieważ chłopak zaczynał mi się wymykać, a ja podjąłem wtedy pracę w liceum wieczorowym w Kędzierzynie, gdzie miałem małe mieszkanko, trzeba było coś postanowić. »Przyjedziesz do mnie?« – pytam. Zgodził się. Czwartą klasę i maturę zrobił już w Kędzierzynie. Nauka czterodniowa, więc na soboty i niedziele wracał do matki. To były ciężkie czasy, dla nas obu chyba”<sup>14</sup>.

Pan Edward miał rację, przenosiny do Kędzierzyna wcale nie zmieniły zachowania Rafała. Nadal miał problemy z adaptacją w środowisku, ponownie też targnął się na swoje życie.

„To było chyba pod koniec 1964 roku – wspominała kędzierzyńska sąsiadka pana Edwarda. – Pewnego dnia usłyszałam głośne pukanie do drzwi. To był właśnie pan Wojaczek – zapłakany, wręcz szlochający. »Co się stało?!« – zapytałam. »Pani Halino, czy mogę zadzwonić od pani na pogotowie? Rafał podciął sobie żyły! Jest cały we krwi!«.

Prawdopodobnie tego dnia ściągnęła pana Edwarda do domu intuicja, ponieważ był w pracy, a wpadł tylko na chwilę podczas przerwy. Znalazł Rafała w kałuży krwi i szybko wezwał pogotowie, dzięki czemu udało się go uratować. Pamiętam, jak stałam w oknie w kuchni, cała drżąc, i obserwowałam, jak wynosili Rafała z obandażowanymi nadgarstkami na noszach. Nie wiedziałam, w jakim jest stanie, a nawet, czy żyje. [...] Do końca życia zapamiętałam obraz pana Wojaczka, silnego mężczyzny, tak potwornie zapłakanego. Powtarzał wtedy: »To wszystko jej wina!«. Dopiero kiedy czekaliśmy na pogotowie, dopowiedział: »Bo, wie pani, on się tak głupio zakochał w polonistce«. A wówczas jego nauczycielką była pani Ludwika Bek. Nie dociekałam już, czy to było urojenie, czy fakt. Pani Ludwika nigdy nie chciała mówić na ten temat”<sup>15</sup>.

Nauczycielka z kędzierzyńskiego liceum rozwiewała jednak pogłoski na temat ewentualnego romansu ze swoim uczniem:

„Nigdy nie słyszałam, żeby Rafał z powodu domniemanego uczucia do mnie próbował popełnić samobójstwo. W żadnym z kontaktów z panem prof. Wojaczkiem nic podobnego nie padło pod moim adresem. Nigdy nie odczułam żadnej wrogości pana Wojaczka do mnie, co na pewno musiałyby mieć miejsce w takiej sytuacji. Zawsze był dla mnie miły, a nawet przyniósł mi później pierwszy tomik poezji Rafała. Jego młodszy syn, Andrzej, także trafił do mojej klasy. Gdyby pogłoski o powodach próby samobójczej Rafała były prawdziwe, nie sądzę, żeby ojciec zdecydował się na umieszczenie drugiego syna w mojej klasie”<sup>16</sup>.

Przyznała jednak, że z przyszłym poetą łączyły ją bliższe kontakty niż z jego

rówieśnikami. Nigdy jednak nie przekroczyły granicy dopuszczalnej w relacjach nauczyciel – uczeń.

„Zdarzyło się, że kilka razy odprowadził mnie ze szkoły do domu. Rozmawialiśmy wtedy o jego pracy maturalnej, ale również o innych sprawach. Pamiętam, że w czasie jednej z tych rozmów powiedział, że jest mu ciężko. Rozumiałam, że mówił o swoim życiu i jak większość młodych ludzi w tym wieku jest zmęczony i przygnębiony. Powodów nie podał, nie drążyłam tematu. Z jego słów wywnioskowałam jednak, że czuł się osamotniony i niezrozumiany”<sup>17</sup>.

Ludwika Bek miała wówczas 26 lat i musiała być atrakcyjną kobietą, gdyż „kochało się w niej pół szkoły”. Nic zatem dziwnego, że młody chłopak uległ fascynacji jej osobą, tym bardziej że okazywała mu nieco zainteresowania i zrozumienia. Był to jednak chyba tylko pretekst do kolejnej próby samobójczej; gdyby nie pani Ludwika, to zapewne chłopak znalazłby inny. Edward Wojacek szybko to zrozumiał i nie miał pretensji do koleżanki z pracy. Polonistka z kędzierzyńskiego liceum miała bowiem w sobie tyle winy, ile Lotta z *Cierpień młodego Wertera* Goethego – jednego z ulubionych autorów Rafała Wojaczka.

## KRAKÓW

Pomimo obaw rodziny Rafał pomyślnie zdał maturę i dostał się na polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam jednak ponownie dały znać o sobie problemy z adaptacją w nowym środowisku.

„Na samym początku studiów – wspominał współlokator z akademika Marek Prochaska – wszystko jeszcze wyglądało normalnie: korzystał z bonu stołówkowego, chodził na zajęcia, ale nagle któregoś pięknego dnia, jesienią, przyszedł w gumofilcach i jakiejś kufajce. Pytam: »Rafał, co ci się stało?«. »A wiesz, wymieniłem sobie ubranie«. Potem okazało się, że pozbył się też bonu stołówkowego, bo mu nie odpowiadało takie jedzenie, więc postanowił żywić się na mieście. Na koniec zrezygnował z akademika. Pytałem się go: »Gdzie nocujesz?«. »A wiesz – odpowiadał – wsiadam w pociąg do Zakopanego i się prześpię, a potem wracam z powrotem i idę na zajęcia«”<sup>18</sup>.

Rzadko na czas docierał na zajęcia, zdarzały mu się też absencje. Uzyskał jednak zaliczenia z większości przedmiotów, tylko profesor Heinz, łacinnik, okazał się nieubłagany. I z tego powodu (!) Rafał został skreślony z listy studentów już po pierwszym semestrze.

Specjalnie tego jednak nie przeżywał, studia bowiem go rozczarowały. Ich program wyglądał inaczej, niż sobie wyobrażał, uczył się języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, gramatyki opisowej i historycznej. W efekcie „cały czar prysł” i Rafał nie myślał już o dalszej nauce.

Nie stracił jednak zapału do poznawania świata poprzez lektury. Większość pieniędzy otrzymywanych od rodziny wydawał na książki, czytał dużo i dobierał sobie literaturę wysokiej klasy.

„Od rodziców otrzymywał dużo, bo 600 złotych – opowiadał Jerzy Kronhold – z których 500 od razu wydawał w antykwariatach. Pamiętam jego ciągle rosnącą bibliotekę w akademiku. [...] Jednocześnie Wojacek codziennie pisał, skrobał zawzięcie, zużywał zeszyt za zeszytem, na oślep, na przełaj, z przekonaniem, że odkryje przejście, że przetrze sobie drogę. Kiedy nadarzyła się sposobność, zmieniał miejsce, przeprowadzał troskliwie bibliotekę, dbał o nią jak ślimak o swój domek. Gdy więc zachorował Czesio Sarna z podejrzeniem o coś zakaźnego, lekarz zamieszkały na miejscu [...] położył go na parterze akademika w izolatce pachnącej krochmalem, wyposażonej w osobną łazienkę. Podejrzenie o chorobę zakaźną nie zraziło Rafała. Spragniony ciszy i komfortu sprowadził się na drugie łóżko do Czesia i tam przez tydzień czytał i pisał, doglądając gorączkującego kolegę”<sup>19</sup>.

Styłem życia potrafił szokować otoczenie. Stracił prawo do bonów obiadowych, ale regularnie pojawiał się w stołówce, aby zaoszczędzić na codziennych zakupach.

„Żeby jakoś przeżyć – wspominał Andrzej Zeman – Rafał chodził na stołówkę, gdzie zawsze stał kosz źle pokrojonego chleba, a herbatę można było dostać za darmo. Zdarzało się, że długo żył tylko tym. Często przyjeżdżał do niego ojciec i przywoził mu wałówkę. Nie dawał mu raczej pieniędzy, ponieważ doskonale wiedział, że Rafał z miejsca przeznaczyłby je na książki. Przywiezione jedzenie powierzał nam, żebyśmy wydzielali Rafałowi porcje. Miał bowiem świadomość, że jeżeli zostawi jedzenie synowi, ten natychmiast je przehandluje. Jeśli więc była kiełbasa, kroїło się ją na kawałki i wkładało Rafałowi do ust. W przeciwnym wypadku biegł od razu z kawałkiem kiełbasy do sąsiednich pokoiów, by dostać za niego parę groszy na książki”<sup>20</sup>.

Chłopak potrafił oszczędzać na wszystkim, wynalazł nawet metodę ograniczania wydatków na papierosy. Jerzy Kronhold nie ukrywał zdziwienia, gdy widział go w akcji:

„[...] zastałem go [...] nad rozłożoną gazetą, na której segregował wyciągnięte z popielniczki pety. Wydobywał z nich tytoń i produkował zgrabne skręty, jakich nie powstydzilby się żołnierz Armii Czerwonej, używając do tego papieru z »Gazety Krakowskiej« albo »Dziennika Polskiego«. Tak sporządzane papierosy demonstracyjnie palił. Zaczął kwestionować porządek rzeczy. Kiedy myśmy się budzili, on kładł się spać, i odwrotnie – kiedy my kładliśmy się na spoczynek, on właśnie odlatywał na łowy do nocnego miasta”<sup>21</sup>.

Nie wiadomo, na czym polegały owe „nocne łowy”, poza tym, że chętnie jeździł pociągami, traktując to jako „laboratorium doświadczeń”. Mieszkał w akademiku nawet po wyrzuceniu ze studiów, a jego tryb życia prowokował kolegów do żartów. Wiedzieli, że wysoko ceni swój talent poetycki, co zachęcało ich do prób rywalizacji. Szczególnie celował w tym Kronhold:

„Do agresji go sprowokowałem, pokazując cudzy wiersz przepisany z książki do zeszytu. Byłem mianowicie zmęczony powtarzającymi się kpinami Rafała na temat tego, że nie piszę, że wyszło mi źródło. Nie namyślając się wiele, przepisałem kunsztowny wiersz Aleksandra Wata pod tytułem *Ars Poetica*. Pozbawiłem go jedynie dedykacji dla Gordona Craiga. Tak uzbrojony, z niecierpliwością oczekiwałem na zwyczajową już porcję kpin. Kpiarz przyszedł i nie trwało długo, by obłudnie nie zaczął, z troską w głosie, martwić się o moją poetycką niewydolność. Wtedy podsunąłem mu

pod nos przywłaszczony tekst. Czytał go długo, z rękami przyciśniętymi do policzków, przełykając ślinę... Czułem, że wiersz mu się podobał. Nie podejrzewał mistyfikacji. Zaprawdę napawałem się zwycięstwem. O, jak słodko jest zwyciężać kpiarza! Żeby pognać go ostatecznie, odsłoniłem rąbka tajemnicy. No i kiedy to już wyszło, Rafał nie wytrzymał, chwycił za popielniczkę i rzucił, trafiając mnie w łokieć. Triumf był podwójny, bo wyszło też na jaw, że nie zna Aleksandra Wata. Skandal!”<sup>22</sup>.

Inna sprawa, że Wojacek pod Wawelem nie potrafił jednak znaleźć sobie miejsca. Kraków go odstręczał, uważał, że to „najbardziej idiotyczne miasto pod słońcem”. Ale jednak tam przebywał, zapewne decydowały o tym nieprzebrane zapasy książek w miejscowych księgarniach i bibliotekach. Nie myślał też o powrocie do domu, nie chciał mieszkać z rodziną. Ze względów zdrowotnych nie groziła mu służba wojskowa, zatem uznał, że dalej będzie szukał własnej drogi życiowej. I w tym celu przeprowadził się do Wrocławia.

## NAD ODRA

„Pierwszym momentem, kiedy Wrocław zaczął wybijać się na tożsamość – wspominał Tadeusz Różewicz – i zyskiwać nowe, własne oblicze, były lata 60. To było oblicze młodej awangardowej kultury. [...] To było najbardziej żywe i otwarte miasto w Polsce. [...] Było im [artystom – S.K.] łatwiej niż w Krakowie, Poznaniu czy nawet w Warszawie. Nie musieli nikogo wysadzać z siodła, nie musieli się buntować przeciwko ustalonym autorytetom. I to oni stawali się tymi, do których później się odwoływano”<sup>23</sup>.

Wrocław z jego barwną bohemą artystyczną wydawał się naturalnym kierunkiem dla młodego poety z ambicjami. W przypadku Wojaczka występowały również jeszcze względy praktyczne, od lat bowiem mieszkał tam jego starszy brat, Piotr. Był on człowiekiem zadomowionym już we Wrocławiu, pracował jako dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Rafał mógł liczyć na własny pokój w jego poniemieckiej willi, brat załatwił mu również pracę w charakterze dyspozytora w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania. Podobno „pierwsze miesiące były spokojne”, ale gdy nawiązał kontakt z „wrocławskim środowiskiem twórczym”, oznaczało to „początek osobistej tragedii Rafała”.

Rozchwiany psychicznie Wojacek bez problemu znalazł swoje miejsce wśród artystów. Ponownie w jego życiu pojawiły się duże dawki alkoholu, nie unikał też innych środków odurzających. Piotr obserwował to z przerażeniem, on, stateczny inteligent, mąż i ojciec, nie mógł znieść obyczajów młodszego brata. Rafał nie pozostawał mu dłużny. Gardził jego „mieszczkańskim stylem życia”, regularnie zalewał łazienkę wodą, po czym następowały samookaleczenie i prośba o odwiezienie na pogotowie. I z satysfakcją brudził krwią tapicerkę ukochanego samochodu Piotra...

Wspólne przebywanie pod jednym dachem obu braci nie mogło trwać długo, Rafał został wyrzucony z willi i Wojaczek nigdy już nie doszli do porozumienia.

Poeta przeprowadził się do sublokatorskiego pokoju, ale nie mógł pogodzić się z tym, jak został potraktowany przez Piotra. Już następnego dnia powybił mu szyby w oknach...

Gdy kilka lat później pijany trafił pod willę brata, to z domu wybiegł ich ojciec, krzyząc: „Rafuś, ciebie tutaj nie powinno być!”. Okazało się, że Piotr świętował tego dnia jakieś swoje wydarzenie życiowe, co Rafał natychmiast wykorzystał do zemsty. Udał, że mdleje, a wniesiony do środka „nagle” odzyskał przytomność, powybił szyby i rozbił lampę. Rodzina wezwała milicję i młodszy z Wojaczków trafił do aresztu. Nie poczuwał się zresztą do żadnej winy i cynicznie mawiał, że „historia pokaże, kto miał rację”...

Poeta stracił też pracę w MPO i nie był zainteresowany poszukiwaniem nowego zajęcia. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, kontaktował się tylko z Tymoteuszem Karpowiczem, któremu przynosił wiersze do redakcji miesięcznika „Odra”. Utrzymywał się z tego, co przysłali mu rodzice, kilka razy próbował jednak coś zmienić w swoim życiu. Musiał się uważać za alkoholika, bowiem zdecydował się na wszycie esperalu, ale za każdym razem „go sobie – na żywca – wydłubywał”.

Na swój sposób prowadził jednak wygodne życie. Rodzice przysyłali mu pieniądze i opłacali kwaterę. Wojacek nie myślał nawet o takich sprawach jak pranie czy prasowanie. Brudną odzież „pakował do paczki i wysyłał do Mikołowa”, a w zamian otrzymywał czystą. Regularnie też dostawał od matki przesyłki z żywnością.

W tamtym okresie pił głównie w samotności, czasami tylko odwiedzał najgorsze mordownie.

„Nie mogę znieść tłumy – pisał do przyjaciółki w przeddzień wyjazdu do Wrocławia – wydaje mi się, że jestem deptany, że łażą po mnie mrówki, szczury i pochylam się coraz niżej, przelatując ulicami jak wariat. U siebie w Mikołowie boję się wyjść na ulicę. We Wrocławiu zgłoszę się do Kliniki Psychiatrycznej. Drażni mnie i ciąży owo wieszczowe »rozpoznanie« z Krakowa, kwalifikujące mnie jako »psychopatę«. I jeszcze numer statystyczny choroby. Bardzo przyjemnie być naznaczonym – i boję się ludzi, bardzo się boję”<sup>24</sup>.

## POETA

Słowa dotrzymał i w klinice psychiatrycznej spędził dwa majowe tygodnie 1965 roku. Wbrew pozorom nie było to dla niego traumatyczne przeżycie.

„To jest miejsce trochę niezwykłe – pisał w liście do przyjaciółki. – [...] Drzwi bez klamek, okna zakratowane. A co najdziwniejsze – można tu żyć. Można się przyzwyczaić. [...] Jest to inna planeta, śmiertelnikom zwykłym obca, a przeznaczona dla wizjonerów i innych”<sup>25</sup>.

Najwyraźniej uznał klinikę psychiatryczną za dobre miejsce do osiągnięcia spokoju ducha. Potwierdza to jego korespondencja z dyrektorem szpitala:

„Jedno zastrzeżenie, panie profesorze, być [...] może dla Pana zaskakujące:



sądzę, że jestem normalny, w pełni władz umysłowych. [...] Zdradzam tajemnicę, Profesorze (może mnie pan z zakładu po prostu wyrzucić): zgodziłem się, bo chciałem odosobnienia od ludzi, chciałem uzyskać warunki do spokoju i kontemplacji. A więc – świadomy wybór, decyzja wolna i niezależna, chyba zatem właśnie dowód normalności...”<sup>26</sup>.

Tłumaczył się również ze swojej decyzji o przyjeździe do szpitala. Podawał całkiem logiczne argumenty:

„A dlaczego, z jakich powodów? Zapewne przyczyny są skomplikowane, niebawem postaram się, abyśmy doszli do nich, wyjaśnili je; na samym wierzchu jest prosta i niebagatelna przyczyna, że skala wyboru miejsca odosobnienia, miejsca dla kontemplacji, stała się obecnie niesłychanie zawężona. Żyjemy tłumnie i zgiełkliwie. Cisza klasztorów jest dla nas niedostępna, żywot pustelniczy i prawie niemożliwy, i w jakimś sensie właśnie nienormalny, nie mieszczący się w świadomości społecznej, godny potępienia (choć teoretycznie byłby jeszcze możliwy gdzieś na jeziorach mazurskich czy w Bieszczadach). I oto paradoks: współczesnym miejscem kontemplacji [...] stały się więzienia lub zakłady podobne do tego, który Pan prowadzi: kliniki psychiatryczne”<sup>27</sup>.

Korespondencja z dyrektorem kliniki uważana jest przez biografów za koronny dowód na pełnię władz umysłowych Wojaczka. Od swoich rówieśników miał się odróżniać wyłącznie wrażliwością i talentem, miał być całkowicie poczytalny. Problemem pozostawała jednak tematyka jego poezji. „Nie dawał czytelnikowi żadnej szansy” i aby „wyłowić kilka pięknych wierszy, kazał brnąć po szyję w gnoju i ekskrementach”. Był jednak czytany, a w jego poezji zawsze pojawiały się intrygujące tematy: śmierć, gwałt, seks wyłącznie na poziomie fizjologii. Właściwie nigdy nie było wiadomo, czy pisze o miłości, o ojczyźnie, kobiecie czy śmierci.

Długo uczył się śmierci w niebie mu pisanej  
Gwiazdami: wreszcie ujrzał kąpiącą się w niebie.

Umyta jego wzrokiem nieskończonym z piany  
Chmur, Jungfrau już go w rękach w Alpy światła niesie.

Lecz tu kobiety jeszcze piją mu z rozporoka,  
Choć mężowie wzbraniają nie ochrzczonego batem.

Choć rzemień celnie kazał zamknąć usta krocza,  
Choć nagie kartki grzbietów już krwią zapisane.

I, ruszając gębami, dzielą się uczciwie  
Tym ciałem na talerzu pobożnego głodu.

A on wciąż się uśmiecha jak wtedy, gdy życie

Uduszone uciekło z pętli horyzontu<sup>28</sup>.

Czasami potrafił jeszcze bardziej zaskakiwać, tak jak w *Czterech aktach samobójczej śmierci*, gdzie główny bohater wiesza się, „kopnięciem wytrącając sobie cegły spod nóg”, i umierając, czuje tylko, „że mu opadają spodnie”...

„Wojaczka cechował brak obiektywizmu uczuciowego – pisał znawca jego twórczości Jan Marx – a bez niego nie do pomyślenia jest poezja prawdziwie tragiczna, pokazująca immanentny dramat losu. Właśnie taki, jak w greckiej tragedii, gdzie niezawiniony okrutny los miażdży ofiary. I dopiero tam jest patos, a przechodzenie czy przenikanie przez pięciomilimetrową szybę witryny kawiarnianej to błazenada, nawet nie tragiczna, tylko farsowa. Ja się zresztą nie dziwię, że Wojaczek szarżował na szyby, w których mógł się przejrzeć i nabrać obrzydzenia do odbitego w witrynie wizerunku swej obrzękłej z przepicia twarzy”<sup>29</sup>.

Nie zmienia to jednak faktu, że Wojaczek był autentycznie popularnym twórcą. Początkowo publikował tylko w czasopiśmie, ale jego debiutancki tomik *Sezon* z 1969 roku spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Poeta okazał się „głosem swojego pokolenia”...

## ANNA KOWALSKA

Pobyty w klinice psychiatrycznej był owocny także pod innym względem, Rafał poznał tam bowiem swoją przyszłą żonę. Anna Kowalska była uczennicą liceum medycznego, a w szpitalu odbywała praktyki.

Jesienią 1965 roku zaszła z Rafałem w ciążę, pobrali się w styczniu, a 15 czerwca dziewczyna urodziła córeczkę, Dagmarę. Rozeszli się chyba jeszcze przed urodzeniem dziecka, Rafał podobno nigdy nie zobaczył własnej córki.

Małżeństwo traktował jako kolejny element autokreacji i pewnego dnia obwieścił kolegom, że żona popełniła samobójstwo.

„[...] nagle zobaczyliśmy biegnącego w rozwianym płaszczu Rafała – wspominał Jan Feusette – który krzychał: »Tragedia! Tragedia!«. Wydawał się niesamowicie rozemocjonowany. »Moja żona nie żyje! – wołał. – Posłała mnie po cukier i w tym czasie coś zażyła. Nie udało się jej uratować«. [...] Rafał zachowywał się tak, jakby to wszystko rozegrało się rzeczywiście chwilę wcześniej. Dorzucił: »Biegnę do budki, żeby zawiadomić jej rodziców«. I pognął na dworzec do telefonu”<sup>30</sup>.

Następnego dnia opowiadał, że „załatwił z portierem wejście w nocy do kostnicy i będzie czuwał przy zmarłej żonie”. Zorganizował nawet stypę, na której pił z kolegami za spokój duszy zmarłej małżonki. Wszystko to okazało się konfabulacją, do czego zresztą sam się przyznał.

„Jakiś czas później – wspominał Janusz Styczeń – kiedy siedziałem z Rafałem w Empiku, powiedział do mnie, że ma sprawę rozwodową. Zamurowało mnie i powiedziałem do niego: »Sprawę rozwodową?! Przecież twoja żona zabiła się!«. Na co

Rafał zaczął się tłumaczyć, że wymyślił tę historię i zapomniał mi o tym powiedzieć<sup>31</sup>.

Nie płacił alimentów na dziecko, obowiązek ten spadł na jego ojca. W efekcie pan Edward zdecydował, że całość praw majątkowych do spuścizny po Rafale przejmie wnuczka, tak aby miała względnie zabezpieczony byt.

„Stosunek Wojaczka do kobiet był sadomasochistyczny – twierdził Styczeń. – Niszczył te kobiety, które go kochały. Zdarzyło mu się, że pobił swoją dziewczynę. Odchodziła wówczas, a Wojaczek robił wszystko, by wróciła<sup>32</sup>.”

## TERESA ZIOMBER

„Pamiętam dokładnie Rafała zakochanego w Teresie – wspominał Jan Feusette – której wtedy nie znał, tylko obserwował ją przez stoliki w Empiku. [...] Któregoś dnia powiedział do mnie, wskazując młodą kobietę: »Weź tę karteczkę i zanieś tamtej dziewczynie«. »A dlaczego tamtej?« – zapytałem. »Bo to jest Teresa!«. Wiedziałem, o kogo chodzi, bo już wcześniej, wzdychając, dużo o niej mówił<sup>33</sup>.”

Dziewczyna była od niego o dwa lata starsza, studiowała polonistykę. Jak się okazało, ich związek miał przetrwać ponad trzy lata, chociaż Rafał podobno traktował partnerkę „jak obiekt doświadczeń”.

„Kiedyś powiedziałam do niego, że jestem tylko pretekstem dla jego poezji – wspominała Teresa. – Świadczy to o tym, że już wówczas miałam świadomość tego, iż w pewnym sensie traktuje mnie instrumentalnie, jak narzędzie. Jakkolwiek trudno się do tego przyznać, nie przeszkadzało mi to. W jednym z listów [do mnie – S.K.] napisał nawet: »Teresa to pisać, pisać to Teresa«<sup>34</sup>.”

Lata wspólnie spędzone okazały się najpłodniejszymi w biografii artystycznej Rafała. Tworzyli parę, której wzajemne relacje były kompletnie niezrozumiałe dla otoczenia.

„Teresa bardzo niewiele mówiła – wspominał Ernest Dyczek – a kiedy już się odezwała, Rafał komentował to zazwyczaj nieprzyjemnie. Byli trochę jak sadysta z masochistką. Niemniej Rafał był na pewno zaangażowany w ten związek, ale nie umiem określić, w jakim stopniu. Teresa chyba z konieczności robiła za jego opiekunkę<sup>35</sup>.”

Dziewczyna widziała w Rafale „geniusza w skórze dziecka”, a związek z nim był wyjątkowo absorbujący. Ona groziła zerwaniem, on samobójstwem. Podczas kłótni teatralnie mdlał (podobno robił to doskonale), nie zwracając uwagi na miejsce i otoczenie.

„Siedzimy kiedyś w klubie – opowiadała Jadwiga Jasińska, przyjaciółka Teresy Ziomber – rozmawiamy o Wojaczku, a tu nagle wchodzi Rafał z szycją owiniętą ręcznikiem i siada pod oknem. Teresa mówi, idź z nim na pogotowie, bo pociął się. Ja nie mogę, bo się z nim pokłóciłam, mówi, i muszę mu udowodnić, że to mnie nie obchodzi. Błagam cię, jedź z nim, prosiła. Dała mi pieniądze na taksówkę. No to podeszłam do Rafała i mówię, chodź, Rafał, idziemy na pogotowie. A on od razu zgodził

się i poszliśmy. Kiedy zajechaliśmy pod pogotowie, w poczekalni było jakieś lustro. Rafał zdjął ręcznik i zerka w lustro. A tam niewielkie strupki. Szybko zaczął je drapać, by poszła krew. I krew poszła”<sup>36</sup>.

Czasami jednak Wojaczek potrafił być zupełnie inny. Gdy brakło widowni, to zachowywał się zupełnie normalnie. Przestrzegał zasad savoir-vivre’u, a przy kobietach nie palił papierosów.

Fenomen jego związku z Teresą wyjaśnić może udane życie erotyczne, co sprawiło, że byli ze sobą przez kilka lat. Łączyła ich wielka namiętność, fascynacja fizyczna odgrywała decydującą rolę w ich kontaktach.

„Spotykaliśmy się codziennie – opowiadała Teresa – i często przez cały dzień, aż do wieczora, wzniecaliśmy w sobie pożądanie, chęć bycia ze sobą. To były niemal nieustające gody, ciągłe uwodzenie. Rafał miał na to swój sposób – listy, a ja wykorzystywałam typowo babskie zagrania, na przykład biegałam od stolika do stolika w bardzo krótkiej spódniczce, tak się nachylając, żeby było widać bieliznę. [...] Spędzając cały dzień razem, konsekwentnie budowaliśmy napięcie. Był to rodzaj gry wstępnej, która w nocy kończyła się bardzo namiętnie. [...] Rafał był bardzo ciepły, delikatny i czuły”<sup>37</sup>.

Pewnego dnia Wojaczek nawet uciekł z pociągu, nie mógł bowiem znieść prowokacyjnego zachowania partnerki:

„Miałam na niego takie kobiece sposoby, sposobiki. W czasie rozmowy dotykałam niby przypadkiem jego kolana, ramienia. [...] Kiedyś jechaliśmy pociągiem do mojej mamy do Bytomia. On mnie odwoził kilka stacji, taki miał zwyczaj. [...] Rafał siedział naprzeciwko mnie, a ja nogę na nogę i trzask – szeleszczą pończochy. On mówi »przestań«, ja jeszcze raz. Aż uciekł, wysiadł na najbliższej stacji i, jak mi potem opowiadał, skorzystał z praktyki Onana...”<sup>38</sup>.

Planowali legalizację związku i nawet złożyli już dokumenty w urzędzie stanu cywilnego. Po kolejnej kłótni Teresa jednak je wycofała, „podała i obsypała go nimi”. A Rafał „nie przepuścił wtedy takiej okazji do okaleczenia się”.

Po innej awanturze groził jej samobójstwem i spisał testament, w którym przeniósł na nią wszystkie prawa autorskie. Teresa zatrzymała dokument, nigdy jednak nie próbowała go wyegzekwować. Tłumaczyła to problemami ze zdrowiem oraz „skrupułami wobec córki Rafała – Dagmary”. Niewykluczone też, że nie traktowała poważnie całej sprawy.

Rozstali się we wrześniu 1969 roku, bez „żadnych hysterii, ku naszemu obopólnemu zresztą zadowoleniu”. Teresa związała się z kolegą z wydawnictwa, za którego niebawem wyszła za mąż. Jej małżeństwo okazało się jednak nieudane i dziewczyna spędziła kilka lat w zakładach psychiatrycznych. Natomiast Rafał znalazł ukojenie w ramionach swojej sublokatorki.

„Myślę, że Rafał był absolutnie zdrow psychicznie – uważała Teresa – a co więcej – posiadał wielką samoświadomość. [...] O chorobie psychicznej można mówić wtedy, kiedy osoba traci kontakt z rzeczywistością. Tymczasem on, jestem tego pewna, ten kontakt miał bardzo dobry. [...] Denerwowały mnie jego stany melancholii czy zamyślenia, więc próbowałam z tym walczyć, ponieważ uważałam, że to wszystko jest grą. Nie ufałam temu, kiedy siadał ze wzrokiem wbitym w buty albo w sufit. Jego napięcia zbywałam prostym: »Rafał, przestań się wygłupiać«. Stanowczo chcę powiedzieć, że nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że jest chory. Inny tak, ale nie chory”<sup>39</sup>.

Trudno negować opinię osoby, która najlepiej ze wszystkich знаła Wojaczka. Zresztą sam poeta tłumaczył przyjaciółom, że jego postawa „dobrze wpływa na recepcję twórczości”. Uważał bowiem, że nawet najlepszy wiersz może zostać niezauważony, natomiast utwory poety skandalisty na pewno spotkają się z zainteresowaniem.

„Rafał byłby chyba zdumiony – uważał Bogusław Kierc – gdyby za jego życia ktoś usiłował stawiać go na pozycjach metafizycznych. Miał siebie za poetę, który dzięki dobrze opanowanemu rzemiosłu może penetrować przestrzenie materii i ducha bez rozdzielania ich [...] i bez wprawiania siebie w nadzwyczajne stany szamańskiego oszołomienia”<sup>40</sup>.

Nie jest to jednak do końca prawdą, Rafał był bowiem alkoholikiem, a gdy nie starczało mu na wódkę, to pijał, co popadło. Nie gardził nawet wodą brzożową czy spirytusem salicylowym.

„Wiem na pewno – wspominał Stanisław Srokowski – że kiedy kupował wodę brzożową albo spirytus, robił to z braku pieniędzy. Pierwszą jego książkę, którą oblewaliśmy nad Odrą, powinniśmy opijać dobrym koniakiem, ale nie było na to pieniędzy. Piliśmy więc wódkę i wina patykiem pisane, a Rafał miał, jak wspomniałem, dodatkowe »wynalazki«”<sup>41</sup>.

Potrafił jednak regularnie pisać, czego ukoronowaniem było kilka tomików poetyckich (tylko dwa ukazały się za jego życia). Zawsze nosił jeden egzemplarz w kieszeni, aby w razie potrzeby obdarować nim kogoś spotkanego. Pisał do periodyków literackich, umiejętnie dawkując materiał i starając się, aby jego publikacje wychodziły regularnie. Dzięki temu wciąż przypominał o sobie czytelnikom.

Potrafił też zaskarbić sobie przychylność środowiska literackiego Wrocławia. Wkrótce po swoim debiucie zadbał, aby było o nim głośno. Nie pożałował na to pieniędzy.

„Już parę dni później – wspominał Jan Feusette – pewnie wielu ludzi o tym opowiadało, miało miejsce słynne pijackie wydarzenie, właśnie w Klubie Związków Twórczych, gdzie Rafał wkupywał się w świętek literacki Wrocławia. Całą swoją pensję, czyli to, co dostawał od rodziców, wydał wtedy w jeden wieczór. Urządził wtedy super-pijaństwo, które trwało jeszcze sporo czasu po zamknięciu Klubu. Wojaczek zapłacił kelnerom i mogliśmy naprawdę długo imprezować. To była świetna zabawa”<sup>42</sup>.

Wprawdzie „Rafał po tej balandze ostentacyjnie głodował”, ale były to dobrze zainwestowane pieniądze. Zdobył kontakty w środowisku literackim, dzięki czemu mógł w nim funkcjonować.



„To był okres, kiedy Rafał był bardzo spokojny – potwierdzał Janusz Styczeń. – Zażywał wówczas jakieś leki. Pamiętam, że jeszcze w marcu podejmował nas, nowo poznanych poetów, wódką. Sam jednak nie pił, tylko spoglądał na zegarek i o wyznaczonej godzinie brał tabletkę. [...] Mocno upijaliśmy się, a Wojacek pozostał do końca trzeźwy”<sup>43</sup>.

Niestety, leki „brał krótko, ponieważ niedługo później zaczęły się jego dziwne zachowania i picie alkoholu”. Wprawdzie niektórzy twierdzili, że było to elementem autokreacji, ale poeta bez farmakologii nie mógł się uporać ze swoimi demonami.

Zachowywał się agresywnie, potrafił przewrócić zastawiony stół, gdy ktoś dla żartu schował mu kieliszek. Zdarzały się również groźniejsze ekscesy.

„Było spokojnie, przyjemnie – wspominał spotkanie w Klubie Związków Twórczych Stanisław Srokowski. – Piliśmy jakiś alkohol, ale to nie było żadne pijaństwo. Na stoliku stała butelka po wodzie mineralnej i dwa kieliszki. W pewnym momencie Czopik [Jan Czopik-Leżachowski, pisarz – S.K.] z sąsiedniego stolika zwrócił się do Wojaczka, pytając go o coś. Rafał rzucił do niego krótko: »Nie przeszkadzaj!«. Jasiu spróbował po raz drugi, na pewno nie nachalnie, a zwyczajnie, bardzo grzecznie. Wojacek w odpowiedzi, nie zastanawiając się, złapał butelkę ze stolika i cisnął w jego stronę. Czopik się uchylił i butelka przeleciała koło jego głowy”<sup>44</sup>.

To nie był wyjątek, czasami naprawdę lała się krew. Poeta nie miał zahamowań nawet w miejscach publicznych, takich jak salon Empiku. W tamtych czasach podawano tam alkohol.

„Kiedyś w Empiku rozbił mi na głowie butelkę wina – wspominał poeta i dziennikarz Aleksander Rozenfeld. – Był wówczas bardzo pijany. Wszyscy wkoło zamarli, bo po czole spływała mi krew i wino. Wtedy rozłożyłem ręce i powiedziałem do niego: »Boże, zostałem namaszczony!«”<sup>45</sup>.

Gdy nie chciano go wpuścić do Klubu Związków Twórczych (odbywało się tam uroczyste spotkanie Związku Literatów), to powiesił portiera na wieszaku za szelki i wszedł na salę. Następnie zbliżył się „do Zbyszka Kubikowskiego, ówczesnego prezesa oddziału ZLP [...]. Przełożył go sobie przez kolano i dał mu kilka klapsów”. Prezes wezwał milicję i Rafał trafił do aresztu. Tam zresztą również sprawiał kłopoty, twierdził, że ma wrzody żołądka i zaraz dostanie zawału serca. Po wyjściu na wolność musiał podpisać oświadczenie, że nigdy nie pojawi się w klubie w stanie nietrzeźwym.

Utrzymywali go rodzice, dostawał też honoraria autorskie, tantiemy i stypendia. Jednak wciąż brakowało mu pieniędzy, a możliwość pogrążenia się w alkoholowy niebyt stanowiła dla niego pokusę, której nie mógł się oprzeć.

„[...] oświadczył, że zamierza wypić [...] ćwiartkę spirytusu na raz, ale muszę mu w tym pomóc – wspominał Henryk Wolniak-Zbożydarzyc – ponieważ taka dawka czystego spirytusu może być śmiertelna. Poprosił, abym go przytrzymał wpół. Zrobiłem, co chciał, a Rafał wychylił buteleczkę. Niedługo jednak wytrzymał, ponieważ jego organizm, broniąc się prawdopodobnie przed trucizną, spowodował torsje. Rafał zwymiotował”<sup>46</sup>.

Niewykluczone, że uzależnił się również od samookaleczeń. Przy regularnym

zadawaniu bólu wydzielają się bowiem endorfiny, co może dawać uczucie ulgi i rozładowywać napięcie. Zachowały się relacje, że Wojacek potrafił nagle przerwać rozmowę, udać się do łazienki i rozciąć sobie skórę. Całe ciało miał pokryte bliznami po podobnych zabiegach.

„Siedzieliśmy we trójkę w ciszy, w niewielkim pokoju – wspominała Danuta Kierc. – Pamiętam dość wyjątkową, pełną napięcia milkliwość Rafała. Niewątpliwie był w stanie depresji. Zresztą mówił coś o tym, ale ja wtedy nie miałam pojęcia, jak to się objawia. [...] Cały drżał. [...] Usłyszałam trzask. Rafał zgniótł szklanekę, szkło rozbiło się, herbata rozlała. [...] Rafał przeprosił, poszedł do łazienki, gdzie pociął sobie policzki tymi kawałkami szkła albo może żyłką (raczej żyłką). Przywołany przez niego Boguś pomógł mu zatamować krew watą wyjętą z apteczki”<sup>47</sup>.

Wojacek zachlapał wówczas kaftanik córki państwa Kierców, który do dzisiaj przechowywany jest u nich jak relikwia...

Był niezwykle drażliwy na punkcie swojej twórczości i zdarzało mu się zrywać znajomość, gdy ktoś uznał jego wiersz za „średnio dobry”. Jeden z kolegów wspominał, że starał się nie krytykować jego utworów, bo „dostałby w mordę” od autora...

Rafał powoli tracił kontakt z rzeczywistością i trudno było już dostrzec, co w jego zachowaniu jest jeszcze grą, a co nowym stadium choroby psychicznej.

„[...] wysyłał niektórym znajomym swoją fotografię z wykaligrafowanym na czole napisem INRI – wspominał Bogusław Kierc. – Co mnie nie zdziwiło, bo to pragnienie (niemożliwego) upodabniania się do Chrystusa (a raczej do »roli« Chrystusa) było dla mnie widoczne niemal od początku naszej znajomości”<sup>48</sup>.

## ŚMIERĆ

Wojacek twierdził, że „śmierć go nie interesuje”, pasjonuje go natomiast sam proces umierania. Chciał poznać stan graniczny i jego próby samobójcze raczej nie miały na celu utraty życia, a jedynie przybliżenie się do śmierci.

Inna sprawa, że ciągle zagrożenie samobójstwem przestało wreszcie działać na otoczenie.

„Rano wieszalałam w łazience na cienkim sznurku ręcznik – wspominała jego sublokatorka. – Pech chciał, że sznurek się urwał. Zawiązałam go jeszcze raz. Wieczorem Rafał był w złym humorze, pokłócił się z dziewczyną i idzie się wieszać do łazienki. Powiedział, że to koniec i on się powiesi. Jak zobaczyłam, że on staje na wannie i przymierza się do tego cieniutkiego sznurka, dostałam ataku śmiechu. Rafał się zdenerwował, ubrał i wyszedł do miasta”<sup>49</sup>.

Ostatnią dziewczyną poety była aktorka, koleżanka ze studiów aktorskich brata, Elżbieta Fediuk. Związał się z nią na dwa miesiące przed śmiercią, nie zrywając jednak z dotychczasową partnerką, Grażyną Lisowską.

„Elka była fajną, szczupłą, a nawet chudą dziewczyną o wydatnym nosie – opowiadała Wanda Ziembicka-Has. – Miała długie blond włosy, związane najczęściej

w koński ogon. Poruszała się z kocią gracją, ponieważ była niezwykle wygimnastykowana. Skończyła, zdaje się, szkołę cyrkową w Julinku pod Warszawą, zanim trafiła do aktorskiej w Krakowie. To nie była może dziewczyna, za którą odwracali się faceci na ulicach, ale miała w sobie coś tajemniczego. Była raczej skrytą, zamkniętą w sobie osobą, ale bardzo inteligentną”<sup>50</sup>.

Nowy związek zbiegł się z kolejnym atakiem depresji poety. Nie był w stanie tworzyć, czuł się z tego powodu sfrustrowany, miał już przydzielone miejsce w szpitalu psychiatrycznym.

„[...] nie był łatwym partnerem – kontynuowała pani Wanda. – Wiem, że Ela często przez niego płakała, miała z nim po prostu koszmar. Nigdy nie rozmawiałam z nią na tematy intymne, ale zapytałam ją kiedyś: »Elżbieta, jak możesz się tak nieszczęśliwie kochać?«. Odpowiedziała mi tylko, że on jest wspaniałym człowiekiem, wielkim poetą i musi pisać. [...] Bardzo zależało jej, żeby napisał dla niej tekst, z którego ona zrobi monodram”<sup>51</sup>.

Wojacek pogrążał się w swoim świecie, pokój, w którym mieszkał, sprawiał przygnębiające wrażenie. Był „ciemny, miał tylko niewyraźne boczne światło, a podłoga w nim była pomalowana na czarno”. Główny element jego wyposażenia stanowiła trumna, której poeta używał zamiast łóżka.

10 maja 1971 roku zapisał na kartce nazwy i liczbę tabletek, które zażył: tardyl – 15, glimid – 10, karoten – 5, phanodorm – 5, anticol – 5, thioridazin – 10. Zanim stracił przytomność, rzucił jeszcze popielniczką w ścianę, za którą przebywała jego była dziewczyna i sublokatorka Grażyna Lisowska. Ta zignorowała jednak hałas, a gdy wreszcie pojawiła się, to uznała, że poeta śpi. Prawdę poznała dopiero następnego dnia.

Rafał Wojacek został pochowany dwa dni później na cmentarzu św. Wawrzyńca we Wrocławiu. Pogrzeb był uroczystością godną poety skandalisty, bowiem niektóre wydarzenia wprawiły uczestników ceremonii w konsternację.

„Kiedy przyszło do złożenia zwłok – wspominał Jan Krasnodębski – okazało się, że trumna nie zmieściła się do dołu, który wykopali grabarze, bo Rafał był duży, a trumna proporcjonalna do jego wzrostu. [...] Jego brat, Piotr, zachowywał się tak, jakby mu się strasznie spieszyło, by mieć tę ceremonię »z głowy«, i chciał rozrzucić raz-dwa wiązanki oraz wieńce, by jak najszybciej wrócić do domu. Zaczął więc tę trumnę kopać, żeby weszła do środka. Mówiąc inaczej, próbował ją na siłę wepchnąć do wykopanego dołu. Wywołało to wzburzenie wśród obecnych”<sup>52</sup>.

Kilku żałobników pomogło powiększyć dół i ciało poety złożono w grobie. Oddzielną natomiast sensację wywołał „pochód wdów” po Wojaczk.

„Uderzyła mnie podczas tej ceremonii jedna rzecz – relacjonowała Ilona Wojacek-Szczęśna – pierwszy raz byłam na pogrzebie, na którym znalazło się aż tyle narzeczonych nieboszczyka. To było niezwykle! One nie szły w kondukcje, ponieważ w nim kroczyła prawowita – choć wtedy już była – małżonka. Później jednak zauważyłam, że pod okolicznymi drzewami stało kilka rzucających się w oczy, smutnych i ubranych na czarno pań. Jedna z nich trzymała w dłoniach białe lilie wylewające się żałobnie, inna – w ogromnych ciemnych okularach i czarnej chuście na głowie – cicho płakała... Dośpiewałam sobie, że skoro nie zbliżają się do nas, tylko

stoją w pewnej odległości, to pewnie są niedoszłymi wdowami. Były co najmniej trzy takie żałobnice”<sup>53</sup>.

W chwili śmierci poeta miał niespełna 26 lat. W następnych latach wyszły kolejne jego tomiki poetyckie. Łącznie osiągnęły nakład kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, a poeta do dzisiaj jest legendą Wrocławia. Przy okazji rocznicy śmierci lub Zaduszek sympatycy Wojaczka odwiedzają jego grób i zostawiają drobne upominki: monety, kromki chleba, kieliszki wódki. Pojawiają się też pończochy...



# **Rozdział 6**

## **Janek i Zdzisio**





**„Przyjaźń Maklakiewicza z Himilsbachem** była przyjaźnią taką dość ciekawą, bo Janek Himilsbach w zasadzie był człowiekiem piszącym, pisarzem. Zdzich Maklakiewicz był aktorem. I każdy z nich miał swojego idola. Idolem Himilsbacha był Marek Hłasko, wielki amator wódeczki, Himilsbach też. A idolem Maklaka był Zbyszek Cybulski. I te wszystkie ich opowieści i przepychanki to były: który z nich lepszy? Który ciekawszy? Oni się szalenie licytowali tymi swoimi idolami, który z nich jest ważniejszy”.

(Janusz Głowacki)



„[...] ludzie ich lubili, ponieważ im nie zazdrościli – tak fenomen popularności Jana Himilsbacha i Zdzisława Maklakiewicza wyjaśniał Janusz Głowacki. – Oni niby zrobili karierę, ale widać było, że to nic nie dało, że oni dalej na ekranie i w życiu byli obdarci, zapijaczeni i pożyczali pieniądze. I sfrustrowany naród mógł się z nimi jakoś utożsamiać. I mógł się utożsamiać z ich marzeniami: wygrać parę złotych w lotka i przelatać to samolotem, albo iść do Hali Mirowskiej na rewię japońską, albo upić się kiedyś tak, żeby zapomnieć o milicji i strachu i wywrócić wszystkie pojemniki na śmieci. Poczuć się wolnym człowiekiem”<sup>1</sup>.

O tej parze outsiderów polskiego kina do dzisiaj opowiada się dziesiątki anegdot i trudno odróżnić legendę od faktu. Obaj panowie słynęli z rozrywkowego trybu życia, nie przywiązywali też większej wagi do dóbr doczesnych ani własnego wyglądu. Na ekranie grali samych siebie, bez żadnych upiększeń i retuszy. Odeszli przedwcześnie, umarli tak, jak żyli, w oparach alkoholu, który towarzyszył im przez lata.

## KAMIENIARZ Z MIŃSKA

„Matka pochodziła znad Bajkału – opowiadał Jan Himilsbach – była Rosjanką, ojciec, jak samo nazwisko mówi, Niemcem, zesłańcem na Syberię. I tam poznali się rodzice. Ja się urodziłem 1 maja. [...] We wszystkich dokumentach mam, że jestem urodzony 31 listopada, a listopad, jak wszystkim wiadomo, nie ma 31 dni, tylko zawsze 30”<sup>2</sup>.

W dokumentach pana Janka faktycznie figurowała ta absurdalna data urodzin, nie jest to jednak największym problemem jego biografów. O wczesnych latach życia Himilsbacha wiadomo niewiele i niczego właściwie nie można być pewnym. Tym bardziej że sam zainteresowany podawał sprzeczne informacje.

Urodził się w 1931 roku w Mińsku Mazowieckim, jego matka faktycznie pochodziła z za wschodniej granicy. Jedni uważali ją za Rosjankę, inni za Tatarkę, nigdy też nie wyszła za mąż, a Janek był nieślubnym dzieckiem. Na temat ojca nie posiadamy właściwie żadnych sprawdzonych informacji. Miał być Niemcem, Żydem, ewentualnie oficerem z miejscowego pułku ułanów. Nie wiadomo też, czy Janek odziedziczył nazwisko po ojcu, czy matce.

Chłopak dorastał w biedzie, matka pracowała jako sprzątaczką, nadużywała

alkoholu. Gdy w 1942 roku zmarła, zajęła się nim sąsiadka, prostytutka Marianna Berkman. To właśnie ją Himilsbach sportretował po latach jako Mańkę Pędzel w jednym z opowiadań.

Trwała wojna, chłopak porzucił szkołę i utrzymywał się z kradzieży. Jak sam przyznawał, „nie zaprzestał tego procederu” także po wkroczeniu Sowietów, w efekcie został aresztowany i osadzony w domu poprawczym w Szubinie.

„[...] tam były warsztaty: szewski, stolarski, krawiecki – wspominał. – Uczono nas po prostu zawodu. No i o dziwo, w nagrodę zostałem skierowany do kamieniołomów, do Strzegomia. Tam nauczyłem się swojego zawodu”<sup>3</sup>.

Informacje na temat jego dalszych losów są sprzeczne. Osobiście opowiadał, że pracował w kopalniach na Śląsku, podobno przez pewien czas przebywał także na Wybrzeżu, gdzie miał być tragarzem czy też robotnikiem portowym. Jego opowieści najczęściej nie zasługują jednak na wiarę, chociaż bez wątpienia były niezwykle barwne.

„[...] Himilsbach twierdził – wspominał Głowacki – że raz uciekał łódką przez Bałtyk, a kiedy dogonili go motorówką żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza, długo bronił się wiosłem, ale ostatecznie złapali go na łąso. Ponieważ był pijany i upierał się, że zablądził, potraktowano go łagodnie. Zaprowadzono na komisariat, gdzie mieszkało dwóch milicjantów kawalerów. Wybierali się na ślub kolegi, więc zostawili Janka samego, prosząc, żeby przyjmował telefony. Rano go z wdzięczności wypuścili”<sup>4</sup>.

Na pewien czas powrócił do Mińska Mazowieckiego, gdzie pracował jako grabarz, a następnie zatrudnił się w zakładzie kamieniarskim. Firma została przeniesiona do Warszawy, a wraz z nią do stolicy trafił pan Janek.

„Himilsbach chadzał po cmentarzach jako »wolny elektron«, szukał pracy dorywczej – opowiadał były dyrektor cmentarza żydowskiego w Warszawie Bolesław Szenicer. – Ale jeśli już brał jakąś pracę, to niezbyt poważną. Jak pamiętam, był raczej słabym mężczyzną, a w kamieniarstwie potrzeba siły. Nie nadawał się do dźwigania, raczej literkę jakąś wykuć, szlaczek, coś zafugować... Najczęściej chodziło mu o to, żeby coś wypić. I pogadać. Z nim dobierało się takie towarzystwo jak on. Obracał się wśród artystów, malarzy, niebieskich ptaków, którzy też przychodzili na cmentarz, żeby się napić”<sup>5</sup>.

Po latach aktor lubił chwalić się osobistym wkładem w odbudowę Warszawy, miał ponoć brać udział w pracach przy wystroju Starówki i placu Konstytucji. Pokazywał nawet znajomym zdobienia na elewacjach, twierdząc, że wyszły spod jego ręki. Prawda była jednak inna, chociaż bowiem faktycznie pracował na MDM-ie jako pomocnik kamieniarza, to jednak nie potrafiłby samodzielnie wykonać złożonych motywów dekoracyjnych. Podobnie było zresztą w przypadku grobowców na cmentarzu.

„Janek robił głównie doróbki, elementy nagrobków – wyjaśniał jego znajomy, kamieniarz Lucjan Krzesiewicz. – Nie mógłbym jednak [...] wskazać grobu i powiedzieć: to wykonał Janek Himilsbach. Nic znaczącego po sobie nie zostawił”<sup>6</sup>.

Kamieniarsstwo było wyjątkowo intratnym zajęciem, a dobrzy fachowcy zarabiali poważne pieniądze. I chociaż urzędnicy próbowali ograniczyć ich dochody, to zawsze znajdowano sposób, aby obejść przepisy. Najlepsi w branży zarabiali kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie (czasami nawet znacznie więcej), podczas gdy absolwent wyższej

uczelnii inkasował niewiele ponad tysiąc.

„Kamieniarze zwykle nie dożywają późnego wieku – tłumaczył Krzesiewicz. – Praca na cmentarzu nie jest ani łatwa, ani przyjemna. Ludzie, którzy tam pracują, prawie zawsze drinkują”<sup>7</sup>.

Himilbach wielokrotnie powracał do zawodu, szczególnie wówczas, kiedy kończyły mu się tantiemy autorskie lub honoraria filmowe. O jego losach zdecydował bowiem przypadek, okazało się, że ten niewykształcony człowiek posiada talent literacki. I to talent wysokiej próby.

## LITERAT JAN HIMILSBACH

„Miałem przed sobą świetną przyszłość jako starszy grabarz – pisał Himilbach – tym bardziej że z jednej strony byłem partyjny, a z drugiej należałem do kółka różańcowego. Gdybym wtedy nie rozrabiał i siedział cicho na miejscu jak człowiek, to z czasem mogłem zostać nawet kwaterowym, mieć swój rejon na cmentarzu, gdzie nikt prócz mnie i dyrektora zarządu cmentarza nie miał nic do gadania, ale to już tak w życiu bywa, że jak ktoś głupi ma chleb, to szuka jeszcze bułki. [...] Napisałem kilka wierszy i to mnie zgubiło”<sup>8</sup>.

Himilbach debiutował w 1951 roku, nie była mu jednak przeznaczona kariera poety. Znacznie większy talent przejawiał jako prozaik, pisał opowiadania oparte na wątkach autobiograficznych. Szybko też zwrócił na siebie uwagę decydentów życia literackiego, niewykształcony robotnik obdarzony talentem literackim stanowił bowiem znakomity symbol awansu społecznego. Bez problemów też przyjęto go w szeregi Koła Młodych Związku Literatów Polskich.

„Z Jankiem zaprzyjaźniłem się od razu – wspominał poeta Ernest Bryll – bo wydawał się bardzo »robotniczy«: niski, grubo ciosany, z charakterystycznym głosem. Starsi pisarze zachwycali się Himilbachem, bo dla nich robotnik to było coś nowego, nieznanego, egzotycznego. Podczas dyskusji, które tam były na porządku dziennym, słuchali go z niezwykłą uwagą, co nas młodych przerażało, bo Jaś czasami wyplatał okropne brednie. Ale był fajny chłopak. Przez jakiś czas pomieszkiwałem u niego. On wtedy mieszkał na statku wiślanym »Waryński«, bo pracował jako palacz w kotłowni. Statek był zacumowany przy Wybrzeżu Kościuszkowskim. [...] Jasio zajmował niewielką kajutę, w której była taka maleńka dodatkowa górna koja, gdzie sypiałem. Potem dostałem akademik i moje problemy mieszkaniowe rozwiązały się”<sup>9</sup>.

Talent literacki pana Janka stał się tematem dowcipów ze strony kamieniarzy. Himilbach nie wypierał się jednak swojego środowiska i przez długi jeszcze czas pracował w zawodzie, a na cmentarzu odwiedzali go nawet pisarze o uznanych nazwiskach (Roman Śliwonik, Andrzej Brycht, Witold Dąbrowski). Panowie bez problemu znajdowali wspólny język z kamieniarzami, a alkohol spożywali w podobnych co oni ilościach. Bolesław Szenicer regularnie widywał Himilbacha w zakładzie kamieniarskim Pohulajewskiego przy Cmentarzu Powązkowskim:



„Zbierało się tam najlepsze towarzystwo: Duży Henio, Kubicki, Himilsbach... Cała kamieniarska elita. Warsztat był bardzo zaniedbany, ale przyjęcia zawsze wystawne, stół uginał się od jedzenia i napojów. Kiedy doszli już do wniosku, że muszą wziąć się za robotę, szli na Powązki, ale po drodze wpadali Pod Trupka [bar z wyszynkiem przy cmentarzu – S.K.], a potem robiło się ciemno, więc znowu do Pohulajewskiego. Zdarzało się, że całe dni tak chodzili i nic nie zrobili. A całą robotę odwalali za nich chłopci ze wsi, którzy mieszkali u Pohulajewskiego i pracowali za jedzenie, mieszkanie i niewysokie wynagrodzenie. [...] No więc zwykle tak było, że chłopci tyrali, a kamieniarze balowali jak paniska”<sup>10</sup>.

Alkohol w życiu Himilsbacha istniał praktycznie „od zawsze”. Piła jego matka, piła opiekunka, a on niemal zawsze był na rauszu. Początkowo jednak wyglądało to zupełnie inaczej niż w późniejszym okresie, kiedy to stał się prawdziwym postrachem warszawskich lokali.

„Jasio był trunkowy, odkąd go znałem – wspominał Ernest Bryll. – Ale wtedy był inaczej trunkowy niż w czasach późniejszych, kiedy został już sławnym aktorem: w sympatyczny, wesoły sposób. Miał nieokiełznaną fantazję. Chodziliśmy po knajpkach. Popijaliśmy, jadaliśmy w barach mlecznych, głównie placki kartoflane... Pisał książkę o Buczku, starał się stworzyć wielki epos o tym komunistycznym bohaterze. Kierując się radami naszych świątłych nauczycieli, pisał dzieło w duchu realizmu socjalistycznego, co przychodziło mu upiornie ciężko”<sup>11</sup>.

Książki o Marianie Buczku, bohaterze Komunistycznej Partii Polski, oczywiście nigdy nie ukończył, co nie przeszkadzało mu z tego powodu przez całe lata pobierać stypendium. W taki sposób postępowała bowiem większość autorów, w PRL podobne praktyki były na porządku dziennym.

Pan Janek był alkoholikiem, miał jednak swój pijacki kodeks postępowania.

„On nie był śmieciem – oceniał go pracownik izby wytrzeźwień Stanisław Głogowski – choć niektórzy usiłowali go tak traktować. Jak nie zapił się do nieprzytomności, był honorowy, lojalny. Nie pożyczał pieniędzy od ludzi. Można było na nim polegać. Był wierny”<sup>12</sup>.

Za życia Himilsbacha ukazały się jego trzy zbiory opowiadań: *Monidło*, *Przepychanka*, *Łzy sołtysa*. Wywarły duże wrażenie na środowisku literackim, Krzysztof Mętrak porównywał go do Faulknera, z entuzjazmem wyrażali się o nim Konwicki czy Młodożeniec. Nic zatem dziwnego, że wśród warszawskich elit zapanowała snobistyczna moda na osobę ich autora.

„Przezabawne i arcydelikatne widowisko odbywa się aktualnie z moim kolegą Janem Himilsbachem – notował Konwicki – który wydał właśnie tom opowiadań *Przepychanka*. Wszyscy ludzie ambitni i na wyższym poziomie wymieniają bileciki wizytowe w sprawie Himilsbacha. Odbywa się cichy oraz dyskretny pojedynek o prawo pierwszeństwa do najelegantszego skwitowania *Przepychanki*”<sup>13</sup>.

Nie wszyscy byli jednak zadowoleni z nagłego wywyższenia prostego kamieniarza, pod rzekomymi komplementami kryło się wiele nieszczerych opinii i zwykła ludzka zawiść.

„Himilsbach to typulo – kontynuował Konwicki – może dozorca domowy, a może

boży człowiek, a może Sabała warszawski, a może podwórkowy błazen. Więc odbiera Himilsbach dowcipne bukieciki, przekornie ułożone, które najczęściej wyglądają na sztuczne i zaopatrzone w petardkę. Komplementariusze zerkają na boki, zerkają po swoich, czy dostrzeżono ich wielkopański gest wobec prostaka i czy dostrzeżono też minę, bo mina jest obowiązkowa, mina szelmowska i asekuracyjna, mina nasza polska, co wykrzywiła nam na zawsze rysy poczciwych twarzy”<sup>14</sup>.

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że sam zainteresowany nie ułatwiał sytuacji.

Konwicky, Młodożeniec czy Bryll mogli go traktować jak równorzędnego partnera, ale dla reszty bywalców warszawskich salonów pozostał osobnikiem trudnym do zaakceptowania.

„Był bardzo nieświeży czasami – wspominała Barbara Hoff – i trudno mi to elegancko powiedzieć, [...] ale wzbudzał w ludziach pewne obrzydzenie. Ja nie powiem, że we mnie nie, uważam natomiast, że tego nie wolno nikomu okazywać, nigdy, jeżeli nawet się to czuje, to trzeba to troszkę przemóc”<sup>15</sup>.

Ze zgrozą opowiadano, że gdy pan Janek trafił do Domu Pracy Twórczej w Oborach, to zakwaterowano go wspólnie z Mieczysławem Jastrunem. I znakomity poeta omal nie dostał ataku serca, gdy Himilsbach, chcąc ustalić obowiązujące zasady, zapytał go, „czy lejemy do zlewu, czy też nie”...

Lubił publicznie bulwersować swoim zachowaniem, chociaż czasami można je było nawet uznać za spontaniczne. Ale największą przyjemność sprawiało mu gorszenie bogobojnych obywateli niepodzielających jego upodobania do alkoholu.

„Jasio kiedyś pił piwo na środku Marszałkowskiej – wspominał poeta Zbigniew Jerzyna – podeszła do niego staruszka. »Co pan, proszę pana, co pan tu sieje zgorszenie, piwo pan pije na środku ulicy«. »Babciu – powiada Janek – pani nie wie, co ja robię. Ja do organizmu wprowadzam bajkowy nastrój«”<sup>16</sup>.

Obserwując zachowanie Himilsbacha, wiele osób powątpiewało, że to właśnie on jest prawdziwym autorem opowiadań, twierdzili tak jednak wyłącznie ci, którzy nie poznali go bliżej. Jego znajomi nie mieli bowiem żadnych wątpliwości, a z każdą spisana opowieścią dane im było zapoznać się już wcześniej.

„Janek miał nieprawdopodobny talent gawędziarski – wspominał Ernest Bryll. – Wszystkie opowieści, które później pojawiły się w *Monidle* czy innych zbiorach opowiadań, słyszałem wcześniej z jego ust prawie słowo w słowo. Miał doskonałą pamięć, dokładnie tak pisał, jak mówił”<sup>17</sup>.

## BASICA

„[Himilsbach] kiedyś mnie okropnie zdenerwował na Krakowskim Przedmieściu – wspominał Stefan Kisielewski – bo bił swoją żonę i kopał. Więc ja interweniowałem i wtedy oboje się na mnie rzucili z wymyślaniami, że po co się wtrącam”<sup>18</sup>.

Barbara Himilsbach, żona Janka, kategorycznie jednak temu zaprzeczała.

Twierdziła, że mąż nigdy jej nie uderzył, przyznawała jednak, iż jej samej nieraz to się zdarzyło.

„[...] rzeczywiście było tak, że odważyłam się go trzasnąć – wspominała pani Basia. – Raz i drugi. Ale [wtedy] kłóciliśmy się ostro, z wielkim zapałem. Bo jest takie powiedzenie, że jak się raz podniesie rękę na człowieka [...], to później już ręka sama leci. I leciała mi ta ręka”<sup>19</sup>.

Poznali się w kwietniu 1960 roku. Ona, panienka z dobrego domu, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, zaczęła spotykać się z kamieniarzem z Powązek. I niewiele w tej sytuacji zmieniał fakt, że Himilsbach miał za sobą debiut literacki. Starał się zresztą o jej względy w sposób sobie właściwy, a na niej robiło to duże wrażenie.

„Przychodził pod GUS, wtedy kiedy wychodziłam z pracy, z... orkiestrą cygańską. Koledzy wyglądali z okien, a tu takie przywitanie. I Jaś. To było urocze, kolorowe, niespotykane w tamtych czasach, a poza tym Jasio miał bardzo dużo wrodzonego wdzięku. Więc w końcu uległam. Zaczęliśmy się spotykać. Miałam 25 lat, on był o 4 lata starszy”<sup>20</sup>.

Pobrali się w 1964 roku, pan Janek przy tej okazji po raz pierwszy w życiu założył garnitur. Kupił go na raty, pieniądze bowiem nigdy się go nie trzymały.

Przyjęcie weselne również miało niecodzienny charakter. Trwało kilka dni, a panna młoda była tam jedyną kobietą. Od pewnego momentu impreza bardziej zresztą przypominała libację na pijackiej melinie niż wesele. Ale Barbara to akceptowała.

„[Ten] ślub był jednym z najdziwniejszych, jakie widziałem – wspominał Roman Śliwonik. – Z Pragi goście jechali platformą towarową zaprzęzoną w dwa wielkie perszerony. Wesele odbywało się na Starym Mieście w pracowni zaprzyjaźnionego malarza. Malował na szkle i to w tej relacji jest ważne. Ściany były zawieszane szklistymi taflami, lśniły, odbijały kontury tańczących i twarze gości. [...] Pamiętam niezwykłą scenę. Po wielkiej awanturze i przepychance, która momentalnie ucichła, prace artysty osunęły się na podłogę. Z brzękiem. Wszystkie. A rozchwiani, obnażeni do pasa mężczyźni wili się w twiście, buchali parą, zapamiętałością taneczną i gorzałą. Nagle urwała się taśma w magnetofonie i już nie było muzyki. Nikt tego nie zauważył, tłum chłopów tańczył dalej, walił buciarami w potłuczone, jazgoczące odłamki szkła. W ciszy bezmuzycznej szedł trzask, łomot dziesiątek nóg i słychać było oddechy opętanych mężczyzn. Tańczyli. Tańczyli pięć, dziesięć minut”<sup>21</sup>.

Himilsbachowie początkowo mieszkali oddzielnie, potem wynajęli pokój bez wygód w starym, drewnianym domu w Aninie.

„W naszym pierwszym wspólnym gniazdku – wspominała pani Himilsbach – panowały bardzo prymitywne warunki: jeden pokój na górze, gdzie stała szafa, kulawy stolik, dwa krzesła i łóżko tak wąskie, że kiedy chcieliśmy się przekreślić na drugi bok, musieliśmy to robić razem, na komendę. W zimie ogrzewaliśmy się metalową kozą. Nie było łazienki ani WC, na podwórzu stała drewniana sławojka, do której nie mogłam się przyzwyczaić”<sup>22</sup>.

Pan Janek nazywał żonę czule Basią, a w złości mówił o niej Basica. To były kolorowe lata, spotykali się z Grochowiakami, Śliwonikiem, Iredyńskim. Często

chodzili do kina (Himilbach lubił filmy wojenne), dużo czasu spędzali w lokalach z wyszynkiem. Barbarze nie przeszkadzała jeszcze specjalnie ciągła obecność alkoholu w życiu męża, pili zresztą wszyscy.

„Alkoholizm nie był wtedy niczym wyjątkowym – tłumaczył Andrzej Krauze. – Po pierwsze wojna, a po drugie, to był czas upijania narodu. Pójście do knajpy stanowiło najmniejszy wydatek. Może dlatego wódka wtedy była taka tania, bo najłatwiej było w knajpie podsłuchiwać ludzi?”<sup>23</sup>.

Cztery lata po ślubie Himilbachowie dostali dwupokojowe spółdzielcze mieszkanie na Powiślu. Przez pewien czas było to główne miejsce spotkań towarzyskich ich środowiska, potem coś zaczęło się psuć w małżeństwie. Pani Barbara bardzo pragnęła dziecka, Janek nie chciał nawet o tym słyszeć.

„Siedzieliśmy kiedyś z Himilbachami w kawiarnianym ogródku – opowiadał jeden z ich przyjaciół. – Było gorące lato. Wokół pełno ludzi. Basica zaczęła nadawać mężowi, miała do niego pretensje o wszystko. W końcu zapytała, dlaczego właściwie nie mają dzieci? Janek się zdenerwował i na cały głos krzyknął: »A kto to widział, żeby pierdolić własną kobietę«”<sup>24</sup>.

Alkohol powoli przejmował kontrolę nad psychiką pana Janka. Żona usiłowała z tym walczyć, pod jej wpływem wszywał sobie nawet esperal, ale podobno w ten sposób odnajdywał w piciu jeszcze silniejsze doznania. Zaczynało mu być zresztą obojętne, co w siebie wlewa, liczyło się tylko, aby odpowiednio „sponiewierało”.

„[...] właściwie może ze dwa razy widziałem go w stanie absolutnej trzeźwości – mówił terapeuta Maciej Kierył. – I ten stan jakby niwelował cały jego urok. [...] Próbował zwilżyć sobie usta, miał zboląły wyraz twarzy, z trudem się pionizował”<sup>25</sup>.

Pan Janek wystąpił nawet w filmie szkoleniowym dla terapeutów na temat leczenia alkoholizmu. Inna sprawa, że doskonale pasował do takiej produkcji, nie musiał bowiem niczego grać, w tym czasie był już człowiekiem głęboko uzależnionym.

„Barbara doskonale zdawała sobie sprawę z zagrożenia – pisała Anna Poppek. – I walczyła z tym, jak umiała. Wychodząc do pracy, zamykała go na klucz w domu. Niestety nie pozwolił sobie za żadne skarby skonfiskować telefonu. A więc usłudzy koledzy zawsze pomagali mu w potrzebie. Kiedy Barbara wracała z pracy, mąż i tak był na rauszu. A to wciągnął butelkę przez okno na sznurku. A to robotnicy przeprowadzający remont bloku dostarczyli mu zapas trunków wysięgnikiem przez okno. Kiedyś Basia wraca z pracy i widzi następującą scenę: na korytarzu przed drzwiami siedzi rozparty na krześle Maklakiewicz (wygodne, wyściełane krzesło pożyczył od sąsiadów) z kieliszkiem w ręku, wizjer zdemontowany, a przez rurkę prosto z butelki pije wódkę jej mąż za zamkniętymi drzwiami. Taką sobie panowie urządzili biesiadę. Oczywiście zrobiła im wielką awanturę, jak zwykle. Ale to niewiele dało”<sup>26</sup>.

## MAKLAK

Najważniejszy przyjaciel Himilbacha, Zdzisław Maklakiewicz, był od niego

o cztery lata starszy. Pochodził z powszechnie szanowanej warszawskiej rodziny, jego ojciec był ekonomistą, a dwaj stryjowie kompozytorami. Jako nastolatek w szeregach AK wziął udział w Powstaniu Warszawskim, a ostatnie miesiące wojny spędził w niemieckim stalagu.

Studia aktorskie rozpoczął w Krakowie, a ukończył w Warszawie, w podobny zresztą sposób przebiegała jego kariera zawodowa. W żadnym zespole długo nie został, grał na kilku scenach warszawskich, przez sezon występował w Nowej Hucie, po czym na cztery lata przeniósł się do Gdańska. Następnie trafił do Wrocławia, aby ponownie pojawić się w Warszawie z roczną przerwą na występy w krakowskim Teatrze Starym. W stolicy również zmieniał sceny: Teatr Syrena, Polski, Powszechny, Narodowy, Rozmaitości.

Uchodził za znakomitego aktora charakterystycznego, mistrza drugiego planu. Był dobrym kolegą i ceniono jego wpływ na atmosferę w zespole.

„Przyniósł coś do tej pory mi nieznanego – wspominał jego pobyt w Krakowie Kazimierz Kaczor – swój własny świat fantazji, przetworzonej rzeczywistości, autorskich scenariuszy i bogactwo przeżyć – prawdziwych i wymyślonych. Nie stronił od kieliszka, więc był świetnym kompanem. Ponadto wniósł do naszej krakowskiej trupy echo nieznanego nam, wielkiego, kolorowego świata filmu”<sup>27</sup>.

Już wówczas lubił szokować otoczenie, nawet członków swojej rodziny. Zapytany przez ciotkę o tajniki zawodu aktora zbulwersował ją odpowiedzią:

„Przychodzimy do teatru przed południem na próby. Na przykład na scenie ta główna rola próbuje, a my tam z koleżankami czy to w garderobie męskiej, czy żeńskiej sobie troszeczkę popijemy i jak akurat człowiek zostanie sam na sam, to jakiś stosunek płciowy, prawda, no i potem się próba kończy. Przychodzimy potem wieczorem na przedstawienie – tak samo, wiesz ciociu. No i jak główna rola – to nie, to absolutnie, bo to trzeba opanować dużo tekstu. Ale jak taka mniejsza rola, ja takie akurat gram, to sobie tam wypiję seteczkę, piweczko, to jakaś koleżanka jest rozwiedziona, to ma puste mieszkanie. No to sobie tam wpadnę, troszeczkę stosunku płciowego...

– Bój się Boga, Zdzisiu – ciocia załamała rękę – i to tak codziennie?

– Nie, ciociu, poniedziałki mamy wolne”<sup>28</sup>.

Słynął jako znakomity gawędziarz, w mistrzowski sposób opowiadał anegdoty z życia teatralnego i z własnej biografii. Jedną z jego sztandarowych opowieści była historia, jak to pojechał do Torunia reżyserować *Śluby panieńskie* Fredry.

„[...] kupiłem beret, fajkę i jadę. [...] Wszyscy tam piją, wszystkie panienki chcą iść ze mną do łóżka, bo jestem reżyserem, Klara, Aniela pchają się, ja nic, bo jestem reżyserem. Fajka, beret i nic. W noc po premierze, bankiet, budzę się w łóżku, nie wiem, co się dzieje. Ruszam ręką, czuję jakieś włosy. Otwieram oczy, patrzę: siwe. Myślę sobie, niedobrze. Po chwili okazuje się, że jest to 70-letnia suflerka z mojego teatru, która mówi z bezbłędną dykcją: »Kolega byli wspaniali...«”<sup>29</sup>.

Miał również znakomity talent do parodii, znajomi uwielbiali, gdy odgrywał przed nimi zachowania innych. Do najbardziej popularnych należała scena, jak to Kazimierz Kutz chciał zaangażować Jerzego Cnotę do *Soli ziemi czarnej*. Widział go wcześniej w Piwnicy pod Baranami śpiewającego razem z Ewą Demarczyk, ale



zapomniał jego nazwisko.

„Kompletując obsadę – wspominał Janusz Atlas – przypomniał sobie o pijanym Ślązaku obskakującym Demarczyk. Trzeba go znaleźć, tylko jak on się nazywa? Cipa, Rura, Pochwa... aha, Cnota! Tak to Juruś został cenionym aktorem polskiego filmu.

Zdzisiek Maklakiewicz z tej anegdotki potrafił zrobić majstersztyk! Opowiadając ją często, doszedł do takiej perfekcji, że naśladowując głos Kutza, cedził przez zęby czterdzieści, pięćdziesiąt skojarzeń ze słowem »cnota«. Niestety, w znacznej większości nie nadają się do druku”<sup>30</sup>.

Triumfy towarzyskie pana Zdzisława nie znalazły jednak przełożenia na sukcesy zawodowe. Była w nim chyba pewna blokada psychiczna, która nie pozwoliła mu w pełni wykazać się talentem.

„On nie był aktorem do końca swojego życia – twierdził Gustaw Holoubek. – Był wspaniałym aktorem teoretycznym, to znaczy był niezrównany w tym, co można było nazwać opowieścią o istocie aktorstwa. I nie tylko w sensie teoretycznym w takim dosłownym tego słowa znaczeniu. Jego uwagi, rady w stosunku do innych kolegów i koleżanek, którym radził, jak należy grać daną rolę, były niesłychanie praktyczne i trafne. Ale [...] sam nigdy nie zdobył się na wyrażenie w pełni swojego talentu”<sup>31</sup>.

Reżyserzy chyba również nie potrafili wykorzystać jego możliwości. Udowodnił to Jerzy Goliński, który zaryzykował i dzięki temu odniósł sukces:

„Obsadziłem go w roli poety w *Weselu*. Wszyscy sądzili, że to będzie skandal, bo gdzież ten Zdzisio, ten taki równiacha, ten komik... Zagrał poetę znakomicie. Ja nie pamiętam wszystkich swoich spektakli, [...] bo wszystko zaciera mi się w pamięci, ale tę rolę pamiętam. Rzeczywiście on był z Młodej Polski, on był z bohemy, z cyganerii. Jedyne autentyczny”<sup>32</sup>.

W latach 60. Maklakiewicz zaczął pojawiać się w filmach i tam również powtórzyła się sytuacja ze sceny. Ponownie był znakomity w epizodach, w rolach drugoplanowych, ale ta główna, najważniejsza, nie nadchodziła. I chyba z tego powodu coraz częściej zaglądał do kieliszka, inna sprawa, że życie prywatne również mu się nie układało. A właściwie nie potrafił sobie z nim poradzić.

„Zdzisio należał do tego gatunku geniuszy – uważał Tadeusz Konwicki – których nie można utrwalić materialnie, to znaczy nie można ich geniuszu zawrzeć w piśmie ani w dźwięku, ani nawet na taśmie filmowej. Jest taki gatunek geniuszy, co zdarzają się raz na pokolenie, animują nas, podwyższają, uczą zrozumienia prawdziwej poezji i uczyniwszy to, pozostają w nas i giną na zawsze w nas, czyli giną razem z nami”<sup>33</sup>.

## CESIUCHNA

Podstawowym problemem osobistym pana Zdzisława było jego przywiązanie do matki. Ten dorosły mężczyzna właściwie nigdy nie potrafił uwolnić się spod jej wpływu i do końca zachowywał jak mały chłopiec.

W jego życiu pojawiały się różne kobiety, dwukrotnie nawet się ożenił, miał dwie

córki, ale zawsze wracał do matki. Nawet już w wieku 40 lat potrafił często wołać ją z podwórka, aby przez balkon zrzuciła mu zapalki. I mamusia faktycznie rzucała pudełko, a do środka wkładała jeszcze 100 złotych, aby syn miał się za co napić.

„Zdzisio do mamy nie mówił »mamo« – opowiadała Wanda Masznicz – tylko »Cesiuchna«. Traktował ją trochę jak kumpelkę. Uważał, że powinien się nią opiekować po przejściach okupacyjnych i wywóźce do Niemiec”<sup>34</sup>.

Jego życie osobiste „było szarpaniną pomiędzy kobietami a matką”, a gdy partnerki stawiały sprawę na ostrzu noża, to wybierał panią Czesławę. Matka „w ogóle nie lubiła kobiet i w każdej z nich widziała rywalkę” o względy syna.

Maklakiewicz nie potrafił zbudować właściwych relacji z partnerkami, jego pierwsze małżeństwo z aktorką i plastyczką Renatą Firek szybko się rozpadło, chociaż doczekali się córki. Trochę dłużej trwał związek z aktorką Wiesławą Kosmalską która po latach przyznała, że tworzyli najbardziej niedobraną parę, jaką można było sobie wyobrazić. Z tego związku również miał córkę, z którą nigdy jednak nie potrafił nawiązać kontaktu. I chyba los własnych dzieci niewiele go interesował.

„Tata był dla mnie kimś, kogo praktycznie nie znałam – wspominała Marta Maklakiewicz. – Kimś, kogo chciałam poznać, do kogo czułam się strasznie podobna, z kogo byłam bardzo dumna, ale nigdy nie miałam [okazji], choć tak bardzo pragnęłam”<sup>35</sup>.

Pan Zdzisław coraz bardziej nie potrafił odnaleźć się w życiu, pił jeszcze więcej, a to miało przełożenie na pracę zawodową. Wiedział już, że nigdy nie będzie aktorem pierwszoplanowym i pozostanie mu tylko granie epizodów.

„Jakoś tak się składa – tłumaczył zrezygnowany – że tych głównych ról nie gram, nie mam serca do repertuaru, do tych tam wiecznie niespełnionych nadziei, antybodźców, bezinteresownej zawiści, czyli tego całego romantyzmu. Krótko mówiąc: ja robię na pół etatu”<sup>36</sup>.

## REJS

W 1969 roku Marek Piwowski przystąpił do realizacji swojego pierwszego filmu. Scenariusz przygotował wspólnie z Januszem Głowackim, miała to być opowieść o podróży grupy pasażerów statkiem po Wiśle. Piwowski zdecydował, że w filmie obok aktorów zawodowych wystąpią również amatorzy.

Jednym z nich był Himilsbach, który wcielił się w rolę Sidorowskiego. Nieprzypadkowo wybrano to nazwisko, tak bowiem nazywał się ówczesny kierownik SPATiF-u, który zakazał wpuszczać pana Janka do lokalu. Himilsbach miał więc okazję do prywatnej zemsty.

O pracy przy *Rejsie* do dzisiaj krążą legendy, ekipa faktycznie podróżowała statkiem, na którym działy się dantejskie sceny. Himilsbach i Maklakiewicz tak przypadli sobie do serca, że praktycznie się nie rozstawali, konsumując przy tym przerażające dawki alkoholu. Zdarzyło się nawet, że zamknęli się w kotłowni

i odmawiali wyjścia. Gdy chciano ich do tego zmusić, to do upadłego bronili się za pomocą hydrantu z wodą. Innym natomiast problemem były burdy urządzone przez ekipę na lądzie.

„Pamiętam dokładnie awanturę w kawiarni Mazowsze w Białobrzegach – wspominał aktor Janusz Kłosiński. – Miałem na sobie strój Murzynka i byłem tam razem z Himilsbachem przebrany za pirata, który cały czas wymachiwał tasakiem. Trafiliśmy do aresztu. Uwolnił nas Marek Piwowski, stawiając komendantowi milicji litr wódki”<sup>37</sup>.

Himilsbacha zatrzymano jeszcze w Zegrzu i Toruniu, za każdym razem wyciągano go jednak z aresztu. Okazał się bowiem jedną z najważniejszych osób na planie.

Scenariusz był w dużej mierze improwizowany i wiele zależało od zachowania aktorów przed kamerą.

„Maklakiewicz podobnie jak Tym był współautorem – wspominał Piwowski – bo *Rejs* nie był filmem, w którym realizowało się sceny, które wymyśliło się wcześniej w scenariuszu. Myśmy pewne założenia sobie wymyślali i to było improwizowane. Duży udział w tym improwizowaniu miał zarówno Maklakiewicz, jak i Tym oraz Himilsbach”<sup>38</sup>.

Do historii polskiego kina przeszła wypowiedź inżyniera Mamonia (Maklakiewicz) na temat polskich filmów. I jak w przypadku wielu innych scen z *Rejsu* o jej ostatecznym kształcie zdecydował przypadek.

„Scenę powtarzano wiele razy – wspominał Janusz Głowacki. – Zdzisio był profesjonalistą, mógł grać w każdym stanie i miał starannie przygotowany tekst. Natomiast Janek szalał i mimo próśb i błagań ciągle przerywał opowieść Zdzisia i kompletnie go zagłuszał. Straciliśmy już wszelką nadzieję, kiedy Janek nagle osłabł, zapadł się w sobie, zamilkł i na jego twarzy pojawił się ten wyraz rozpaczliwej koncentracji i uwagi, który słusznie tak zachwycił swym aktorskim kunsztem publiczność i krytyków”<sup>39</sup>.

Natomiast kilka dni później omal nie doszło do tragedii, Himilsbachowi po alkoholu (a przecież właściwie nie trzeźwia!) przychodziły bowiem do głowy czasami najróżniejsze pomysły. Gorzej, że miał zwyczaj od razu je realizować.

„[...] statek płynął – opowiadał Głowacki – Janek odstawił nagle szklanekę z wódką i z górnego pomostu skoczył do Wisły. Wynurzył się na chwilę, krzyknął: »Olaboga!« i poszedł pod wodę. Marynarzom, którzy wskoczyli za nim, udało się go wyłowić”<sup>40</sup>.

Kolaudacja filmu przypominała stypę. Nikt z grona jej uczestników nie potrafił zrozumieć obrazu i „wszyscy zgodzili się, że *Rejs* to klęska. Był tylko problem, co z tą klęską zrobić”.

„Ktoś zaproponował, żeby film pociąć na dziesięciominutowe kawałki i puszczać w telewizji po *Dzienniku*. Reszta rozkładała ręce, radząc po przyjacielsku, żeby film dla dobra reżysera zakopać i o nim zapomnieć”<sup>41</sup>.

Członkowie Wydziału Kultury KC PZPR uznali jednak, iż „film jest tak zły, że absolutnie należy go pokazać”. Nikt nie interesował się finansową stroną całego

przedsięwzięcia, stwierdzono jednak, że zatrzymanie *Rejsu* może zostać odebrane jako blokowanie inicjatyw kulturalnych. A wtedy „zaczęłoby się pieprzenie o braku demokracji, duszeniu swobód i kompletnemu gównu nadałoby się znaczenie”.

„Oczywiście i ci widzowie orzekli – kontynuował Głowacki – że w żadnym wypadku nie należy *Rejsowi* urządzić regularnej premiery. Ale jak to się puści po cichu, w bocznym kinie, na zasadzie tak zwanego wąskiego rozpowszechniania, to film pójdzie dwa czy trzy razy, zdechnie śmiercią naturalną i będzie po problemie. Owszem, narzekano, że statek płynie pod prąd, koryto robi się coraz węższe i zapada noc, co robi na widzach przykre wrażenie, a nawet ich zasmuca. Na dodatek Himilsbachowi ginie z talerza kiełbasa, co już jest aż za nachalną aluzją do trudności na rynku mięsny. Ale w związku z tym, że film jest tak zły i głupi, potraktowano go łagodnie”<sup>42</sup>.

*Rejs* zdobył jednak natychmiastową popularność wśród widzów i do dzisiaj uchodzi za film kultowy. Środowisko nie potrafiło tego zrozumieć, a władze na wszelki wypadek zarządziły, aby tandem Piwowski – Głowacki razem już nie pracował.

Nikt również nie rozumiał fenomenu popularności Himilsbacha po premierze ani zachwytów nad jego aktorstwem za granicą. Zdarzyło się bowiem, że jeden z producentów z Hollywood chciał koniecznie ściągnąć go do Kalifornii. Stawiał jednak warunek, że pan Janek musi nauczyć się angielskiego. Himilsbach odmówił, wyjaśniając, że „producent pewnie się rozmyśli, a on wtedy zostanie jak głupi chuj z tym angielskim”...

Janusz Głowacki planował napisanie dla Himilsbacha i Maklakiewicza scenariusza będącego polską socjalistyczną wersją *Easy Ridera*. Panowie mieli jechać przez kraj rowerami, a gdy jeden z nich im ukradziono, to Zdzisio miał wieźć Janka na ramie. Bohaterowie mieli dotrzeć do Poronina, złożyć kwiaty pod pomnikiem Lenina i cieszyć się z 500-kilometrowego dostępu do morza. Oczywiście z planów tych nic nie wyszło, ale Głowacki był autorem scenariusza filmu *Trzeba zabić tę miłość*, w którym wystąpił pan Janek.

Lepiej natomiast powiodło się Piwowskiemu, który zaangażował Himilsbacha do *Przepraszam, czy tu biją?* Nie było to zresztą ich ostatnie spotkanie przed kamerą.

„Marek Piwowski nakręcił kiedyś antyalkoholową reklamówkę – wspominał Głowacki. – [...] W otwartej trumnie leżał Himilsbach. Nagle sztywno jak wampir siadał i ostrzegał: »Kto pije, krótko żyje«, i kładł się z powrotem”<sup>43</sup>.

Faktycznie, pan Janek znów udowodnił, że znakomicie nadaje się do filmów o tragicznych skutkach alkoholizmu...

## W DUECIE

„Mamo, w sobotę przyjedzie do nas pan Maklakiewicz z panem Himilsbachem na weekend – opowiadał jeden z ich kumpli od kieliszka. – Matka zachwycona, bo nie znała realiów. [...] Siedzimy rano w sobotę, jemy śniadanie, okno szeroko otwarte, piękna willa, piękny ogród. [...] A pod oknem słyhać nagle tak: »A ja ci, kurwa, mówię, że to

jest tu«. »A ty mi nie pierdol, bo to nie jest tu«. Matka mówi: »Jacku, chyba przyjechali panowie, węgiel przywieźli«. A ja na to: »Nie, to przyjechał pan Himilsbach z panem Maklakiewiczem, kurwa...«<sup>44</sup>.

Od *Rejsu* Janek i Zdzisio stali się praktycznie nierozłączni. Spędzali razem dużo czasu, razem bywali w knajpach, razem nawet wyjeżdżali. Święta oczywiście również spędzali wspólnie, czyli Maklakiewicz przychodził z wizytą do Himilsbachów i zostawał przez kilka dni.

„Obaj generalnie robili dobre wrażenie i wzbudzali ogólną sympatię – wspominała aktorka Regina Regulska. – Byli wspaniałymi kumplami i rozumieli się w pół słowa. Widać było, że bardzo się lubią. Co prawda robili sobie ciągle jakieś docinki, ale to wszystko było utrzymane w konwencji żartu, zabawy, zgrywy”<sup>45</sup>.

Wspólnie angażowano ich także do filmów, uważni obserwatorzy dostrzegali jednak, że była to przyjaźń na zasadzie wzajemnego przyciągania się i odpychania. Bez wątpienia „miała bazę alkoholową”, co stwarzało jednak pewne problemy, gdyż pana Janka nie wpuszczano do wielu warszawskich lokali.

„Przyjaźń Maklakiewicza z Himilsbachem była przyjaźnią taką dość ciekawą – tłumaczył Głowacki – bo Janek Himilsbach w zasadzie był człowiekiem piszącym, pisarzem. Zdzich Maklakiewicz był aktorem. I każdy z nich miał swojego idola. Idolem Himilsbacha był Marek Hłasko, wielki amator wódeczki, Himilsbach też. A idolem Maklaka był Zbyszek Cybulski. I te wszystkie ich opowieści i przepychanki to były: który z nich lepszy? Który ciekawszy? Oni się szalenie licytowali tymi swoimi idolami, który z nich jest ważniejszy”<sup>46</sup>.

W głównych rolach obsadzono ich właściwie tylko w dwóch filmach: *Wniebowzięci* i *Jak to się robi*. Praca na planie obfitowała oczywiście w różnego rodzaju ekscesy, które czasami mogły mieć tragiczny finał.

„Janusz Kondratiuk opowiadał mi, że przy kręceniu *Wniebowziętych* Janek po wypiciu poważniejszej ilości alkoholu miał zapaść i zawieziono go na pogotowie. Dostał jakieś zastrzyki i powoli odzyskiwał przytomność. W tym czasie lekarze i pielęgniarki wydali z okazji wizyty artystów stosowny bankiet. Spirytus płynął jak rzeka. W pewnej chwili kierowca, też już zamroczony, przypomniał lekarzowi o zgłoszonym z miasta pół godziny wcześniej przypadku sinicy. Lekarz spojrział na zegarek i machnął ręką, że już za późno. Bankiet dalej się rozwijał. W pewnej chwili Janek sztywno jak dziecko Frankensteina usiadł na stole, złapał stojącą z boku szklanę spirytusu, wypił i stracił przytomność. Lekarz rzucił się go ratować. Bankiet na chwilę przerwano”<sup>47</sup>.

Maklakiewicz i Himilsbach szybko stali się legendą, prasa „pisała o nich dużo i ciepło, chociaż głupio”. Snobowano się na znajomość z nimi, ale na „widok artystów ich wielbiciele najczęściej przechodzili na drugą stronę ulicy albo chowali się w bramach”. Wielbiono ich, ale na ogół na odległość, opowiadano o nich najrozmaitsze anegdoty, ale większość narratorów wcale nie chciałyby osobiście uczestniczyć w opisywanych wydarzeniach.

„[...] teraz się o tym nie mówi – wspominał Janusz Kondratiuk – ale Maklakiewicza i Himilsbacha nie akceptowało mnóstwo ludzi. Właściwie całe środowisko filmowe. Pamiętam koszmarne przygody na kolaudacjach, kiedy luminarze



podkreślali, że dosyć już Himilsbacha i Maklakiewicza na ekranie. [...] Dzisiaj ci ludzie mówią inaczej, ale wtedy mówili, że skierują ten scenariusz do produkcji pod warunkiem, że nie będą grali Maklakiewicz i Himilsbach”<sup>48</sup>.

Ale w zamian chętnie powtarzano kolejne opowieści o ich wyczynach, z reguły zresztą dodatkowo je ubarwiając. Krążyły one po kraju i dodawały sympatii ich bohaterom. Było tak na przykład ze słynną historią o tym, jak to Himilsbach z Maklakiewiczem pojawili się w Ścieku na Trębackiej (w Klubie Stowarzyszenia Filmowców) w towarzystwie pewnego psa. W tamtych czasach alkoholu nie podawano bez zakąski, zatem panowie zamówili wódkę i porcję kołdunów. Sami zajęli się alkoholem, natomiast kołduny podsunęli psu, który rozpoczął konsumpcję wprost z talerza na stole. Nie spodobało się to agentowi lokalu, a gdy jego interwencja nie przyniosła efektów, to wezwał patrol milicji. Funkcjonariusze właściwie nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, wreszcie jeden z nich zapytał: „Co to za pies?”. A na to Himilsbach konfidencjonalnym szeptem wychrypiął: „Panie władzo, my sami nie wiemy, myśmy się tylko dosiedli...”.

Wydaje się zresztą, że obaj panowie całkiem serio weszli w rolę ulubieńców społeczeństwa, chociaż „naród ich kochał, lecz nie szanował”. I nie potrafili sobie z tym poradzić, a szczególnie Maklakiewicz. Pan Janek miał swoją Basicę, którą na swój sposób kochał, a Zdzisław tylko matkę, która traktowała go jak małe dziecko. Z życia rodzinnego zrezygnował, kariera aktorska potoczyła się w innym, niż planował, kierunku, a teraz odczuwał niespełnienie. Nie miał pomysłu na życie, w ostatnich miesiącach przesiadywał głównie w SPATiF-ie, „opowiadał swoje historie” i praktycznie nie chciał stamtąd wychodzić. Było „bardzo dużo smutku i rozpacz w tej postaci”.

„Właściwie jego życie coraz bardziej przypominało *Rejs* – mówił reżyser Jan Maciejowski. – Coraz trudniej było mu odróżnić tego Zdziśka, którego sobie wymyślił, od tego, kim był naprawdę. Coraz bardziej tonął w fikcji tego cwaniaczka, pijaczka i nie mógł już się z niego wyzwolić”<sup>49</sup>.

Odchodził tak, jak żył, do końca pozostawał sobą. Chorował na cukrzycę, nie miał już siły na żadne zmiany i chyba czekał na to, co nieuniknione.

„[...] widziałem go po raz ostatni na parę tygodni przed śmiercią – wspominał Maciejowski. – Było to na Dworcu Głównym w Warszawie. Przyjechałem pociągiem gdzieś z daleka, ze Szczecina. Widzę kapelę cygańską, Zdzich w narzuconym na ramiona jak książkę Pepi futrze, idzie z butelką w rękę, a oni mu przygrywiają. I właściwie nie widzi świata, [jest] gdzieś w tym swoim nieustającym rejsie, podróży, zanurzony w fikcyjnym świecie”<sup>50</sup>.

W październiku 1977 roku po kolejnym wieczorze spędzonym w Ścieku został pobity na ulicy i przez kilka godzin leżał nieprzytomny w pobliżu hotelu Bristol. Rano zjawiono się pogotowie, było jednak już za późno. W chwili śmierci miał 50 lat.

Opowiadano później, że pobili go milicjanci, że była to zemsta służb specjalnych za jego członkostwo w AK (!), ale nie jest to prawdą. Zdzisław Maklakiewicz ucierpiał w zwykłej pijackiej burdzie, jakich wiele było każdej nocy w Warszawie.

„Kilka dni po pogrzebie Jan Himilsbach, pijany, zadzwonił do jego matki.

- Jest Zdzisiek? – zapytał.
- Ależ, panie Janku, Zdzisio umarł! Był pan przecież na pogrzebie...
- Wiem, kurwa... ale nie mogę się z tym pogodzić<sup>51</sup>.

## ŚWIAT BEZ ZDZISIA

„Był taki szlak od Hybryd do uniwersytetu – wspominał Jan Pietrzak – po którym chodziło się od kiosku do kiosku, szukając piwa. Kiedyś szliśmy nim z Jankiem Himilsbachem, obaj zziązani, bo był upał. Na rogu Książęcej trafiliśmy na dostawę. Stoimy szczęśliwi, że udało nam się to piwo znaleźć, złapiemy je, a obok ekipa remontuje drogę. Młoty pneumatyczne wyją, kurzy się piekielnie, a Himilsbach patrzy, patrzy i mówi: »Patrz, Janek, drogi, kurwa, budują, a iść nie ma dokąd«<sup>52</sup>.

Himilsbach ciężko przeżył śmierć Maklakiewicza. Wprawdzie dalej osiągał sukcesy zawodowe (angażowano go z reguły do kilku filmów rocznie), a w 1982 roku ukazał się kolejny tom jego opowiadań, ale pan Janek właściwie już nigdy nie powrócił do formy. Inna sprawa, że zdrowie coraz bardziej mu szwankowało, lata wlewania w siebie ogromnych ilości alkoholu musiały pozostawić ślady.

Nadal szokował swoim zachowaniem, a gdy czasami organizowano mu wieczory autorskie, to z reguły pojawiał się na nich kompletnie pijany. Ordynarnie wyrażał się o prowadzących imprezę („Tak pan pierdoli, że rzygać się chce”), recytował też równie obsceniczne wiersze. Do uczestników spotkań autorskich odnosił się tak samo jak do znajomych od butelki. Jego czytelnicy niekoniecznie jednak chcieli wysłuchiwać wulgaryzmów ze sceny. W Warszawie bowiem zupełnie inaczej przyjmowano jego zachowanie.

„Z Jankiem było tak – wspominał Marek Nowakowski – że każdy rajd po knajpach powodował, iż wychodziliśmy na zero. On ciągle był na gazie, nie upijał się szybko, uważał, że alkohol służy temu, żeby było wesoło, żeby gadać, żeby zniknęły wszystkie hamulce. Jego chamstwo nie było chamstwem na pokaz. Razi mnie do dziś używanie tak zwanych brzydkich wyrazów. On »łaciny« używał, ale w tym nie było popisu, to było naturalne jak śpiew ptaka. On się nie popisował. Wielkością ról w jego filmach była maksymalna szczerść. Taki był<sup>53</sup>.

W stanie wojennym przystąpił do „reżimowego” związku literatów, tłumaczył, że musi mieć zapewnione ubezpieczenie chorobowe. Polityką zresztą nigdy się specjalnie nie interesował, chociaż wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego. Zapewne była to z jego strony cesja na rzecz władz, gdyby bowiem chciano się go pozbyć, to tryb życia pana Janka dostarczał do tego wyjątkowo dużo okazji.

„Nic z tego, kurwa, nie rozumiem – wypowiadał swoją opinię na temat demonstracji ulicznych podczas stanu wojennego. – Kobiety układają krzyż z kwiatów i ludzie modlą się. Milicja ich przegania, rozrzuca kwiaty. Nagle wjeżdża w tłum jakiś wielki wóz opancerzony. Dowódca krzyczy: »Ognia!«, a tu z lufy leje się woda<sup>54</sup>.

Czasami jednak bardzo trzeźwo oceniał opozycjonistów, pamiętał bowiem, jak

jeszcze niedawno postępowali. To również nie było mile widziane w środowisku.

„Śmieszili go ci wszyscy – wspominał Roman Śliwonik – którzy pisali nie tak dawno wiersze o Dzierżyńskim, a teraz o Matce Boskiej i bez cienia żenady deklamowali je w kościołach. Dlatego też nie przyłączał się do nich, nie łąsił, oni też go zresztą nie chcieli, bali się go i unikali. Po pijanemu potrafił przecież ryknąć głośno, za kogo ich uważa”<sup>55</sup>.

Inna sprawa, że wówczas cierpiał już na chorobę Bürgera, poruszał się tylko o kulach lub lasce. Osobiście pamiętam go z tamtych czasów, z Harendy w pobliżu uniwersytetu. W gronie kolegów z wydziału często tam przesiadywaliśmy i pojawiający się pan Janek stanowił dla nas niezwykłą atrakcję. Czasami straszliwie zelżył obsługę za zbyt wolne przynoszenie piwa, czasami skłął zbyt ciepły napój, zdarzało się, że zabrał nam jedną z butelek ze stolika i sam wypił. Wtedy już tak postępował, nie miał pieniędzy na alkohol.

„W okresie schyłkowym Janek potrafił zachować się nietwarzowo – wspominał Stanisław Głogowski. – Podchodził do stolików, wypijał cudzą wódkę, zjadał resztki... Ale wtedy był już bardzo chory”<sup>56</sup>.

Na koniec pozostali mu właściwie już tylko alkoholicy z sąsiedztwa, z nimi przepijał ostatnie pieniądze, a właściwie to, co udało mu się wyżebrać od innych.

„Na Powiślu jest stacja CPN – opowiadał Bolesław Szenicer – gdzie co dzień przebywał Himilsbach. Często w gronie zaprzyjaźnionych pijaków. Zaczepiali ludzi, rozmawiali. Próbowali wyciągnąć pieniądze na alkohol. Przywitałem się, ledwie mnie poznał. Ale w końcu skojarzył: »Dawno u pana nie byłem, muszę wpaść« – powiedział. Zrozumiałem, że po to, żeby wypić kielicha. Bo do pracy kamieniarskiej już się nie nadawał. Był bardzo wyniszczony. Nie wierzyłem, że w chwili śmierci miał dopiero 57 lat. Wyglądał na człowieka po siedemdziesiątce”<sup>57</sup>.

Jan Himilsbach zmarł w trakcie kilkudniowej libacji w pijackiej melinie w listopadzie 1988 roku, data dzienna jest niemożliwa do ustalenia. Pijany aktor zasnął i więcej już się nie obudził, dopiero po kilku dniach ktoś zainteresował się jego długim snem...

Pochowany został na Powązkach, a uroczystość zakończyła się tragikomicznym akcentem:

„Na pogrzebie ksiądz pełnym żalu głosem wypowiedział zwyczajową formułkę:  
– Żegnaj, Janku, już nigdy nie usłyszymy twojego ciepłego, aksamitnego głosu.

Wtedy – pomimo oczywistej niestosowności – zgromadzeni żałobnicy wybuchnęli głośnym śmiechem”<sup>58</sup>.

Basica przeżyła go o ponad 25 lat, do końca żyła w ich wspólnym mieszkaniu przy ulicy Górnośląskiej. Obecnie umieszczono tam tablicę upamiętniającą pana Janka, czasami spacerując po okolicy (w pobliżu mieści się Biblioteka Uniwersytecka), przechodzę obok. I trudno wówczas nie pomyśleć o dziwnych losach kamieniarza z Mińska, genialnego aktora naturzczyka i utalentowanego pisarza, któremu alkohol zniszczył życie. A może jednak pomagał mu żyć, tak jak sam wybrał?



# Zakończenie





**N**ie bez powodu spaceruję czasami po okolicach, gdzie Jan Himilbach spędził znaczną część życia. Zamierzam bowiem kontynuować temat artystów epoki PRL, którzy z różnych powodów nie osiągnęli nigdy sukcesu, do jakiego byli predysponowani, a dodatkowo odeszli przedwcześnie. Czy nie warto napisać na nowo życiorysów: Grochowiaka, Stachury, Dymnego czy też Brychta? Od ostatnich takich prób minęło już wiele lat, w międzyczasie pojawiły się nowe wspomnienia, wydano korespondencję, ułatwiono dostęp do materiałów archiwalnych. To umożliwia nowe spojrzenie na temat i nie ukrywam, że jedna z moich następnych książek będzie dotyczyła właśnie tych owianych tajemnicą życiorysów.

Jednak zanim się tym zajmę, to planuję książkę o gwiazdach filmu PRL. Kinematografia była bowiem tą dziedziną kultury, która w czasach Polski Ludowej osiągnęła wysoki poziom. Wysyp talentów był wtedy wręcz nieprawdopodobny: czy to reżyserzy, aktorzy czy operatorzy – zawsze jednak artyści na najwyższym światowym poziomie. Ich życie prywatne obfitowało w różne zawirowania, które nie pozostały bez wpływu na ich kariery zawodowe. I zapewne tego tematu także nie uda mi się wyczerpać w tylko jednej książce.

Nigdy nie ukrywałem, że planuję napisać cykl pozycji o elitach PRL, a przy okazji każdej nowej książki, nad którą pracuję, tematów przybywa. Zgromadziłem zresztą ich już tak wiele, że trudno powiedzieć, kiedy uda mi się wszystkie zrealizować. Mam jednak dużo zapału i chciałbym zapisać się w pamięci czytelników nie tylko jako popularyzator II Rzeczypospolitej, ale również jako kronikarz epoki PRL...



# Przypisy



## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 1

- <sup>1</sup> R. Polański, *Roman*, Warszawa 1989, s. 101.
- <sup>2</sup> M. Hłasko, *Piękni dwudziestoletni*, Warszawa 1987, s. 3.
- <sup>3</sup> Za: A. Czyżewski, *Piękny dwudziestoletni. Biografia Marka Hłaski*, Kraków 2000, s. 78.
- <sup>4</sup> Za: B. Stanisławczyk, *Miłosne gry Marka Hłaski*, Poznań 2009, s. 185–186.
- <sup>5</sup> Za: *ibidem*, s. 176–177.
- <sup>6</sup> Za: *ibidem*.
- <sup>7</sup> Za: *ibidem*, s. 183.
- <sup>8</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 104.
- <sup>9</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 184.
- <sup>10</sup> Za: *ibidem*, s. 108–109.
- <sup>11</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 112.
- <sup>12</sup> Za: *ibidem*, s. 113.
- <sup>13</sup> Za: A. Fastnacht-Stupnicka, *Hłaski droga do raju*,  
[http://www.marekhłasko.republika.pl/03\\_artykuly/37\\_text.htm](http://www.marekhłasko.republika.pl/03_artykuly/37_text.htm).
- <sup>14</sup> B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 191.
- <sup>15</sup> Za: *ibidem*, s. 219.
- <sup>16</sup> J. Putrament, *Pół wieku*, t. 5, *Poślizg*, Warszawa 1987, s. 201.
- <sup>17</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 22–23.
- <sup>18</sup> J. Mencwel, *Kontrkulturowe kawiarnie Warszawy: Kameralna*,  
<http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/761771.html>.
- <sup>19</sup> J. Gruza, *Pasaże warszawskie*, Warszawa 2004, s. 13.
- <sup>20</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 27.
- <sup>21</sup> Za: P. Wasilewski, *Śladami Marka Hłaski*, Warszawa 1994, s. 176.
- <sup>22</sup> R. Polański, *op. cit.*, s. 97.
- <sup>23</sup> K. Brandys, *Miesiące 1982–1984*, Paryż 1984, s. 133.
- <sup>24</sup> „Express Wieczorny”, 22.01.1958.
- <sup>25</sup> Za: K. Masłoń, *Mit Hłaski*, „Historia Do Rzeczy”, 8/2013.
- <sup>26</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 129.
- <sup>27</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 11, Warszawa 2009, s. 29.

- <sup>28</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 33.
- <sup>29</sup> K. Gałczyńska, *Jak się te lata mylą...*, Warszawa 1989, s. 141.
- <sup>30</sup> J. Putrament, *op. cit.*, s. 202.
- <sup>31</sup> J. Głowacki, *Z głowy*, Warszawa 2008, s. 28.
- <sup>32</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 76–77.
- <sup>33</sup> B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 37.
- <sup>34</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 169.
- <sup>35</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 110.
- <sup>36</sup> Za: *ibidem*, s. 111.
- <sup>37</sup> Za: *ibidem*, s. 114.
- <sup>38</sup> B. Michalak, *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001, s. 185.
- <sup>39</sup> E. Lipiński, *Marek*, „Życie Literackie”, 3/1980.
- <sup>40</sup> *Ibidem*.
- <sup>41</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 184.
- <sup>42</sup> Za: *ibidem*.
- <sup>43</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 176.
- <sup>44</sup> L. Tyrmand, *Hłasko*, „Kultura” (Paryż), 9/1969.
- <sup>45</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 35.
- <sup>46</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 95.
- <sup>47</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 36.
- <sup>48</sup> Za: *ibidem*.
- <sup>49</sup> Za: *ibidem*.
- <sup>50</sup> Za: *Primadonna jednego tygodnia?*, [http://www.marekhlasco.republika.pl/10\\_prl/01\\_prl\\_text.htm](http://www.marekhlasco.republika.pl/10_prl/01_prl_text.htm).
- <sup>51</sup> *Ibidem*.
- <sup>52</sup> P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 37.
- <sup>53</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 97.
- <sup>54</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 167.
- <sup>55</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 67–68.
- <sup>56</sup> Za: *ibidem*, s. 71.
- <sup>57</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 167.
- <sup>58</sup> [http://www.marekhlasco.republika.pl/02\\_o\\_hlasce/08\\_hertz\\_text.htm](http://www.marekhlasco.republika.pl/02_o_hlasce/08_hertz_text.htm).
- <sup>59</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 39.
- <sup>60</sup> L. Tyrmand, *op. cit.*

- <sup>61</sup> H. Rozpędowski, *Sonja i Marek*, Warszawa 1999, s. 81.
- <sup>62</sup> *Ibidem*, s. 83.
- <sup>63</sup> M. Hłasko, *op. cit.*, s. 91.
- <sup>64</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 89.
- <sup>65</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 55.
- <sup>66</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 103.
- <sup>67</sup> B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 67.
- <sup>68</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 140.
- <sup>69</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 74.
- <sup>70</sup> Za: *ibidem*, s. 141.
- <sup>71</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 191.
- <sup>72</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 114–115.
- <sup>73</sup> Za: F. Gańczak, *Sen o Marku*, <http://www.newsweek.pl/sen-o-marku,53313,1,1.html>.
- <sup>74</sup> *Ibidem*.
- <sup>75</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 113.
- <sup>76</sup> *Ibidem*, s. 116.
- <sup>77</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 46.
- <sup>78</sup> Za: *ibidem*, s. 54.
- <sup>79</sup> Za: *ibidem*, s. 43.
- <sup>80</sup> G. Gutowski, *Od Holocaustu do Hollywood*, Kraków 2004, s. 217.
- <sup>81</sup> Za: *ibidem*, s. 46.
- <sup>82</sup> Za: K. Masłoń, *op. cit.*
- <sup>83</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 85.
- <sup>84</sup> Za: F. Gańczak, *op. cit.*
- <sup>85</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 47.
- <sup>86</sup> Za: *ibidem*, s. 50.
- <sup>87</sup> Za: *ibidem*, s. 49.
- <sup>88</sup> Za: *ibidem*, s. 54.
- <sup>89</sup> Za: F. Gańczak, *op. cit.*
- <sup>90</sup> Za: B. Stanisławczyk, *op. cit.*, s. 159.
- <sup>91</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 56.
- <sup>92</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 261.
- <sup>93</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 56.



<sup>94</sup> Za: *ibidem*, s. 62.

<sup>95</sup> Za: A. Czyżewski, *op. cit.*, s. 282.

<sup>96</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 59.

<sup>97</sup> H. Rozpędowski, *op. cit.*, s. 192.

<sup>98</sup> IPN BU 01911/40.

<sup>99</sup> Za: Komeda, *muzyczne ścieżki życia*, <http://www.youtube.com/watch?v=iZALOrRkcY>.

<sup>100</sup> Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda, Zośka i inni*, Warszawa 1996, s. 138.

<sup>101</sup> Za: F. Gańczak, *op. cit.*

<sup>102</sup> Za: P. Wasilewski, *op. cit.*, s. 65.

<sup>103</sup> Za: *ibidem*, s. 67.

<sup>104</sup> Za: *ibidem*, s. 68.

<sup>105</sup> Za: F. Gańczak, *op. cit.*

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 2

<sup>1</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965 w 13 tomach*, t. 9, 1953–1955, Warszawa 2007, s. 180.

<sup>2</sup> W. Broniewski, *Pamiętnik 1918–1922*, Warszawa 1984, s. 30.

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 38.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 55.

<sup>5</sup> *Ibidem*, s. 76.

<sup>6</sup> Za: *W słowach jestem wszędzie... Wspomnienia o Władysławie Broniewskim*, red. M. Pryzwan, Warszawa 2011, s. 142–143.

<sup>7</sup> W. Broniewski, *op. cit.*, s. 235.

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 236.

<sup>9</sup> A. Wat, *Mój wiek*, t. 1, Kraków 2011, s. 32–33.

<sup>10</sup> Za: M. Urbanek, *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*, Warszawa 2012, s. 60–61.

<sup>11</sup> Za: *ibidem*, s. 67.

<sup>12</sup> Za: *ibidem*, s. 72.

<sup>13</sup> Za: *W słowach jestem wszędzie...*, s. 37.

<sup>14</sup> A. Wat, *op. cit.*, t. 1, s. 33.

<sup>15</sup> Za: *W słowach jestem wszędzie...*, s. 121.

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 53.

<sup>17</sup> J. Broniewska, *Dziesięć serc czerwonych*, Warszawa 1964, s. 66.

- <sup>18</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 101.
- <sup>19</sup> *To ja – dqb. Wspomnienia i eseje o Władysławie Broniewskim*, red. W. Balicki, Warszawa 1978, s. 203.
- <sup>20</sup> Za: *W słowach jestem wszędzie...*, s. 53–54.
- <sup>21</sup> J. Kamiński, *Stanął nagi*, <http://www.dwutygodnik.com/artukul/4372-stanal-nagi.html>.
- <sup>22</sup> Za: *To ja – dqb...*, s. 191.
- <sup>23</sup> Za: M. Shore, *Kawior i popiół*, Warszawa 2012, s. 176.
- <sup>24</sup> Za: *W słowach jestem wszędzie...*, s. 64–65.
- <sup>25</sup> Za: *ibidem*, s. 39.
- <sup>26</sup> Za: M. Shore, *op. cit.*, s. 198.
- <sup>27</sup> Za: *ibidem*, s. 199.
- <sup>28</sup> A. Wat, *op. cit.*, t. 1, s. 74.
- <sup>29</sup> *Ibidem*, s. 274–275.
- <sup>30</sup> *Ibidem*, s. 276.
- <sup>31</sup> Za: P. Wieczorkiewicz, *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Warszawa 2006, s. 184.
- <sup>32</sup> W. Gomułka, *Pamiętniki*, t. 2, Warszawa 1994, s. 54.
- <sup>33</sup> Za: B. Winklowska, *Boy we Lwowie*, <http://lwow.home.pl/boy.html>.
- <sup>34</sup> A. Wat, *op. cit.*, t. 1, s. 322–323.
- <sup>35</sup> *Ibidem*, s. 323.
- <sup>36</sup> *Ibidem*, s. 340.
- <sup>37</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 44.
- <sup>38</sup> O. Watowa, *Wszystko, co najważniejsze*, Warszawa 1990, s. 79.
- <sup>39</sup> Za: M. Shore, *op. cit.*, s. 227.
- <sup>40</sup> A. Wat, *op. cit.*, t. 1, s. 385.
- <sup>41</sup> Za: M. Shore, *op. cit.*, s. 252.
- <sup>42</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 69.
- <sup>43</sup> J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa 1990, s. 231.
- <sup>44</sup> Za: M. Shore, *op. cit.*, s. 277.
- <sup>45</sup> Za: *ibidem*, s. 275.
- <sup>46</sup> T. Czerkawski, *Byłem żołnierzem generała Andersa*, Warszawa 1991, s. 196.
- <sup>47</sup> *Ibidem*, s. 197.
- <sup>48</sup> K. Krukowski, *Z Melpomeną na emigracji*, Warszawa 1987, s. 111.
- <sup>49</sup> Za: W. Fusek, *List z Biecza*, [w:] *Farmacja Pomorza Środkowego*, [http://oia.koszalin.pl/biuletyn/biuletyn\\_oia\\_7-8-9\\_2013.pdf](http://oia.koszalin.pl/biuletyn/biuletyn_oia_7-8-9_2013.pdf).

<sup>50</sup> W. Drzewieniecki, *Angielski szlif. Wspomnienie oficera sztabu 2. Korpusu*, Toruń 2001, s. 79.

<sup>51</sup> *Ibidem*, s. 41.

<sup>52</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 71.

<sup>53</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 210.

<sup>54</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 46.

<sup>55</sup> M. Urbanek, *op. cit.*, s. 239–240.

<sup>56</sup> Za: *ibidem*, s. 242.

<sup>57</sup> Za: M. Shore, *op. cit.*, s. 350.

<sup>58</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 46–47.

<sup>59</sup> Za: E. Zawistowska, *Mitologizacje pani Poetowej*,  
<http://www.polityka.pl/kultura/aktualnoscikulturalne/1522237,1,kto-wyslal-broniewskiego-na-leczenie.read>.

<sup>60</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 38.

<sup>61</sup> Za: *ibidem*, s. 48–49.

<sup>62</sup> Za: *ibidem*, s. 152.

<sup>63</sup> Za: *ibidem*, s. 145.

<sup>64</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 289.

<sup>65</sup> *Ibidem*, s. 287.

<sup>66</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 20.

<sup>67</sup> E. Zawistowska, *op. cit.*

<sup>68</sup> Za: P. Gabryel, *Pacjent pod specjalnym nadzorem*, „Dziennik Zachodni”, 211/1988.

<sup>69</sup> Za: M. Urbanek, *Poeta i psychołotrzy*, <http://www.polityka.pl/kultura/1520694,1,tajemnicze-cztery-tygodnie-wladyslawa-broniewskiego.read>.

<sup>70</sup> Za: *ibidem*.

<sup>71</sup> Za: P. Gabryel, *op. cit.*

<sup>72</sup> Za: *To ja – dqb...*, s. 273–274.

<sup>73</sup> Za: *ibidem*, s. 375.

<sup>74</sup> Za: *To ja – dqb...*, s. 427–428.

<sup>75</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 62.

<sup>76</sup> Za: *ibidem*, s. 400.

<sup>77</sup> Za: M. Urbanek, *Broniewski...*, s. 276.

<sup>78</sup> Za: *ibidem*, s. 282.

<sup>79</sup> Za: *To ja – dqb...*, s. 371.

<sup>80</sup> Za: *ibidem*.

<sup>81</sup> Za: *W słowach jestem...*, s. 119.

<sup>82</sup> Za: *ibidem*, s. 34.

<sup>83</sup> Za: M. Urbanek, *Broniewski...*, s. 254.

<sup>84</sup> A. Wat, *Mój wiek*, t. 2, Kraków 2011, s. 74.

<sup>85</sup> A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, Warszawa 2001, s. 26.

<sup>86</sup> J. Atlas, *Atlas towarzyski*, Warszawa 1991, s. 139.

<sup>87</sup> M. Brandys, *Dziennik 1972*, Warszawa 1996, s. 148–149.

### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 3

<sup>1</sup> Za: J. Siedlecka, *Wypominki*, Warszawa 1996, s. 18.

<sup>2</sup> Za: G. Braun, *Errata do biografii. Leopold Tyrmand*, TVP SA 2010.

<sup>3</sup> Za: *ibidem*.

<sup>4</sup> Za: M. Urbanek, *Zły Tyrmand*, Warszawa 2007, s. 23.

<sup>5</sup> Za: *ibidem*, s. 24.

<sup>6</sup> T. Konwicki, *Zorze wieczorne. Czytało*, Warszawa 2010, s. 43.

<sup>7</sup> Za: G. Braun, *op. cit.*

<sup>8</sup> Za: *ibidem*.

<sup>9</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 45.

<sup>10</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 55.

<sup>11</sup> C. Prasek, *Złota młodzież PRL*, Warszawa 2010, s. 71.

<sup>12</sup> L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1995, s. 70.

<sup>13</sup> Za: G. Braun, *op. cit.*

<sup>14</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 103.

<sup>15</sup> L. Tyrmand, *op. cit.*, s. 134.

<sup>16</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 104.

<sup>17</sup> Za: *ibidem*, s. 53.

<sup>18</sup> S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, s. 114.

<sup>19</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 40.

<sup>20</sup> C. Prasek, *op. cit.*, s. 67–68.

<sup>21</sup> L. Tyrmand, *op. cit.*, s. 262.

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. 66.

<sup>23</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 39.

- <sup>24</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 68.
- <sup>25</sup> L. Tyrmand, *op. cit.*, s. 134.
- <sup>26</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 36.
- <sup>27</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 61.
- <sup>28</sup> Za: L. Tyrmand, *op. cit.*, s. 44.
- <sup>29</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 40.
- <sup>30</sup> L. Tyrmand, *op. cit.*, s. 130.
- <sup>31</sup> *Ibidem*, s. 130–131.
- <sup>32</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 79.
- <sup>33</sup> Za: *ibidem*, s. 81.
- <sup>34</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 41.
- <sup>35</sup> M. Tyrmand, *op. cit.*, s. 54.
- <sup>36</sup> *Ibidem*, s. 86.
- <sup>37</sup> *Ibidem*, s. 55.
- <sup>38</sup> *Ibidem*, s. 219.
- <sup>39</sup> *Ibidem*, s. 210.
- <sup>40</sup> Za: *ibidem*, s. 102.
- <sup>41</sup> *Ibidem*, s. 103.
- <sup>42</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 36.
- <sup>43</sup> Za: <http://culture.pl/pl/tworca/leopold-tyrmand>.
- <sup>44</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 34–35.
- <sup>45</sup> J. Siedlecka, *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999, s. 169.
- <sup>46</sup> Za: J. Siedlecka, *Wypominki*, s. 11.
- <sup>47</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 96.
- <sup>48</sup> *Ibidem*, s. 14–15.
- <sup>49</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 47.
- <sup>50</sup> Za: G. Braun, *op. cit.*
- <sup>51</sup> IPN BU 0284/186.
- <sup>52</sup> Za: M. Kalicki, *Polityczny fason kiecki Barbary Hoff*, <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,3872542.html?as=5>.
- <sup>53</sup> IPN BU 0204/175.
- <sup>54</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 224.
- <sup>55</sup> Za: *ibidem*, s. 225.

<sup>56</sup> Za: K.I. Kwiatkowska, M. Gawęcki, *Tyrmand i Ameryka*, Gdańsk 2011, s. 78.

<sup>57</sup> IPN BU 0057/186.

<sup>58</sup> T. Konwicki, *op. cit.*, s. 39.

<sup>59</sup> Za: G. Braun, *op. cit.*

<sup>60</sup> Za: *ibidem*.

<sup>61</sup> Za: <http://culture.pl/pl/tworca/leopold-tyrmand>.

<sup>62</sup> Za: *ibidem*.

<sup>63</sup> Za: M. Urbanek, *op. cit.*, s. 245.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 4

<sup>1</sup> B. Michalak, *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001, s. 174.

<sup>2</sup> Za: K. Kąkolewski, *Jak umierają nieśmiertelni*, b.d. 1996, s. 11.

<sup>3</sup> *Ibidem*.

<sup>4</sup> Za: A. Bikont, *Scenariusz życia*, „Gazeta Wyborcza”, 31.07.1999.

<sup>5</sup> K. Kąkolewski, *op. cit.*, s. 12.

<sup>6</sup> Za: A. Bikont, *op. cit.*

<sup>7</sup> Za: K. Kąkolewski, *op. cit.*, s. 15.

<sup>8</sup> R. Polański, *Roman*, Warszawa 1989, s. 111.

<sup>9</sup> *Ibidem*.

<sup>10</sup> E.M. Morelle, *Słodkie życie*, Kraków 2007, s. 22.

<sup>11</sup> A. Bikont, *op. cit.*

<sup>12</sup> K. Kąkolewski, *op. cit.*, s. 15.

<sup>13</sup> K. Kąkolewski, *Saga rodu Frykowskich*, <http://kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html>.

<sup>14</sup> K. Kąkolewski, *Jak umierają...*, s. 14–15.

<sup>15</sup> *Ibidem*, s. 14.

<sup>16</sup> E.M. Morelle, *op. cit.*, s. 59–60.

<sup>17</sup> *Ibidem*, s. 60.

<sup>18</sup> A. Bikont, *op. cit.*

<sup>19</sup> Za: Z. Turowska, *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2000, s. 106.

<sup>20</sup> Za: *ibidem*, s. 101.

<sup>21</sup> Za: *ibidem*, s. 103.



- <sup>22</sup> *Ibidem*, s. 105.
- <sup>23</sup> E.M. Morelle, *op. cit.*, s. 24.
- <sup>24</sup> K. Kąkolewski, *Saga...*
- <sup>25</sup> A. Bikont, *op. cit.*
- <sup>26</sup> R. Polański, *op. cit.*, s. 257.
- <sup>27</sup> T. Lach, *Ostatni tacy przyjaciele. Komeda, Hłasko Niziński*, Warszawa 2013, s. 269.
- <sup>28</sup> Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda, Zośka i inni*, Warszawa 1996, s. 132.
- <sup>29</sup> *Ibidem*, s. 135.
- <sup>30</sup> R. Polański, *op. cit.*, s. 252.
- <sup>31</sup> Za: *ibidem*, s. 254.
- <sup>32</sup> „Życie Warszawy”, 23.08.1969.
- <sup>33</sup> Za: Hamilton, *Puste miejsce. Felietony z lat 1967–1973*, <http://pl.scribd.com/doc/112844761/Hamilton-Puste-miejsce-Felietony-z-lat-1967-1973-%E2%80%93-1973-zorg>.
- <sup>34</sup> R. Polański, *op. cit.*, s. 257.
- <sup>35</sup> Za: S. Borowska, *Przekłeta rodzina Agnieszki Frykowskiej*, [http://polki.pl/zycie\\_gwiazd\\_znaniulubiani\\_artykul,10015163,3.html?cmc\\_id=](http://polki.pl/zycie_gwiazd_znaniulubiani_artykul,10015163,3.html?cmc_id=).

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 5

- <sup>1</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowicz, *Wojacek wielokrotny. Wspomnienia, relacje, świadectwa*, Wrocław 2008, s. 45.
- <sup>2</sup> *Ibidem*, s. 35.
- <sup>3</sup> *Ibidem*, s. 107.
- <sup>4</sup> S. Srokowski, *Skandalista Wojacek. Poezja, dziewczyny, miłość*, Wrocław 2006, s. 23.
- <sup>5</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowicz, *op. cit.*, s. 44.
- <sup>6</sup> *Ibidem*, s. 21.
- <sup>7</sup> *Ibidem*, s. 50–51.
- <sup>8</sup> B. Kierc, *Rafał Wojacek. Prawdziwe życie bohatera*, Warszawa 2007, s. 76.
- <sup>9</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowicz, *op. cit.*, s. 44.
- <sup>10</sup> *Ibidem*, s. 64.
- <sup>11</sup> *Ibidem*, s. 192.
- <sup>12</sup> *Ibidem*, s. 23–24.
- <sup>13</sup> M.M. Szczawiński, *Rafał Wojacek, który był*, Katowice 1999, s. 47.
- <sup>14</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowicz, *op. cit.*, s. 24.

- <sup>15</sup> *Ibidem*, s. 137.
- <sup>16</sup> *Ibidem*, s. 142–143.
- <sup>17</sup> *Ibidem*, s. 141–142.
- <sup>18</sup> *Ibidem*, s. 102.
- <sup>19</sup> *Ibidem*, s. 163–164.
- <sup>20</sup> *Ibidem*, s. 149.
- <sup>21</sup> *Ibidem*, s. 169–170.
- <sup>22</sup> *Ibidem*, s. 173.
- <sup>23</sup> M. Urbanek, *Miasto na zakręcie*, „Polityka”, 47/2013.
- <sup>24</sup> Za: M.M. Szczawiński, *op. cit.*, s. 69–70.
- <sup>25</sup> Za: *ibidem*, s. 70.
- <sup>26</sup> Za: J. Lovell, *Sezon w czyścicu. Collage reportażowy*, Warszawa 1982, s. 104.
- <sup>27</sup> *Ibidem*, s. 104–105.
- <sup>28</sup> Za: [http://rafal\\_wojaczek.republika.pl/powieszony.htm](http://rafal_wojaczek.republika.pl/powieszony.htm).
- <sup>29</sup> J. Marx, *Legendarni i tragiczni. Eseje o polskich poetach przeklętych*, Warszawa 1998, s. 282.
- <sup>30</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowiec, *op. cit.*, s. 327.
- <sup>31</sup> *Ibidem*, s. 303.
- <sup>32</sup> *Ibidem*, s. 304.
- <sup>33</sup> *Ibidem*, s. 327.
- <sup>34</sup> *Ibidem*, s. 321.
- <sup>35</sup> *Ibidem*, s. 346.
- <sup>36</sup> Za: S. Srokowski, *op. cit.*, s. 105–106.
- <sup>37</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowiec, *op. cit.*, s. 310–311.
- <sup>38</sup> Za: B. Kierc, *op. cit.*, s. 87.
- <sup>39</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowiec, *op. cit.*, s. 317.
- <sup>40</sup> B. Kierc, *op. cit.*, s. 235–236.
- <sup>41</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowiec, *op. cit.*, s. 230.
- <sup>42</sup> *Ibidem*, s. 326.
- <sup>43</sup> *Ibidem*, s. 298.
- <sup>44</sup> *Ibidem*, s. 230.
- <sup>45</sup> *Ibidem*, s. 206.
- <sup>46</sup> *Ibidem*, s. 254.
- <sup>47</sup> *Ibidem*, s. 467–468.

<sup>48</sup> B. Kierc, *op. cit.*, s. 258.

<sup>49</sup> *Ibidem*, s. 106.

<sup>50</sup> S. Bereś, K. Batorowicz-Wołowicz, *op. cit.*, s. 562.

<sup>51</sup> *Ibidem*.

<sup>52</sup> *Ibidem*, s. 481.

<sup>53</sup> *Ibidem*, s. 42.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 6

<sup>1</sup> Ł. Kos, J. Papis, *Zdzisław Maklakiewicz*, TVP SA 1996.

<sup>2</sup> Za: S. Manturzewski, *Himilbach, Prawdy, bujdy, czarne dziury*, TVP SA 2002.

<sup>3</sup> *Ibidem*.

<sup>4</sup> J. Głowacki, *Z głowy*, Warszawa 2008, s. 130.

<sup>5</sup> Za: A. Poppek, *Rejs na krzywy ryj, czyli Jan Himilbach i jego czasy*, Kraków 2013, s. 47.

<sup>6</sup> Za: *ibidem*, s. 41.

<sup>7</sup> Za: *ibidem*, s. 42.

<sup>8</sup> Za: *ibidem*, s. 37.

<sup>9</sup> Za: *ibidem*, s. 38–39.

<sup>10</sup> Za: *ibidem*, s. 46.

<sup>11</sup> Za: *ibidem*, s. 65.

<sup>12</sup> Za: *ibidem*, s. 59.

<sup>13</sup> T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1982, s. 250–251.

<sup>14</sup> *Ibidem*, s. 251.

<sup>15</sup> Za: S. Manturzewski, *op. cit.*

<sup>16</sup> *Ibidem*.

<sup>17</sup> Za: A. Poppek, *op. cit.*, s. 65.

<sup>18</sup> S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, s. 34.

<sup>19</sup> S. Manturzewski, *op. cit.*

<sup>20</sup> Za: A. Poppek, *op. cit.*, s. 164.

<sup>21</sup> R. Śliwonik, *Portrety z bufetem w tle*, Warszawa 2001, s. 24.

<sup>22</sup> Za: A. Poppek, *op. cit.*, s. 168.

<sup>23</sup> Za: *ibidem*, s. 103.

<sup>24</sup> Za: *ibidem*, s. 147.

- <sup>25</sup> S. Manturzewski, *op. cit.*
- <sup>26</sup> A. Poppek, *op. cit.*, s. 117–118.
- <sup>27</sup> Za: W. Otto, *Zdzisław Maklakiewicz*, Warszawa b.d.w., s. 14.
- <sup>28</sup> Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>29</sup> *Ibidem.*
- <sup>30</sup> J. Atlas, *Atlas towarzyski*, Warszawa 1991, s. 34–35.
- <sup>31</sup> Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>32</sup> *Ibidem.*
- <sup>33</sup> T. Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1990, s. 68.
- <sup>34</sup> Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>35</sup> *Ibidem.*
- <sup>36</sup> Za: Ł. Cybiński, *Inżynier Mamoń na pół etatu*, „Rzeczpospolita”, 9.07.2007.
- <sup>37</sup> Za: A. Poppek, *op. cit.*, s. 97.
- <sup>38</sup> Za: Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>39</sup> J. Głowacki, *op. cit.*, s. 226–227.
- <sup>40</sup> *Ibidem*, s. 227.
- <sup>41</sup> *Ibidem*, s. 217.
- <sup>42</sup> *Ibidem*, s. 217–218.
- <sup>43</sup> *Ibidem*, s. 158.
- <sup>44</sup> Za: Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>45</sup> Za: M. Łuczak, *Wniebowzięci, czyli jak to się robi hydrozagadkę*, Warszawa 2004, s. 78.
- <sup>46</sup> Za: S. Manturzewski, *op. cit.*
- <sup>47</sup> J. Głowacki, *op. cit.*, s. 227.
- <sup>48</sup> Za: Ł. Kos, J. Papis, *op. cit.*
- <sup>49</sup> Za: *ibidem.*
- <sup>50</sup> Za: *ibidem.*
- <sup>51</sup> A. Poppek, *op. cit.*, s. 143.
- <sup>52</sup> Za: *ibidem*, s. 63.
- <sup>53</sup> Za: *ibidem*, s. 103–104.
- <sup>54</sup> Za: *ibidem*, s. 154.
- <sup>55</sup> R. Śliwonik, *op. cit.*, s. 36.
- <sup>56</sup> Za: A. Poppek, *op. cit.*, s. 61.
- <sup>57</sup> Za: *ibidem*, s. 159.

<sup>58</sup> Za: *Jan Himilbach. Urodzony 31 listopada*, [http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/jan-himilbach-urodzony-31-listopada,1728042,38?utm\\_source=paste&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=firefox](http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/jan-himilbach-urodzony-31-listopada,1728042,38?utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=firefox).

## Ważniejsza bibliografia





- Atlas J., *Atlas towarzyski*, Warszawa 1991.
- Bereś S., Batorowicz-Wołowicz K., *Wojaczek wielokrotny. Wspomnienia, relacje, świadectwa*, Wrocław 2008.
- Bikont A., *Scenariusz życia*, „Gazeta Wyborcza”, 31.07.1999.
- Borowska S., *Przekłeta rodzina Agnieszki Frykowskiej*,  
[http://polki.pl/zycie\\_gwiazd\\_znaniilubiani\\_artykul,10015163,3.html?cmc\\_id=](http://polki.pl/zycie_gwiazd_znaniilubiani_artykul,10015163,3.html?cmc_id=).
- Brandys K., *Miesiące 1982–1984*, Paryż 1984.
- Brandys M., *Dziennik 1972*, Warszawa 1996.
- Braun G., *Errata do biografii. Leopold Tyrmand*, TVP SA 2010.
- Broniewska J., *Dziesięć serc czerwonych*, Warszawa 1964.
- Broniewski W., *Pamiętnik 1918–1922*, Warszawa 1984.
- Cybiński Ł., *Inżynier Mamoń na pół etatu*, „Rzeczpospolita”, 9.07.2007.
- Czapski J., *Na nieludzkiej ziemi*, Warszawa 1990.
- Czerkawski T., *Byłem żołnierzem generała Andersa*, Warszawa 1991.
- Czyżewski A., *Piękny dwudziestoltni. Biografia Marka Hłaski*, Kraków 2000.
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965 w 13 tomach*, t. 9, 1953–1955, Warszawa 2007.
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965 w 13 tomach*, t. 11, Warszawa 2009.
- Drzewieniecki W., *Angielski szlif. Wspomnienie oficera sztabu 2. Korpusu*, Toruń 2001.
- „Express Wieczorny”, 22.01.1958.
- Fastnacht-Stupnicka A., *Hłaski droga do raju*, [http://www.marekhlascko.republika.pl/03\\_artykuly/37\\_text.htm](http://www.marekhlascko.republika.pl/03_artykuly/37_text.htm).
- Fusek W., *List z Biecza*, [w:] *Farmacja Pomorza Środkowego*, [http://oia.koszalin.pl/biuletyn/biuletyn\\_oia\\_7-8-9\\_2013.pdf](http://oia.koszalin.pl/biuletyn/biuletyn_oia_7-8-9_2013.pdf).
- Gabryel P., *Pacjent pod specjalnym nadzorem*, „Dziennik Zachodni”, 211/1988.
- Gałczyńska K., *Jak się te lata mylą...*, Warszawa 1989.
- Gańczak F., *Sen o Marku*, <http://www.newsweek.pl/sen-o-marku,53313,1,1.html>.
- Głowacki J., *Z głowy*, Warszawa 2008.
- Gomułka W., *Pamiętniki*, t. 2, Warszawa 1994.
- Gruza J., *Pasaże warszawskie*, Warszawa 2004.
- Gutowski G., *Od Holocaustu do Hollywood*, Kraków 2004.
- Hamilton, *Puste miejsce. Felietony z lat 1967–1973*, <http://pl.scribd.com/doc/112844761/Hamilton-Puste-miejsce-Felietony-z-lat-1967-1973-%E2%80%93-1973-zorg>.
- Hłasko M., *Piękni dwudziestoltni*, Warszawa 1987.
- <http://culture.pl/pl/tworca/leopold-tyrmand>.
- [http://rafal\\_wojaczek.republika.pl/powieszony.htm](http://rafal_wojaczek.republika.pl/powieszony.htm).

[http://www.marekhlasko.republika.pl/02\\_o\\_hlasce/08\\_hertz\\_text.htm](http://www.marekhlasko.republika.pl/02_o_hlasce/08_hertz_text.htm).

IPN BU 0057/186.

IPN BU 01911/40.

IPN BU 0204/175.

IPN BU 0284/186.

Jan Himilbach. *Urodzony 31 listopada*, [http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/jan-himilbach-urodzony-31-listopada,1728042,38?utm\\_source=paste&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=firefox](http://film.interia.pl/wiadomosci/film/news/jan-himilbach-urodzony-31-listopada,1728042,38?utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=firefox).

Kalicki M., *Polityczny fason kiecki Barbary Hoff*, <http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,3872542.html?as=5>.

Kamiński J., *Stanął nagi*, <http://www.dwutygodnik.com/artykul/4372-stanal-nagi.html>.

Kąkolewski K., *Jak umierają nieśmiertelni*, b.d. 1996.

Kąkolewski K., *Saga rodu Frykowskich*, <http://kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html>.

Kierc B., *Rafał Wojaczek. Prawdziwe życie bohatera*, Warszawa 2007.

Kisielewski S., *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990.

*Komeda, muzyczne ścieżki życia*, <http://www.youtube.com/watch?v=iZALORoRkcY>.

Komeda-Trzcińska Z., *Komeda, Zośka i inni*, Warszawa 1996.

Konwicky T., *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1982.

Konwicky T., *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1990.

Konwicky T., *Zorze wieczorne. Czytało*, Warszawa 2010.

Kos Ł., Papis J., *Zdzisław Maklakiewicz*, TVP SA 1996.

Krukowski K., *Z Melpomeną na emigracji*, Warszawa 1987.

Kwiatkowska K.I., Gawęcki M., *Tyrmand i Ameryka*, Gdańsk 2011.

Lach T., *Ostatni tacy przyjaciele. Komeda, Hłasko Niziński*, Warszawa 2013.

Lipiński E., *Marek*, „Życie Literackie”, 3/1980.

Lovell J., *Sezon w czyścucu. Collage reportażowy*, Warszawa 1982.

Łuczak M., *Wniebowzięci, czyli jak to się robi hydrozagadkę*, Warszawa 2004.

Manturzewski S., *Himilbach, Prawdy, bujdy, czarne dziury*, TVP SA 2002.

Marx J., *Legendarni i tragiczni. Eseje o polskich poetach przeklętych*, Warszawa 1998.

Masłoń K., *Mit Hłaski*, „Historia Do Rzeczy”, 8/2013.

Mencwel J., *Kontrkulturowe kawiarnie Warszawy: Kameralna*, <http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/761771.html>.

Michalak B., *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001.

Morelle E.M., *Słodkie życie*, Kraków 2007.

Otto W., *Zdzisław Maklakiewicz*, Warszawa b.d.w.

Polański R., *Roman*, Warszawa 1989.

Poppek A., *Rejs na krzywy ryj, czyli Jan Himilbach i jego czasy*, Kraków 2013.

Prasek C., *Złota młodzież PRL*, Warszawa 2010.

- Primadonna jednego tygodnia?*, [http://www.marekhlaszko.republika.pl/10\\_prl/01\\_prl\\_text.htm](http://www.marekhlaszko.republika.pl/10_prl/01_prl_text.htm).
- Putrament J., *Pół wieku*, t. 5, *Poślizg*, Warszawa 1987.
- Rozpędowski H., *Sonja i Marek*, Warszawa 1999.
- Shore M., *Kawior i popiół*, Warszawa 2012.
- Siedlecka J., *Wypominki*, Warszawa 1996.
- Siedlecka J., *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999.
- Srokowski S., *Skandalista Wojacek. Poezja, dziewczyny, miłość*, Wrocław 2006.
- Stanisławczyk B., *Miłosne gry Marka Hłaski*, Poznań 2009.
- Szczawiński M.M., *Rafał Wojacek, który był*, Katowice 1999.
- Śliwonik R., *Portrety z bufetem w tle*, Warszawa 2001.
- To ja – dqb. Wspomnienia i eseje o Władysławie Broniewskim*, red. Balicki W., Warszawa 1978.
- Turowska Z., *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2000.
- Tuszyńska A., *Tyrmandowie. Romans amerykański*, Warszawa 2012.
- Tyrmand L., *Dziennik 1954*, Warszawa 1995.
- Tyrmand L., *Hłasko*, „Kultura” (Paryż) 9/1969.
- Urbanek M., *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*, Warszawa 2012.
- Urbanek M., *Miasto na zakręcie*, „Polityka”, 47/2013.
- Urbanek M., *Poeta i psychołotrzy*, <http://www.polityka.pl/kultura/1520694,1,tajemnicze-cztery-tygodnie-wladyslawa-broniewskiego.read>.
- Urbanek M., *Zły Tyrmand*, Warszawa 2007.
- Wasilewski P., *Śladami Marka Hłaski*, Warszawa 1994.
- Wat A., *Dziennik bez samogłosek*, Warszawa 2001.
- Wat A., *Mój wiek*, t. 1, Kraków 2011.
- Wat A., *Mój wiek*, t. 2, Kraków 2011.
- Watowa O., *Wszystko, co najważniejsze*, Warszawa 1990.
- Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Warszawa 2006.
- Winklowska B., *Boy we Lwowie*, <http://lwow.home.pl/boy.html>.
- W słowach jestem wszędzie... Wspomnienia o Władysławie Broniewskim*, red. Pryzwan M., Warszawa 2011.
- Zawistowska E., *Mitologizacje pani Poetowej*, <http://www.polityka.pl/kultura/aktualnoscikulturalne/1522237,1,kto-wyslal-broniewskiego-na-leczenie.read>.
- „Życie Warszawy”, 23.08.1969.

Sławomir KOPER

Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1991), autor wielu publikacji dotyczących dziejów obyczajowości. Uznanie przyniosły mu seria o elitach II Rzeczypospolitej oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej skrzętnie pomijano (np. *Miłość w Powstaniu Warszawskim*). Warszawiak z urodzenia, legionowianin z wyboru, miłośnik Krakowa, wielbiciel muzyki.

W 2012 roku za książkę *Kobiety władzy PRL* nominowany do nagrody Bestseller Empiku. W 2013 roku z rąk prezydenta RP otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi za popularyzację historii w społeczeństwie.



Marek HŁASKO  
Władysław BRONIEWSKI  
Leopold TYRMAND  
Wojciech FRYKOWSKI  
Rafał WOJACZEK  
Jan HIMILSBACH  
Zdzisław MAKŁAKIEWICZ

Oto kolejna książka z naszej serii o elitach PRL.  
Po *Kobietach władzy PRL*, *Życiu artystek w PRL*  
i *Sławnych parach PRL* przyszedł czas na skandalistów.  
Autor bestsellerów Sławomir Koper barwnie opowiada  
o legendarnych postaciach kultury – pisarzach, poetach,  
aktorach. Odrzucali konwenanse, niektórzy wręcz siali  
zgorszenie swym zachowaniem. Ale to jeszcze nie był  
czas współczesnych celebrytów, ówcześni skandaliści,  
mimo różnych ekscesów, potrafili zachować klasę.

